

**CZY PIŚ USTĄPI,
GDY PRZEGRA**

**PO CO NAM DUSZE
CZYŚCOWE**

**KIEDY DOROŚLI
MILLENNIALSI**

**KTO MEBLOWAŁ
NASZE DOMY**

Kraków 23–29 sierpnia 2023 nr 35 (3868)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Ludzie ludziom

**MIKOŁAJ
GRYNBERG
O GRANICY,
REFERENDUM
I NADZIEI**

**STRONY SPECJALNE
18. NAGRODA LITERACKA
GDYNIA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

30 sierpnia 2023, 20.30
NA ŻYWO W TVN24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów
z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Fundacja Grand Press po raz trzeci uhonoruje osoby
szczególnie zasłużone dla wolności słowa w Polsce

Kategorie

MEDIA • INSTYTUCJA • OBYWATEL/KA



Podczas gali odbędzie się prapremiera nowej piosenki
powstałej do słów wiersza Wojciecha Młynarskiego
„Niewielkie słowo »przyzwoitość«”
w wykonaniu Ralpha Kaminskiego

ORGANIZATOR

**GRAND
PRESS
FOUND.**

MIASTO GOSPODARZ



PARTNERZY



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



PATRONI MEDIALNI



PARTNERZY GALI



KS. ADAM

Boniecki: Sygnały z tamtego świata

TEKST JAREMY PIEKUTOWSKIEGO KIERUJE MYŚLI ku przeszłości. Na rok 2008 przypadło 600-lecie najstarszego datowanego dokumentu o moich przodkach w Polsce. Tę wiadomość zawdzięczamy dziadkowi Adamowi (1842-1909), który historię rodziny prześledził na istniejących dokumentach. Te zaprowadziły go do Bończy. W Bończy (koło Warki) nie pozostał dziś żaden ślad po tych, od których wywodzi się wiele rodzin biorących nazwiska od posiadanych majątków. Wśród nich są Fredrowie (nazwisko Fredro nadał Kazimierz Wielki Dobiesławowi z Bończy za „przygodę z Niemcem”). Herb Bończa pozostał w każdym razie jako znak wspólnego pochodzenia.

Dziadek Adam napisał m.in. kronikę rodziny. Na ogół ogranicza się ona do imion, dat, miejscowości, imion żon, dzieci. Tylko czasem są jakieś informacje o życiu opisywanego. Jak pisze dziadek Adam, nasi przodkowie „za młodu zabawiali się żołnierką, a wróciwszy w progi domowe, pędzili życie spokojne, urozmaicone jedynie sejmikiem, sporem granicznym lub najazdem”. To „spokojne życie” dla wielu z nich oznaczało służbę publiczną. Musieli cieszyć się zaufaniem, bo wielu z nich było wybieranych sędziami dla rozstrzygania sporów czy posłami na sejm.

Byli często ludźmi wykształconymi i służyli postępowi. Stanisław Szczepanowicz Boniecki (połowa XVI w.), właściciel Nagórnej Bończy i kilku innych wsi, poświęcił się górnictwu, „miał sobie powierzone kopalnie olkuskie, gdzie był podzupnikiem i notariuszem królewskim. Zygmunt August wynagrodził go, nadając w 1565 dwa ogrody w Olkusz”. Było wśród nich dwóch duchownych: Jan Boniecki był najpierw proboszczem we Wrociszewie (w tej parafii leży Bończa, a organistą – znacznie później – był ojciec kard. Wyszyńskiego), potem warszawskim i plockim kanonikiem, oficjałem gnieźnieńskim (połowa XVI w.), a Kajetan-Aleksander – kanonikiem chełmskim i sandomierskim (koniec XVIII w.). Jeden z naszych dziadków, Franciszek Wincenty Kajetan, syn Kazimierza („otrzymał bardzo staranne wychowanie, ujmujący powierzchownością i obejściem”), parał się poezją



i historią. W kronice mamy odnotowaną dramatyczną historię jego wielkiej miłości do Julii Dembińskiej, zakończoną szczęśliwym małżeństwem (w 1791 r.). Wydał tomik poezji „Wierszopismo czyli zabawki różne Franciszka Bonieckiego 1790”. W kronice autor odnotował: „Poezje te żadnej wartości nie mają”. Opis sięga czasów jego dziadka Edwarda, któremu słownik biograficzny poświęca sporo miejsca. Wielki społecznik, w 1919 r. delegat rządu polskiego na Wołyń, w 1920 r. osiadł w Polsce w 1920 r.

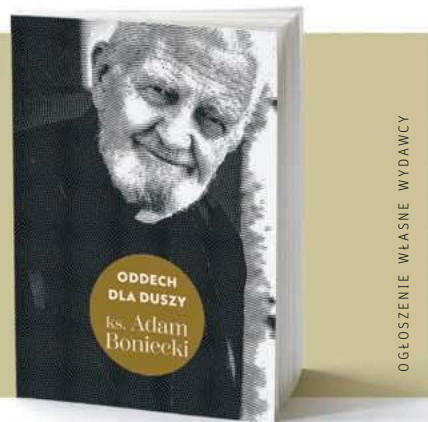
Myśli o zmarłych przodkach są też siłą rzeczy myślami o ich praktykach religijnych i wierze. Wiemy o tym niewiele. Jakieś kościoły postawione, inne wspierane, wspomniani dwaj duchowni, a w pokoleniu, które pamiętam – ludzie głęboko religijni, światli, niektórzy związani z powracającymi do Polski benedyktynami. Wiara w czyściec nie była tu nigdy związana ze wspomnianym przez Piekutowskiego horrorem, ale była obecna. Dziadek Adam postawił na cmentarzu kaplicę z podziemiemi, gdzie składano zwłoki zmarłych z rodziny. Wcześniej groby były tam, gdzie mieszkali. Nieliczne istnieją do dziś, innych już pewnie nie ma. Kaplica cmentarna postawiona przez dziadka Adama istnieje. Chociaż tyle.

Wiara w kontakt z duszami zmarłych też istnieje. Oczywiście miewa różne postacie, od przypominających konteksty ziemskie, po te bardziej duchowe. Będąc jako duchowny stróżem ortodoksji, bardzo uważam, by w tej kwestii nie być zbyt przemądrzałym. Ze światem pozaziemskim nigdy nic nie wiadomo. Przyznam, że nigdy nie byłem zbyt przekonany do przeliczania łask uzyskanych dla dusz w czyściecu na miary tego świata. Jakoś było dla mnie zawsze jasne, że to nie rzeczywistość, ale sposób jej przeżywania. Choć wiara w możliwość pomocy duszom czyścicowym nigdy nie budziła wątpliwości. Podobnie było z sygnałami z tamtego świata. Kościół się na ten temat (zasadniczo) nie wypowiada, a i ja staram się nie wypowiadać swoich ocen. Ale prywatnie wiem, jestem pewien, że istnieją drogi komunikacji między tymi dwiema stronami rzeczywistości. © P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**„Oddech dla duszy”
najnowsza książka
ks. Adama Bonieckiego**

Już w księgarniach i na vivelo.pl



20

**Władzy raz
zdobyciej...**

STEFAN
SĘKOWSKI
Zjednoczona
Prawica poszerza
kompetencje
prezydenta
i uniezależnia
prokuratora
krajowego
od ministra
sprawiedliwości.
Chce dalej rządzić
Polską, nawet
gdyby miała
przegrać wybory.

**30 Woda po nas spływa**

KRZYSZTOF STORY

Katastrofa na Odrze nauczyła nas niewiele. Rzeka z pozoru wygląda normalnie. Być może potrzebujemy jeszcze większej tragedii, by skończyć z obojętnością?

36

**Uwolnić dusze
czyścicowe**

JAREMA
PIEKUTOWSKI
Opowieści
o cierpieniach
dusz czyścicowych
kojarzą się
z horrorem.
Tymczasem wiara
we wspólnotę
z nimi ma głęboki
sens teologiczny.

**46 Niech nikt nie
mówi, że o tym
nie wiedział**

ROZMOWA
Z CHRISTINĄ LAMB,
REPORTERKA
WOJENNA:

Kobiety, z którymi
rozmawiałam,
mówiły: chcemy, by
nasze historie zostały
opowiedziane, ale
chcemy opowiedzieć
je w nasz sposób,
w miejscu, które nam
odpowiada. A przede
wszystkim się nie
spieszyć.

**74 Lista zamknięta**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Tak, to muzyka wyznacza granice pokoleń,
a „Strażnicy Galaktyki” materializują
i stawiają nam przed uszami owo wielkie
doświadczenie. Uświadomienie sobie tej
wspólnoty ma wyzwalającą moc.

**86 Bitwa o gusta**

BEATA CHOMĄTOWSKA

Polskiego mieszkania z czasów PRL-u nie
da się zredukować do wyobrażenia
o ówczesnym „typowym wnętrzu”.
Niektóre z mód epoki niedoboru
i niedoróbek przetrwały do dziś.



6 Umacnia się reżim Łukaszenki

MAŁGORZATA NOCUN

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Władzy raz zdobytej...

STEFAN SĘKOWSKI

24 Gała politycznego MMA

MAREK KĘSKRAWIEC
o panice w partii rządzącej

27 Mama na huśtawce

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Pomoc samotnym matkom to
powód do wstydu dla Polski

30 Woda po nas spływa

KRZYSZTOF STORY

33 Zakochany w bagnach

ROZMOWA Z WIKTOREM
KOTOWSKIM, EKOLOGIEM
o naszej najlepszej lokacji
klimatycznej

■ ■ WIARA

36 Uwolnić dusze czyścicowe

JAREMA PIEKUTOWSKI

40 Chrześcijanie na celowniku

MARCIN CHODUŃ: W Indiach
narasta fala przemocy wobec
wyznawców Jezusa

42 Żydowska wyspa w morzu islamu

KAROL WILCZYŃSKI: Los
potomków Abrahama na leżącej
u wybrzeża Tunezji Dżerbie staje
się coraz bardziej niepewny

■ ■ ŚWIAT

46 Niech nikt nie mówi, że o tym nie wiedział

ROZMOWA Z CHRISTINĄ LAMB

TEMAT TYGODNIKA

12 Ludzie ludziom

ROZMOWA Z MIKOŁAJEM GRYNBERGIEM:

Słuchajcie, nie
wszyscy o tym
wiecie, ale
w naszym lesie
ktoś umiera.
Są tacy, którzy
wyręczając
państwo, walczą
o jego życie.
To nie jest
sprawa
polityczna.

MIKOŁAJ KIENBLOWSKI

■ DODATEK ■

67 18. NAGRODA LITERACKA GDYNIA

■ FELIETONY ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI

45 ZUZANNA RADZIK 65 ELIZA KĄCKA

84 OLGA DREND 85 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: MIKOŁAJ GRYNBERG
FOTOGRAFIA: JACEK POREMBA

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Tamtego Chartumu już nie będzie

WOJCIECH JAGIELSKI
o wojnie domowej w Sudanie

53 Wszystko dzięki matkom

DOMA MATEJKO:
Ukrywana przez lata prawda
o morderstwach tysięcy cywilów
w Kolumbii wychodzi na jaw

■ ■ HISTORIA

56 Jak w baśni: sowa i lis

rządzą
MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI:
Lublin, miasto Józefa
Czechowicza

■ ■ NAUKA

60 Jak się bronić przed sepsą

ROZMOWA Z PROF.
WOJCIECHEM SZCZeklikiem,
ANESTEZJOLOGIEM:
Układ odpornościowy ratuje nas
niezliczoną ilość razy

■ ■ KULTURA

74 Lista zamknięta

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

78 Anatomia wstydu

ROZMOWA Z JOANNĄ OPAREK,
POETKĄ:
Nie ma tematów tabu,
a przełamanie wstydu jest
początkiem prawdziwego
pisanie

82 Pusta klatka

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Kochanica króla Jeanne
du Barry” w reżyserii Maïwenn

83 W drewnianej skrzyni

LEKTOR o książce Sławomira
Mrożka „Zagadki bytu”

■ ■ ZMYŚŁY

86 Bitwa o gusta

BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Rosyjska ruletka

„Odnajduję tu swój świat” – mówi była minister spraw
zagranicznych Austrii po przeprowadzce do Rosji.

ANNA ŁABUSZEWSKA | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

➡ Warto zobaczyć

Filmy i seriale, kino polskie i zagraniczne. Nowości na VoD
poleca co tydzień ANITA PIOTROWSKA.

TygodnikPowszechny.pl/weekend

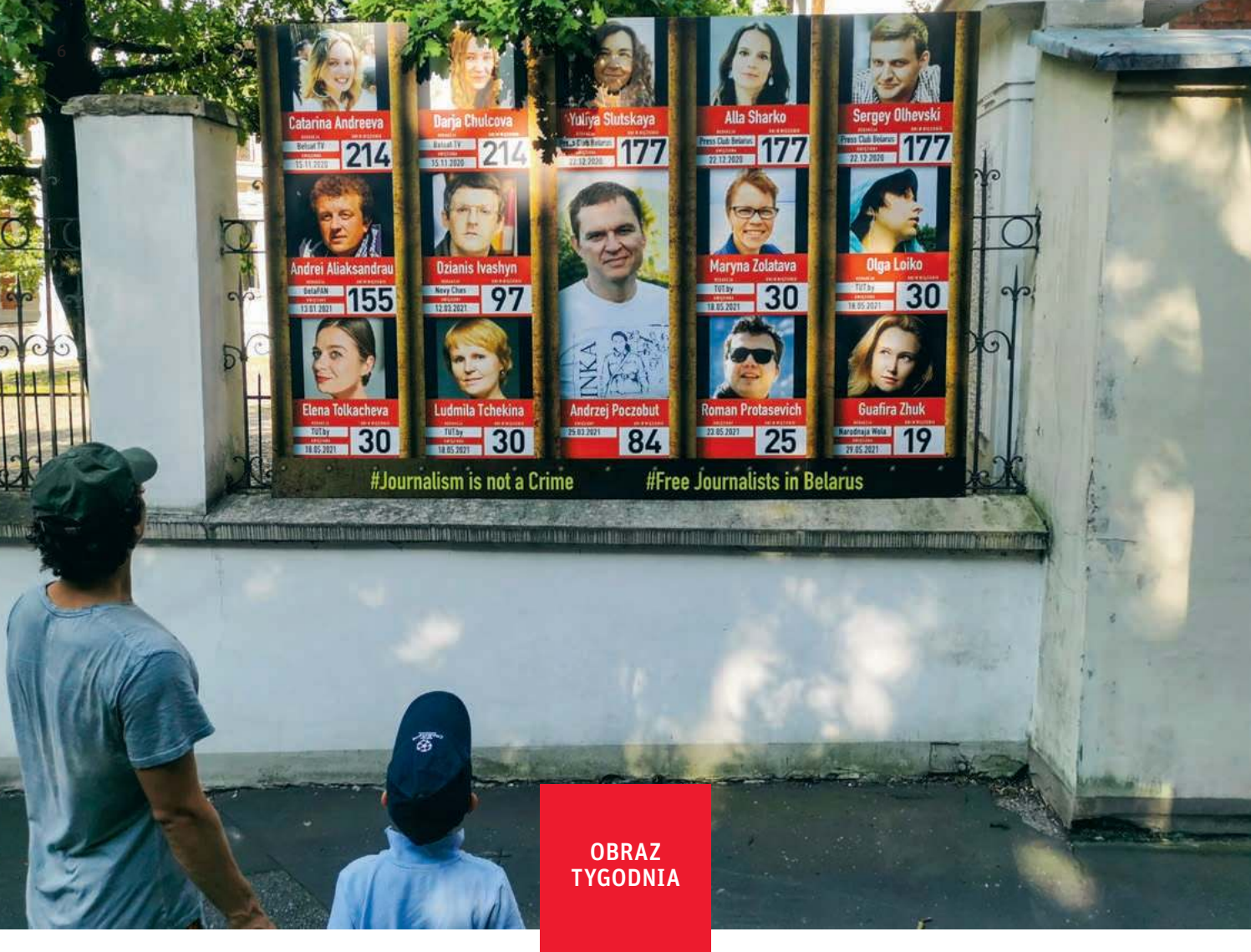
Serwisy specjalne: patrz szerzej

WAKACJE Z „TYGODNIKIEM”

Przygoda jest tutaj

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/WAKACJE

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

UMACNIA SIĘ REŻIM ŁUKASZENKI

Białoruś zaczyna przypominać totalitaryzm znany z dzieł Sołżenicyna. Jego symbolem jest wychudzona i pocięta zmarszczkami twarz Andrzeja Poczobuta, który właśnie trafił na pół roku do karceru.

MAŁGORZATA NOCŮ

MIAJĄ TRZY LATA OD NAJTRAGICZniejszych wydarzeń w historii współczesnej Białorusi. W sierpniu 2020 r. reżim Aleksandra Łukaszenki przez kilka dni krwawo tłumił powybórcze protesty. Tysiące ludzi przeszło przez „ścieżki zdrowia”, wielu zostało zgwałconych w aresztach. Na ulicach Mińska padli zabici. Po sfingowanych procesach uczestnicy protestów trafili do więzień i kolonii karnych. Nielicznym udało się uciec za granicę.

Z każdym miesiącem reżim zaostrzał kurs, rozkręcała się spirala terroru. W końcu na celowniku białoruskich władz znalazł się Andrzej Poczobut, dziennikarz mediów polonijnych i korespondent polskich gazet, z zamiłowania badacz dziejów Białorusi.

Aresztowano go w 2021 r., rok później skazano na osiem lat kolonii karnej. Oficjalny powód: „podżeganie do nienawiści”, „gloryfikowanie nazizmu”. Poczobut nie bał się więzienia, sam chyba nie umiałby policzyć, który raz znalazł się za kratami. KGB zatrzymywało go co kilkanaście miesięcy, czasem „tylko” na przesłuchanie, czasem do aresztu. Szybko jednak – podobnie jak ponad trzydziestu innych więzionych przez reżim dziennikarzy – przekonał się, że żadna z wcześniejszych odsiadek nie była tak dramatyczna. Z lakonicznych wiadomości przekazywanych przez żonę dziennikarza dowiadujemy się, że Poczobut jest torturowany fizycznie i psychicznie, i że cierpi na nadciśnienie tętnicze. Boi się, że nie wyjdzie już z krat.

POWYŻEJ:

Przed siedzibą Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Warszawa, lipiec 2021 r.

W podobnej sytuacji są inne dziennikarki i dziennikarze, którzy dostali drakońskie wyroki (nawet dziesięciu lat pozbawienia wolności) i których młodość upłynie za kratami.

Wraz z dojściem do władzy Łukaszenki w 1994 r. na Białorusi skończył się krótki okres względnej demokratyzacji. Przez ponad dwie dekady reżim przypominał sinusoidę – następowały okresy zamordyzmu i względnej liberalizacji. W dzisiejszej Białorusi liberalizacja już nie nastąpi. To kraj terroru, w którym nikt nie może czuć się bezpiecznie. Reżim – walcząc o przetrwanie – całkowicie kontroluje życie publiczne i prywatne.

Przeglądam plik z telefonami do znajomych białoruskich pisarzy, dziennikarzy, działaczy organizacji pozarządowych. Szybko przekonuję się, że praktycznie wszyscy, z którymi kilkanaście lat temu spotykałam się w Mińsku czy Grodnie, siedzą w więzieniu albo (jeśli mieli szczęście) uciekli z kraju i teraz, jako emigranci, drżą o los najbliższych. Siedzi konserwatywny polityk Paweł Siewierny. Jako aktywista zorganizował przedwyborczą pikietę, co w języku reżimu nazywa się zaangażowaniem w „organizację masowych zamieszek”. Usłyszał wyrok siedmiu lat więzienia o zastrzonym rygorze.

Władza szczególnie nienawidzi dziennikarzy. Wiele tytułów (jak opozycyjna „Nasza Nowa”) zostało uznanych za ekstremistyczne i zablokowanych. Siedzi więc Paweł Mażejka, dziennikarz i działacz społeczny zaangażowany w ruchy miejskie. Paweł dostał sześć lat kolonii karnej o zastrzonym rygorze za „sprzyjanie działalności ekstremistycznej”. To nie pierwsza jego odsiadka, za krótki trafił jeszcze jako młody dziennikarz, wiele przeżył, przedwcześnie posiwiał, ale potrafił żartować, że „żaden tam z niego dysydent”. Siedzi Aleś Bialacki, obrońca praw człowieka, laureat Pokojowej Nagrody Nobla. Aleś usłyszał wyrok dziesięciu lat kolonii karnej o zastrzonym rygorze. Siedzą niegdyś aktywni w mediach politolodzy, miejscy aktywiści, blogerzy.

Nielicznych dziennikarzy, czy po prostu znajomych, którzy zostali na wolności, nie ośmieliłabym się po-

prosić o wywiad czy choćby krótki komentarz do tekstu. Nie napisała-bym do nich wiadomości w komunikatorze internetowym. To śmiertelnie niebezpieczne. Służby specjalne wciąż organizują łapanki na dziennikarzy i działaczy pozarządowych. W pierwszej kolejności sprawdzają właśnie ich telefony. Dowodem „winy” może być zapisany w kontaktach numer telefonu „kogoś z Polski”, żartobliwy SMS, a nawet emotikon. Nikt, kto trzy lata temu wziął udział w powyborczych protestach, nie może czuć się bezpieczny. Agenci Łukaszenki nieustrudzenie analizują nagrania wideo i zdjęcia z tamtych sierpniowych dni. Z tłumy – klatka po klatce – wyławiane są sylwetki, twarze. Jeśli daną osobę uda się zidentyfikować, nazajutrz do jej drzwi puka KGB. Trafi do więzienia lub kolonii karnej – reżim nie wybacza „zdrajcom”.

Pytam mieszkającą w Polsce białoruską intelektualistkę o to, jak żyją jej rodzina i przyjaciele, którzy zostali w kraju. Odpowiada, że nie żyją, tylko „walczą o przetrwanie”. „Oczywiście to nie Wielki Terror, ale wychodząc z domu lepiej mieć przy sobie szczoteczkę do zębów” – pisze. Trzeba uważać na treści umieszczane w mediach społecznościowych. W żadnym wypadku nie mogą mieć wymowy politycznej. Polityka stała się tematem tabu. Szczególnie niebezpieczne jest wyrażanie jakiegokolwiek solidarności z Ukrainą. Wielu ludzi posadzano „przez Facebooka”. Białorusini wstają więc rano i idąc do pracy zabierają ze sobą „sterylny”, czyli wyczyszczony z SMS-ów i zdjęć, telefon. W pracy z nikim nie rozmawiają. Milczą w metrze i podczas rodzinnych spotkań (tak bezpieczniej, bo w każdej rodzinie nie tylko ktoś siedzi, ale jest też przynajmniej jeden donosiciel albo pracownik służb specjalnych). „Ludzie przestali mieć poglądy” – pisze mi. A w lepsze jutro nikt już nie wierzy. Białoruś – udzielając Rosji wsparcia w wojnie z Ukrainą – stała się wasalem Moskwy. Łukaszenka jest politycznie zależny od Putina. Jeśli jego władza dobiegnie końca, stanie się to na życzenie prezydenta Rosji. I trudno oczekiwać, że w jego miejsce pojawi się władca bardziej liberalny, a więźniowie wyjdą z krat. ©



Już bez tabu

WOJCIECH KONOŃCZUK

OD DWÓCH I PÓŁ MIESIĄCA ARMIA UKRAIŃSKA próbuje przełamać trzy linie umocnień rosyjskich na terenach okupowanych. Jak na razie bez wielkich rezultatów. Jest jednak zbyt wcześnie, by głosić niepowodzenie kontrofensywy – Ukraińcy nie tylko walczą z silniejszym przeciwnikiem, ale działają w sytuacji niewystarczających ilości zachodniego uzbrojenia, które dociera z opóźnieniem. Gdyby Kijów dostał jesienią 2022 r. to, o co prosił, Rosjanie nie mieliby czasu, by rozbudować pozycje obronne, a zadanie Ukraińców byłoby prostsze.

Pozytywne jest natomiast, że nie ma już tabu na przekazywanie Ukrainie uzbrojenia. Dla tego tylko kwestią czasu była zgoda na dostarczenie myśliwców F-16. Pierwsze zdecydowały się na to Niemcy i Dania, które łącznie prześlą kilkadziesiąt sztuk. Problem w tym, że pierwsza eskadra (12 maszyn) ma trafić na Ukrainę dopiero w pierwszym kwartale 2024 r., a ostatnia partia za kolejny rok. Nie ma więc co liczyć na szybki „efekt F-16”; mniejsze są też szanse na korzystny dla Ukraińców przełom w wojnie. Dziennik „New York Times”, powołując się na rozmówców w administracji USA, napisał, że straty ukraińskie to już 70 tys. zabitych i 100-120 tys. rannych, a rosyjskie odpowiednio 120 tys. i 170-180 tys.

Nic nie wskazuje na szybkie zakończenie wojny. Rosjanie utrzymują front, zwiększając presję na gospodarcze wykrwawianie Ukrainy.

17 lipca Rosja wznowiła blokadę ukraińskich portów, co pogłębia problemy z eksportem rolnym. Powoduje to też napięcia w relacjach Kijowa z czterema unijnymi sąsiadami i Bułgarią, którzy od maja tymczasowo zablokowali dostęp ukraińskiego zboża na ich rynki (ale nie jego tranzyt).

Tymczasem na Zachodzie pojawiają się kolejne głosy, że Ukraina powinna oddać Rosji część okupowanego terytorium w zamian za członkostwo w NATO. Kijów je gniewnie odrzuca, twierdząc, że żadnych ustępstw wobec Rosji nie będzie. Zełenski co najwyżej dopuszcza „zrezygnowanie z [rosyjskiego] Biełogrodu za nasze członkostwo w NATO”. I ta wypowiedź do-brze oddaje obecny stan ukraińskiego ducha. ©



Opus Dei pod ostrzałem

ARTUR SPORNIAK

PRAŁATURA PERSONALNA OPUS Dei przestała *de facto* istnieć, a Franciszek odebrał jej członków świeckich – do takich wniosków doszedł włoski teolog ks. Giancarlo Rocca, komentując wydane przez papieża 8 sierpnia *motu proprio* modyfikujące dwa kanony prawa kanonicznego: 295 i 296. Odnoszą się one do funkcjonowania w Kościele prałatur personalnych — Opus Dei jest jedyną taką formacją. Pierwszy kanon mówi o władzy prałata jako ordynariusza prałatury (czyli posiadającego niektóre uprawnienia biskupa, np. może powoływać własne seminaria). Drugi określa funkcjonowanie świeckich (zawierają oni z prałaturą umowę regulującą zakres ich obowiązków i praw). Franciszek do pierwszego kanonu dopisał wtrącenie, że prałatura personalna podobna jest do publicznego stowarzyszenia kleryckiego. Drugi kanon doprecyzował dopiskiem: „zachowując przepisy kanonu 107”. Kanon ten każdego katolika przyporządkowuje władzy proboszcza i biskupa jego miejsca zamieszkania.

Z tych uzupełnień oraz z faktu, że już w 2022 r. papież wprowadził normę, iż prałat nie może być biskupem, a prałatura Opus Dei ma podlegać nie Dykasterii ds. Biskupów (jak dotąd), ale Dykasterii ds. Duchowieństwa, ks. Rocca wysnuł wniosek, że odtąd jedyna prałatura personalna w Kościele, która miała

ambicję być specjalną personalną diecezją, stała się zwykłym stowarzyszeniem kapłańskim, do którego oczywiście świeccy nie mogą należeć.

To wniosek zbyt daleko idący. Przedstawiciele Opus Dei bronią się, że dzieło nigdy nie miało ambicji stać się specjalną diecezją i odwołują się do swoich statutów. Rzeczywiście, np. punkt 75. nakazuje, „bezwzględnie unikać jakiegokolwiek formy lub pozorów władzy rządzenia” nad świeckimi członkami – zatem, jak każdy katolik świecki, członek Opus Dei np. w sprawach chrztu, ślubu czy pogrzebu zawsze podlegał swojemu proboszczowi. Działania Franciszka w dużej mierze motywowane są chęcią prawnego uporządkowania skomplikowanej formacji przypominającej po części i stowarzyszenie kleryckie, i instytut świecki, i pobożne stowarzyszenie wiernych. Obecny prałat ks. Fernando Ocáriz (na zdjęciu) zapowiedział całkowite podporządkowanie się decyzjom papieża.

Świat interesuje co innego. Co oznacza w praktyce, że „wszyscy wierni powinni być pokornie posłuszni Prałatowi i innym władzom Prałatury we wszystkim, co dotyczy szczególnego celu Opus Dei” (p. 88)? Tym celem jest dążenie do świętości poprzez wykonywanie świeckich zawodów – menadżera, sędziego, ministra, premiera... ©



ANDREAS SOLARO / AFP / EAST NEWS



Nauka działa

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

NA ŚWIAT RODEM Z FILMÓW SCIENCE FICTION przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać. Sensacyjne doniesienia południowokoreańskich naukowców, którzy ogłosili odkrycie pierwszego nadprzewodnika działającego w temperaturze pokojowej, okazały się fatamorganą. Ale jest też dobra strona tego rozczarowania: reakcja globalnej społeczności naukowej pokazała, że procesy odpowiadające za weryfikację naukowych odkryć działają doskonale.

Koreański zespół, kierowany przez Sukbae Lee i Jin-Hoon Kima, pod koniec lipca udostępnił w otwartym serwisie arXiv.org dwie nierecenzowane prace, które przekonywały, że materiał znany jako LK-99 jest nadprzewodnikiem. I to nie było jakim – jego niezwykle właściwości miały objawiać się w temperaturach przekraczających 100 stopni Celsjusza i w „normalnym” ciśnieniu atmosferycznym. Gdyby okazało się to prawdą, czekałaby nas technologiczna rewolucja. Taki materiał pozwoliłby na stworzenie nowej generacji superszybkich komputerów, budowę tanich elektrowni fuzyjnych, lewitujących pociągów czy linii energetycznych, które bez strat mogłyby przysyłać prąd na drugi koniec świata.

Marzenie prysło w ciągu kilku tygodni. Naukowcy z całego świata przystąpili do prób powtórzenia koreańskich eksperymentów. Pomogło to, że odkrywcy opisywali swoją metodologię oraz procedurę produkcji materiału. Z doniesień zespołów z Chin, USA czy Niemiec wyłania się spójny obraz: czysty LK-99 nie jest nadprzewodnikiem, ale wręcz... izolatorem.

To, co Koreańczycy wzięli za nadprzewodnictwo, było najprawdopodobniej zjawiskiem magnetycznym wynikającym z zanieczyszczenia materiału siarczkim miedzi.

Nikt nie zarzuca koreańskim badaczom próby celowego wprowadzenia świata w błąd. Wszystko wskazuje na to, że opublikowali swoje wyniki w dobrej wierze – popełnili jednak błędy. Te zostały błyskawicznie wychwycone przez innych naukowców. I tak właśnie powinna działać nauka.

Jej globalny system jest zdolny do błyskawicznego korygowania badawczych błędów jednostek. Nawet gdy w grę wchodzi gigantyczne pieniądze. A to, w dobie ataków na naukę płynących ze strony środowisk antyszczepionkowych czy klimatycznych denialistów, może nawet być cenniejsze od nowego nadprzewodnika. ©

NA PUNKTY



Mocna zagrywka Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

KUNDELKI

Dziwne jest życie wewnętrzne opozycji. Na firmowanej przez Rafała Trzaskowskiego imprezie Campus Przyszłości miała się odbyć tzw. debata symetrystów. Nie dojdzie do skutku, bo pod presją głosów w mediach społecznościowych organizatorzy wycofali zaproszenie dla publicysty Grzegorza Sroczynskiego, który w dyskusji radiowej określił wspierającą PO grupę aktywistów z Twittera, tzw. SilnychRazem, mianem „wściekłych kundelków”.

SZMALCOWNICY

Określenie Sroczynskiego jest stosunkowo łagodne wobec fraz używanych na co dzień wobec podobnych mu osób próbujących się wymknąć z plemiennego podziału. Większość tych określeń jest niecenzuralna, muzyk i głośny zwolennik PO Zbigniew Hołdys określił zaś symetrystów mianem „szmalcowników”.

DRUŻYNA

A PO nie pierwszy raz ustępuje pod naciskiem SilnychRazem. Kiedy poseł Sławomir Nitras przyznał niedawno, że przestał obserwować jednego z nich ze względu na używany przezeń język nienawiści, internetowa presja zmusiła go do samokrytyki: „Przepraszam panie Adamie. Przesadziłem. Jesteśmy przecież w jednej drużynie, także w sprawie symetriizmu”. ©©

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK, PREZES ruchu Agrounia, nie pasuje do Koalicji Obywatelskiej. To polityk antyunijny, kiedyś nawet prorosyjski, opowiadający się za skrajnym protekcjonizmem w gospodarce. W dodatku polityk, który przed zagrywką Donalda Tuska – bo to Tusk osobiście zdecydował o wciągnięciu Kołodziejczaka (na zdjęciu) na listy wyborcze KO – rozmawiał już prawie ze wszystkimi. I wszystkich, jak przyznawali w nieoficjalnych rozmowach m.in. liderzy Polski 2050, zwodził. Szymonowi Hołowni mówił, że Tusk mu oferuje sześć „jedynek” na listach (co finalnie okazało się nie tak dalekie od prawdy). Władysława Kosiniaka-Kamysza z PSL namawiał, by razem pozbyli się Hołowni; Tuska zbywał zaś rzekomo pewnym już układem z Trzecią Drogą.

To ostatnie rzeczywiście było realne, bo za wciągnięciem Agrounii na wspólne listy było PSL. Twardo sprzeciwił się temu jednak Hołownia, który uznał, że

Kołodziejczak okaże się koniem trojańskim Sejmu i wraz z Konfederacją będzie grał na szybkie kolejne wybory. Politycy Polski 2050 uważali też poglądy Agrounii za nie do przyjęcia, a sojusz za niezgodny z nową jakością w polityce, której chcą, jak deklarują, strzec. Tego nie wystraszył się Tusk.

Jemu chodziło głównie o wyborczy efekt PR-owy: teraz znów może mówić, że Koalicja Obywatelska jest jedyną szeroką formułą opozycyjną zdolną pokonać PiS. Transfer lidera Agrounii niesie też jednak dla KO ryzyko i nie jest wcale pewne, że pomoże w sondażach. Egzotyczność tej kandydatury może się okazać zbyt duża, by część elektoratu KO ją strawiła (ten sam kłopot jest w samej Agrounii). Tym niemniej zaskakujący ruch Tuska należy odbierać pozytywnie z punktu widzenia interesu całego paktu senackiego. Jeśli komuś odbiera głosy – to przede wszystkim Konfederacji. Tusk zrobił więc ruch, który nie był kolejnym aktem politycznego kanibalizmu, tylko faktycznie poszerzył wyborczą bazę. ©



WOJCIECH OLUŚNIK / EAST NEWS



Lex Czarnek 3.0: co robi prezydent

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

HISTORIA TEJ USTAWY może kiedyś zasilić podręczniki o mechanizmach manipulacji. Trzecia odsłona tzw. Lex Czarnek to nazwa nieco myląca: ustawa, która przeszła kilka dni temu przez Sejm, ma tym razem charakter obywatelski, a nie rządowy – i została już przez zwolenników ochrzczona mianem ustawy „Chrońmy dzieci”, ale nie bardzo wiadomo, przed czym. Zabrana w szkołach i przedszkolach

działalności organizacji „promujących zagadnienia związane z seksualizacją dzieci” – ale żaden z polityków prawicy nie pokusił się o ich definicję. Seksualizacja, czyli sprowadzanie człowieka do roli erotycznego przedmiotu, to realny problem – ale będące na indeksie rządu organizacje starają się młodzież przed tym zjawiskiem raczej chronić, niż „seksualizację” promować.

Dwie poprzednie wersje ustawy przedstawiano jako wzmacniające głos rodziców – ale było dokładnie na odwrót. Pełnię władzy w kwestii tego, jaką organizację wpuścić do szkoły, mieli kuratorzy oświaty, czyli urzędnicy z PiS-owskiego nadania. W wersji 3.0 kurator takiego prawa weta już nie ma. Czy to wystarczy, by prezydent, który zablokował dwie poprzednie propozycje, tym razem złożył swój

podpis? Z Pałacu dochodzą głosy, że nowej wersji Lex Czarnek może pomóc jej obywatelski background.

Tak czy inaczej, warto sobie zdawać sprawę, że ta ustawa i tak już od dawna działa – w formie tzw. efektu mrożącego, który podpowiada dyrektorom, by nie narażać ich placówek na kłopoty. Ważniejsze jest dla PiS-u nie tyle uchwalenie, co jak najdłuższe uchwalanie tego prawa. Bo Lex Czarnek – z burzliwymi debatami i kolejną bohaterką obroną „seksualizowanych dzieci” – doskoalał się nadaje na przedwyborczy czas. ©©



JOSE BRETON / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Kobieca piłka stała się globalnym interesem

SPORT ■ Widziałem niektóre akcje i mówiłem do siebie: „wow” – zachwycił się trener Manchesteru City Pep Guardiola pytany o kobiece mundial. Zapewne niejeden zachwyt wydarł się z ust Katalończyka, gdy przy piłce była Aitana Bonmatí (na zdjęciu w czerwonej koszulce). Mówił: – Jest jak Iniesta kobiecego futbolu.

Hiszpańska piłkarka została najlepszą zawodniczką mundialu, który właśnie zakończył się w Australii i Nowej Zelandii. Hiszpania pokonała w finale Anglię i pierwszy raz w historii sięgnęła po mistrzostwo świata w kobiecej rywalizacji. Guardiola zapowiadał, że obejrzy finał, przyznał, że widział oba półfinały: mecz Hiszpanii ze Szwecją i Australii z Anglią. Był więc jedną z 7,3 mln osób, które w szczytowym momencie oglądało na Wyspach zwycięstwo mistrzyni Europy nad Australią.

Współgospodynie turnieju zgromadziły przed ekranami w całym kraju jeszcze więcej widzów: w szczytowym momencie poczynania zawodniczek śledziło 11,1 mln osób. Z szacunków Uniwersytetu Deakin wynika, że mecz Anglia-Australia obejrzało 17,5 mln osób, czyli ok. 64 proc. populacji kraju. Co oznacza, że mecz piłki nożnej kobiet stał się największym wydarzeniem w historii australijskiej telewizji, nie tylko gdy mowa o futbolowej czy sportowej rywalizacji. Rekordy padały też na trybunach: na mecze sprzedano prawie 2 mln biletów. Kobiece mundial wygenerował 570 mln dolarów, ku uciechu Gianniego Infantino. – To drugi najwyższy dochód ze wszystkich dyscyplin sportowych na arenie międzynarodowej, oprócz, oczywiście, mistrzostw świata mężczyzn – przechwalał się prezes FIFA.

Kobieca piłka stała się więc niezłym globalnym interesem. Hashtag #nikogo, towarzyszący od lat informacjom o kobiecym futbolu, gorzko komentował to, że właściwie nikt babskim graniem się nie interesuje. Dziś spokojnie można go zacząć zmieniać na #wszyscy.

© JOANNA WIŚNIEWSKA

Na pustyni saudyjskie wojsko zabija migrantów z Afryki

GRANICE ■ Między marcem 2022 r. a czerwcem tego roku straż graniczna Arabii Saudyjskiej zabiła co najmniej kilkuset migrantów z Etiopii, którzy usiłowali dostać się do tego kraju z terytorium Jemenu. Według organizacji praw człowieka Human Rights Watch wydarzenia te – gdyby uznać je za wyraz oficjalnej polityki Rijadu – spełniają kryteria ludobójstwa.

Napisać, że szczerzyli właśnie ogłoszonego 73-stronicowego raportu organizacji są przerażające – to jakby nie napisać nic. Ocalali świadkowie opowiadali o żołnierzach, którzy dla zwiększenia cierpienia najpierw strzelali Etiopczykom w kończyny; o moździerzach używanych do zabijania uciekających z powrotem do Jemenu; o metalowych prętach, którymi bito ludzi. Przypadki zabójstw migrantów są tu dokumentowane już od 9 lat, jednak zdaniem Human Rights Watch w ostatnich

ziemnym i granicy Meksyk – USA trzeciej najważniejszej drodze migrantów na świecie. W samej Arabii Saudyjskiej żyje prawdopodobnie ok. 750 tys. obywateli Etiopii; wcześniej cieśninę Adeńską oraz góry Jemenu przez lata pokonywali głównie uciekający przed wojną domową Erytrejczycy. Podobnie jak w emiratach Zatoki afrykańscy migranci są w Arabii Saudyjskiej narażeni na wykorzystywanie, zabiera się im paszporty, kwateruje w nieludzkich warunkach. Pisząc o zabójstwach na granicy z Jemenem Human Rights Watch zwraca też uwagę na to, że w ostatnich latach Arabia Saudyjska wydała setki milionów dolarów na organizację prestiżowych imprez sportowych, m.in. Formuły 1; kusi też atrakcyjną ligą piłkarską i golfową – wszystko to, zdaniem organizacji, podpada pod *sportswashing*, część strategii „wybielania” wizerunku kraju na Zachodzie.



ALI EBUBEKIR TOKCAN / AFP / EAST NEWS

Migranci i uchodźcy z Rogu Afryki w obozie przejściowym Ajlanije, region Hadramaut przy granicy z Arabią Saudyjską, Jemen, 2 lipca 2023 r.

miesiącach dochodzi do nich w skali wcześniej niespotykanej.

Zebrałe świadectwa dotyczą tylko jednego miejsca na jemeńsko-saudyjskiej granicy. Region ten od kilku lat jest uznawany za najtrudniejsze miejsce na szlaku wiodącym z Rogu Afryki do państw nad Zatoką Perską – po Morzu Śród-

„Położyłam się pod skałą i tam zasnąłam – mówi tymczasem cytowana w raporcie 14-letnia Hamdija, dziewczyna z Etiopii. – Czułam, że obok mnie też leżą ludzie. Potem zdałam sobie sprawę, że to ich martwe ciała. Obudziłam się i byłam sama”.

©© MARCIN ŻYŁA

Jak WHO flirtuje z medycyną tradycyjną

ZDROWIE ■ „Dla milionów ludzi na świecie tradycyjna medycyna jest pierwszym krokiem do zdrowia i dobrostanu. Ajurweda, akupunktura, ziołolecznictwo, homeopatia, naturopatia, osteopatia, unani, tradycyjna medycyna chińska – czy kiedykolwiek stosowaliście coś z tej listy?”

Wpis o tej treści, opublikowany 12 sierpnia przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) na Twitterze, wywołał w środowisku naukowym konsternację. Na profilu WHO pojawiła się także wzmianka o tym, iż „40 proc. farmaceutyków opiera się na składnikach występujących naturalnie”, czy krótki film o Abigail Irozuru, brytyjskiej lekkoatletce, która „włączyła tradycyjne praktyki lecznicze – jogę, medytacyjne spacerzy przyrodnicze – do swojego codziennego treningu i procesu regeneracji”, i której przykład przekonuje, że „konwencjonalna i tradycyjna medycyna mogą iść w parze”.



Shirodhara – masaż leczniczy polegający na polewaniu ciała ciepłym płynem, wykonywany w nurcie niekonwencjonalnej medycyny indyjskiej ajurwedy. Ahmadabad, sierpień 2023 r.

WHO w komunikacji medialnej zastosowała więc metodę, jakiej nie powstydziliby się pewcy pseudonauki, którzy powołując się na przypadkowe statystyki i pojedyncze szczęśliwe historie, idące w poprzek obowiązującym standardom, próbują reklamować swoje „terapię”.

Te materiały zapowiadały pierwszy w historii globalny szczyt WHO poświęcony medycynie tradycyjnej, który odbył się właśnie w Indiach. Zgodnie z komunikatem organizacji podczas wykładów i ob-

rad obowiązywać miało podejście oparte na faktach. Jednak organizatorzy szczytu, jak zauważyła w „Nature” Gayathri Vaidyanathan, opublikowali z tej okazji edytoriał w „Journal of Ayurveda and Integrative Medicine”, w którym przeciwstawiali redukcjonistyczne podejście naukowej medycyny z obecnym w tradycyjnych nurtach podejściem holistycznym, pokazującym „wzajemne połączenia umysłu, ciała i ducha”.

Samo zainteresowanie medycyną tradycyjną ze strony WHO

nie jest niczym niepokojącym. W nauce odróżnia się kontekst odkrycia od kontekstu uzasadnienia – tylko w tym drugim obowiązują ścisłe reguły. Stosowane przez medycynę tradycyjną specyfiki i procedury są warte drobiazgowego sprawdzenia. Można mieć jednak obawy, czy otwartość WHO na niekonwencjonalną medycynę i doświadczenia rdzennych kultur połączone z nieprzemyślaną strategią komunikacji nie staną się niechcący impulsem do promocji pseudonauki. ©ŁK

Czy Tatry faktycznie są „zadeptane”?

GÓRY ■ 15 sierpnia słowackie Tatry odwiedziło 27 216 turystów – a przynajmniej tylu doliczyli się pracownicy TANAP, Tatrzańskiego Parku Narodowego na Słowacji. To drugi najwyższy wynik w historii (statystyki są prowadzone już od 51 lat). Najbardziej wyjątkowy pod tym względem był pandemiczny sierpień 2020 r., kiedy liczba turystów przekroczyła 30 tys.

W tym roku na szczyt samych Rysów (2503 m n.p.m.) rekordowego dnia weszło 1976 osób – o 788 więcej niż przed rokiem. Statystyki polskiego parku narodowego (bardziej miarodajne, opierające się bowiem na liczbie sprzedanych biletów) pokazują, że przełomowy był rok 2021. Wcześniej TPN odwiedzało około 3,6 mln osób

rocznie; później nastąpił spowodowany koronawirusem spadek do 3,3 mln (2020). Od dwóch lat mamy nowe rekordy – do polskiej, znacznie mniejszej od słowackiej części Tatr przyjeżdża ponad 4,5 mln ludzi. Niewiele więcej biletów sprzedaje 42 razy większy park narodowy Yellowstone w Stanach Zjednoczonych. Jednak z lamentowaniem nad „zadeptanymi Tatrami” trzeba być ostrożnym, bo turystyka skupia się tutaj w kilku głównych punktach. W mniej popularnych dolinach, zwłaszcza na Słowacji, tłumów nie zobaczmy.

Niepokój przyrodników i władz obu parków narodowych budzi rosnąca popularność turystyki specjalistycznej – wspinacz-

ki, skitouringu. Trwa dyskusja o nowym regulaminie TANAP, który zamyka niektóre rejon przed wspinaczami i ogranicza możliwość spacerowania z psami. Podczas tegorocznego „spisu turystów” naliczono aż 321 tych zwierząt. „Ludzie chcą wykorzystać ostatnią okazję, aby zabrać swoje psy w alpejskie środowisko” – skomentował Pavol Majko ze słowackiego parku narodowego.

©ŁK KRZYSZTOF STORY



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP”
co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

MICHAŁ OKOŃSKI: Zacznę od pytania trzeciego, dobrze?

MIKOŁAJ GRYNBERG: Dobrze.

„Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzuconym przez biurokrację europejską?”

I pewnie nie mogę mówić brzydkich słów?

Najpierw chcę sprawdzić, czy można bez brzydkich.

Ja bym chciał, żeby ci ludzie nie musieli umierać. Unia jest gotowa na ich przyjęcie i są pomysły, jak to zrobić. Tylko my ich nie przyjmujemy, bo to przynosi korzyści polityczne, szczególnie przed wyborami.

A nie chcesz rozłożyć tego pytania na czynniki pierwsze? Ustalić, co to jest relokacja? Rozróżnić nielegalnego imigranta i uchodźcę?

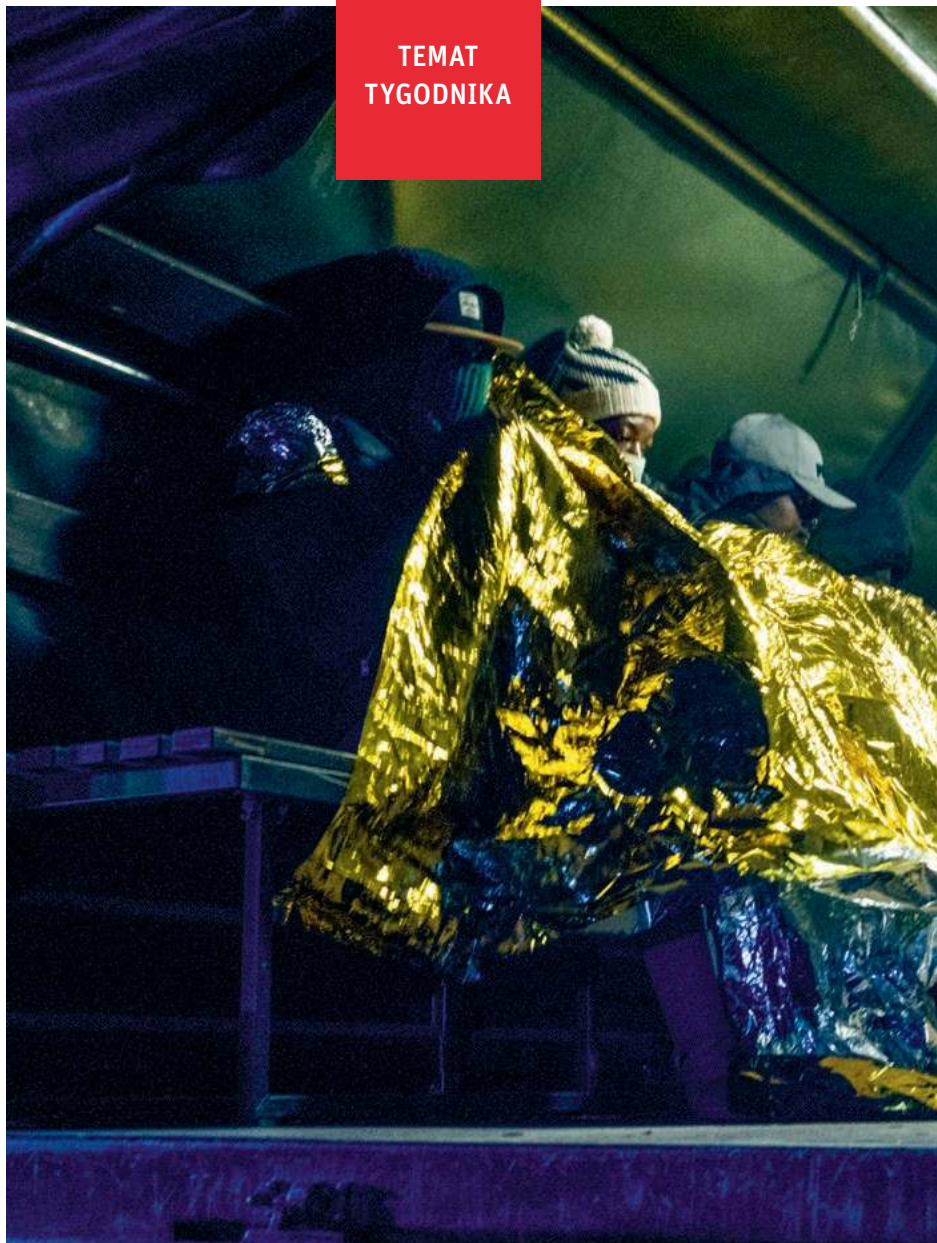
Wiesz, gdybym się urodził wcześniej, to ja mógłbym tam być. Mógłbym np. uciec z getta i dostać się na granicę Szwajcarii, która by mnie nie przyjęła... Ludzie opuścili kraje, w których nie dało się żyć, a mówi się o tym, że mają drogie buty albo pasek od Gucciego – jedni mają oryginalne, inni mają podróbki, a najdziwniejsze, że komuś przychodzi do głowy zastanawianie się nad tym, w co są ubrani. Albo że to są zdrowe byczki – choć w lasach spotyka się zagłodzonych i wyczerpanych. Nie umiem tak rozmawiać. Płakać mi się chce, jak myślę, że tam tygodniami stoją całe rodziny i że my się nad nimi pastwimy.

Pastwimy?

Nie tylko ich wyrzucamy z powrotem na białoruską stronę, ale zabieramy im buty i rozwalamy telefony, żeby nie mogli się z nikim porozumieć. Rozdzielamy bliskich. Nie rozumiem tego okrucieństwa. I jestem pewien, że ono nie jest potrzebne do tego, żebym się czuł bezpiecznie.

Jeden z Twoich rozmówców był kiedyś wojewodą podlaskim. „Granica powinna być pilnowana przez służby i powinna być szczelna. Wiem, że nie wszystkim to się podoba, ale takie jest zadanie państwa, pilnować swoich granic” – mówi. Granicy nie można nielegalnie przekraczać. Kogoś, komu nie przysługuje status uchodźcy,

TEMAT
TYGODNIKA



Zatrzymanie grupy osób z Konga. Nowosady, 6 września 2021 r.

LUDZIE LUDZIOM

MIKOŁAJ GRYNBERG, REPORTER:

Śłuchajcie, nie wszyscy o tym wiecie, ale w naszym lesie ktoś umiera. Są tacy, którzy wyręczając państwo, walczą o jego życie. To nie jest sprawa polityczna.



MIKOŁAJ KIEMBŁOWSKI

można deportować. To są kwestie, o których trzeba mówić niezależnie od cynizmu, z jakim władza próbuje zarządzać naszym strachem.

Ale ja się z tym zgadzam. Nie mam z tym problemu.

Nie masz? Bo ja chciałem z Tobą mówić nie tylko o tym, że Antygo-na miała rację, ale o argumentach Kreona.

Tylko widzisz, władza pyta, czy jesteśmy za otwieraniem granicy, tymczasem ona jest cały czas otwarta.

To znaczy?

Granica *de facto* nie istnieje. Jest przezroczysta. Przechodzą nią dziesiątki ty-

sięcy ludzi. O tym, kto się przedostanie, decydują Białorusini. Nasza służba przez lata nie funkcjonowała dobrze, bo przejść pilnowali tamci.

To się zmieniło, ponieważ Białorusini z masowego przepuszczania migrantów zrobili element wojny hybrydowej z Europą.

Ale granica jak nie działała, tak dalej nie działa.

A mur?

Przyniósł tylko więcej cierpienia... Nic nie zmienił.

Jak to? Twoi rozmówcy mówią przecieź, że od kiedy jest mur, liczba

próbujących przejść wyraźnie się zmniejszyła. Owszem: jest więcej złamanych nóg, ludzi pokaleczonych, ale samych przypadków jest mniej.

Dzisiaj już nie można powiedzieć, że jest mniej. Kiedy mur powstawał, było mniej, bo eliminował starszych i dzieci. Ale potem ludzie się nauczyli. Są podkopy, drabiny i wielkie drągi, którymi się rozsuwa żerdzie – to nie jest żaden mur, tylko płot.

Bo wiesz, jak powiedziałeś, że Unia ma pomysły, to pomyślałem, że jej pomysłem jest właśnie mur. Niebędący polskim wynalazkiem, gdyż powstał też na Litwie, buduje się go na Łotwie i w Estonii.

Na świecie jest 80 murów.

No właśnie.

I większość nie działa. Ale zawsze sprzyja propagandzie. Sprzyja tym, którzy mogą zarządzać naszym poczuciem bezpieczeństwa, niezależnie od tego, jak się rzeczy mają w rzeczywistości.

Czyli odpowiedź na pytanie czwarte – „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej z Republiką Białorusi?” – uchylasz jako bezsensowne. Skoro mur nie przyczynia się do zmniejszenia fali nielegalnej migracji...

Powinny u nas wreszcie zacząć obowiązywać procedury, które uniemożliwiają wyrzucanie ludzi przybywających z takich krajów, jak Syria, Afganistan czy Jemen. Nie można odsyłać tych, którzy udowodnią, że powrót do kraju ich pochodzenia grozi im śmiercią.

A co z resztą?

O reszcie rozmawiamy. Koniec końców i tak wszyscy będziemy tu razem mieszkać. Ja nie mam cienia złudzeń w tej sprawie. Ci, którzy mówią, że obronią „twierdzę Europa”, zwyczajnie nas oszukują.

Może oni też to wiedzą, tylko chcą opóźnić ten proces.

Ale co nam da opóźnienie? Nie lepiej wykorzystać czas na przygotowanie się? Na opracowanie procedur integracji? Eliza Kowalczyk, jedna z bohaterek mojej książki, mówi, że musimy się trochę posunąć, bo oni i tak tu przyjdą. ➔

→ To realistyczne podejście, ale my się nakręcamy, że będą nas gwałcić i budować meczety na każdym rogu. Owszem, może będziemy mieli meczety na każdym rogu – zaprzeczanie nie spowoduje, że się do tego lepiej przygotowujemy.

„Ty wiesz, co będzie, jak tu przyjdą, będą gwałcić kobiety w tramwajach”. „Ale tu nie ma tramwajów” – to wymiana zdań jednej z bohatererek Twojej książki, Beaty Siemaszko, z sąsiadką.

Ktoś z moich rozmówców mówi, że jak poszedł do lasu i zobaczył tych ludzi, to mu się przypomniały zdjęcia ofiar Holokaustu. Jakiego gwałty?!

Tylko że takim zdaniem nie wygrywa się wyborów.

Ja nie jestem politykiem. Nie wiem, jak powinna wyglądać polityka migracyjna. Ja bym nie chciał, żeby ludzie umierali w lesie.

„Dla mnie to są ludzie w potrzebie. Chodzi o to, żeby mieli co jeść i pić, i żeby nie umarli w moim lesie. Cała reszta jest w ich rękach” – mówi inny z bohaterów Twojej książki, Adam.

Wracam właśnie z festiwalu w Budzie Ruskiej. Wspaniała publiczność, dobra rozmowa, i nagle wstaje facet, który mówi: „Ja mam tylko takie pytanie. Pan mi powie, jaka jest różnica między proszonym gościem a nieproszonym?”. Już wiem, co będzie: nieproszony to ten, którego nie zapraszamy, a skoro myśmy nie zapraszali, to wynocha. Pytam: „O co panu chodzi? Bo jeśli pana intencja jest taka, jak myśle, to ja nie będę z panem rozmawiał”.

Nie można łączyć tych perspektyw? Bezpieczeństwa państwa i poszanowania praw człowieka? Legalizmu i humanitaryzmu? Twój bohater, wspomniany były wojewoda Maciej Żywno, mówi: „Nigdy bym nie uwierzył, że z państwowca stanę się partyzantem, który się chowa po lesie”. On nie przestał być państwowcem, choć kiedy odkrył, że jego telefon jest na podsłuchu, stał się jeszcze bardziej partyzantem.

Ja się zgadzam z tym, że Maciej Żywno ma zupełnie inną perspektywę. I wiem, jak by to można było mądrze zrobić.

Ludzie, których ratują bohaterowie Twojej książki, są pionkami w straszliwej grze Łukaszenki i Putina.

Dla mnie kluczem jest to, że oni są pionkami postawionymi na naszym polu. Oczywiście, że gdyby Łukaszenka nie otworzył tego szlaku i nie zaczął zarabiać na przetrzucaniu ludzi, to przechodziliby gdzie indziej. Bo oni i tak będą szli do Europy.

Napisałem książkę o grupie ludzi, która wzięła odpowiedzialność za państwo. Żeby u nas nikt nie umierał – w ich lesie, jak zacytowałeś. Ja nie mówię, że wiem, jak to zrobić. Mówię: „Słuchajcie, nie wszyscy o tym wiecie: w naszym lesie umierają ludzie, bo nie umiemy rozwiązać tego problemu”. Od rozwiązywania problemu nie jest reporter, tylko ktoś, kto się zna na demografii, migracjach, ekonomii, bezpieczeństwie...

Oczywiście, że jestem bezbronny wobec tego dylematu. Ja bym chciał, żeby cały świat był otwarty i wszyscy ludzie się kochali. Wiem, że tak nie jest i nie będzie. Ale jestem pewien, że można sprawić, żeby na polskiej granicy nie ginęli ludzie.

À propos tego „Słuchajcie, nie wszyscy o tym wiecie...”: ja na swój sposób jestem wdzięczny PiS-owi za to referendum, bo zmusił mnie do skonfrontowania się z Twoją książką. Przecież Ty mi ją przysłałeś w czerwcu. A ja jeszcze kilka dni temu nie byłem w stanie po nią sięgnąć.

To jest to, czego się najbardziej bałem. „Wiem, że pan napisał tę książkę, ale boję się ją kupić”. Wysłałem ci, napisałeś, że czekałeś i dziękujesz, a potem długo nic. Rozumiem, że trudno się z tym konfrontować. Wjeżdżają te wszystkie mechanizmy wyparcia i zaprzeczenia. Ale chyba coś zaczęło pękać. Już na pierwszym spotkaniu autorskim, na festiwalu Góry Literatury, zobaczyłem tłum płaczących ludzi. I pomyślałem: „Dobra, jesteśmy razem. Bo teraz już nie płaczę nad tym sam”.

Wiem, że ta książka ma wadę, bo powoduje uczucie bezsilności...

...we mnie nie spowodowała.

...ale budzi też wkurw. A wkurw to jest energia. Dlatego zrobiłem listę rzeczy, które każdy z nas może zrobić, namówili mnie do tego moi bohaterowie [publiku-



MIKOŁAJ KIEMBŁOWSKI

jemy tę listę na powszech.net/grynberg – red.].

A dlaczego w tobie nie spowodowała bezsilności?

Po pierwsze dlatego, że – jest w niej dużo odniesień do historii, to i ja takiego użyję – czuję się, jakbym zsiadł z karuzeli przy murze getta. Po drugie dlatego, że jak dałeś tytuł „Jezus umarł w Polsce”, to mógłbym powiedzieć, że Jezus zmartwychwstaje w Twoich bohaterach.

To nie są analogie z mojego świata pojęć, że ktoś zmartwychwstał. Ale oczywiście rozumiem: zło, które tam się dzieje, wywołuje wiele dobra. To jest prawda. Ale ciągle umierają ludzie. A ci, którzy czynią to dobro, płacą taką cenę, że nie wiem, czy potem ten bilans dalej jest dobrem.

Dopowiedzmy: cena, jaką płacą Twoi bohaterowie, to np. PTSD, zespół stresu pourazowego.

Część ma już diagnozę, a część mówi: „No, u mnie wszystko okej, pewno będę miała PTSD, jak to się skończy”. Są tacy, którzy wyjdą z tego obronną ręką – wiele zależy od zmiennych osobniczych. No i dopóki jesteś w działaniu, to się trzymasz. Przy takich emocjach, kiedy ratujesz komuś życie, kiedy się chowasz, uciekasz, kiedy mundurowi rzucają cię na ziemię, lżą i przykładają karabin do pleców,



Granica na wysokości Białowieży, 28 maja 2023 r.

kiedy przyjeżdżają pod twój dom i świecą po nocach w okno, ludzie szybko stają się sobie bliscy. I tam się tworzą wewnętrzne światy pełne zaprzeczeń, bardzo niebezpieczne.

Nie rozumiem.

Grupa daje ci komfort niekonfrontowania się z własnymi emocjami. Jesteś w działaniu, leczysz, nosisz, ale na chwilę się wycofujesz, zostajesz sam i wtedy się rozpadasz: leżysz i nie umiesz wstać z łóżka. Część z nich myśli: „Gdybyśmy byli dalej razem, to jemu by się to nie stało”.

Są też dzieci.

Tak, od dwóch lat żyjące w domach, z których dorośli chodzą do lasu, a potem wracają i opowiadają historie.

Zwłaszcza gdy koledzy w szkole potrafią się bawić w gonienie „ciapatych”, bo ich rodzice pracują w Straży Granicznej.

Ale nawet gdyby nie miały takich kolegów. Jeśli non stop słuchasz takich historii, to się stają twoim światem. A twój świat powinien być bezpieczny. Jeśli nie jest, zaczynasz żyć w świecie lęków. Żle interpretujesz rzeczywistość, i to w momencie formatywnym.

Brzmisz teraz jak autor „Oskarżam Auschwitz” – książki, w której po-

kazałeś traumy dzieci ocalałych z Zagłady.

To jest to samo, co robiłem przedtem. Jak mi Paulina Bownik powiedziała, że dzwoni babka, która mieszka gdzieś w lesie: „Doktorko, pani do mnie przyjdzie, bo ja tu ukrywam człowieka, a on chyba jest chory”, no to pomyślałem: „Kurczę, to się znowu dzieje”. Zatykanie ust dzieciom, żeby w lesie nie płakały, bo strażnicy mogą usłyszeć? Przecież ja już pisałem o tych historiach!

„Rozumiałem, że mają prawo się mnie bać. Nie wiedzieli, że ja ich nie wydam”...

Tak mówi w książce Adam.

A Ty mówisz do Pauliny Bownik:

„Będziesz listkiem figowym”, w domyśle: jak Irena Sendlerowa. Straszne są te analogie: „Jedna stodoła pomaga, druga wydaje. Jedna chowa, druga pali”.

Mamy doświadczenie radzenia sobie z nieczystym sumieniem. Będziemy stawiać Paulinie pomniki, a potem historia znów się powtórzy.

Są tacy, którzy mówią mi teraz, że takie rzeczy są możliwe tylko na Podlasiu, bo tam są wieśniaki, dzicz, a u nas w Poznaniu albo w Galicji na pewno byłoby inaczej. Takie myślenie też powoduje, że się nie rozwijamy.

Kolejny raz jak z Tobą rozmawiam, łapię się na tej samej wątpliwości: czy tu rzeczywiście chodzi o rasizm? Boimy się obcych, jasne, ale czy rasa i kolor skóry mają znaczenie?

Zobacz: sto kilometrów na południe wpuszczamy wszystkich, którzy przyjeżdżają. Przecież Syryjczycy też uciekają przed ruskimi samolotami.

Nie słyszeliśmy o tym.

Ale jak długo można nie słyszeć?

Tamta wojna jest daleko, ta blisko.

Słuchaj, mam dla ciebie opowieść. Przez chwilę w marcu 2022 roku byłem w grupie Zasoby – takiej, która po rosyjskiej inwazji łączyła na Dworcu Zachodnim uchodźców z Ukrainy z warszawiakami, którzy im dawali mieszkanie. Tam się zdarzało, że przychodzili ludzie odebrać swoich gości i kiedy ci goście nie byli biali, to nie chcieli ich brać. I w ten

sposób pokazywali, wiesz, dotykali ręką po policzku, że kolor nie taki. To byli dobrzy Polacy, naprawdę chcieli pomóc, ale „nie mogli do domu przywieźć takich gości, bo tam już rodzina czeka przy zastawionym stole”.

A jednocześnie ci, którzy działają w lesie, spotykają tam wykształconych ludzi, od których dowiadują się mnóstwa rzeczy.

Ktoś ugościł np. doktora fizyki, muzyka, informatyka, ekonomistę, studenta.

Przy kimś takim raczej się wstydzisz, że za mało wiesz, niż się boisz. Nikt mi nigdy nie powiedział, że poczuł strach przed ludźmi, którzy są w drodze.

Są w Twojej książce niezwykle wymiany zdań. „Uratowaliście 25 osób” – mówisz. „Nie, mieliśmy szczęście poznać niesamowitych ludzi, naprawdę” – słyszysz w odpowiedzi.

Tak mówi w książce Mama Africa i jestem pewien, że tak uważa. To jest o człowieczeństwie w pełnej krasie.

O człowieczeństwie jest też to, o czym mówi Kamil Syller: przyjmowanie do domu kogoś w strasznym stanie. „Tygodniami niemocy, dziecko ufajdane od wielu dni i niesamowity smród”. I atmosfera wzajemnego napięcia.

A potem patrzeć, jak ktoś się odbudowuje. Mówienie „śpioch” o człowieku, który siedzi u ciebie od tygodnia, żarty, że będziesz go usynawiać... Pomyślałem wtedy o moim tacie, który przez rok ukrywał się ze swoimi rodzicami w piwnicy u państwa Dąbrowskich na ulicy Barszczewskiej w Warszawie. Nie powiedziałem tego na głos, ale kolejne zdanie Kamila brzmiało: „Inaczej patrzę na to, co się działo w czasie wojny”.

Nie ma kary śmierci za ukrywanie. Ale i tak są potężne progi do przejścia.

Myślę, że bardzo złe rzeczy nadchodzą. Że państwo podejmie radykalne kroki wobec aktywistów. Że zrobi to, co wiele krajów w podobnej sytuacji: zacznie ich oskarżać o udział w handlu ludźmi, kobietami i dziećmi na organy. A część Polaków będzie się radować z sukcesu służb. →

→ **Ja myślę, że żyjemy w światach niespotykających się narracji. Ktoś może uwierzyć w taką historię, ale inni nie. No i są jeszcze sądy w tym kraju.**

Jest taki film na Netfliksie o dwóch siostrach-pływaczkach z Syrii. Przeszły drogę uchodźczą przez Lesbos, znalazły się w łodzi, która zaczęła tonąć, uratowały się i wylądowały w Niemczech, a potem jedna postanowiła pomagać innym uchodźcom. Podobno jest teraz oskarżona z takiego paragrafu. Po prostu państwo broni się, żeby nas „nie zalali”. Chociaż i to państwo, i ty, i ja wiemy, że w wielu miejscach świata nie da się już żyć. A u nas się da i dlatego do nas przychodzą. Gdyby sytuacja była odwrotna, też byśmy szli.

Myśmy stworzyli szczęśliwą wyspę bogactwa, ale kosztem eksploatacji tamtego świata.

Próbowałem tak rozmawiać. To nie działa. „Polska ma czyste sumienie i nie miała kolonii. To nie nasza wina. A poza tym pomagaliśmy Żydom”. Szybka, płytka riposta, przenosząca odpowiedzialność na zupełnie inny poziom, niż jest potrzebny, żeby dialog zakończył się sukcesem.

Przerobiłem tę rozmowę też sam ze sobą. I tak naprawdę uważam, że chodzi tylko o ominięcie etapu, w którym ludzie muszą walczyć w lesie o życie. W którym stają się przedmiotem przemocy fizycznej i psychicznej w trakcie push-backów. W którym wcześniej, na Białorusi, są ofiarami przemocy seksualnej w tymczasowych obozach... W którym strażnik, czując, że ma przyzwolenie przełożonych, może się delektować własną siłą i sześciu chłopaków z Etiopii push-backuje tak, żeby każdy trafił za płot w innym miejscu. To jest perwersja.

Kreon powie, że to taktyka zniechęcania. Żeby nie spróbowali ponownie.

Jest taki argument przeciwko aktywistom, że wasza pomoc zachęca następnych. A oni mówią na to: „Umierał u ciebie kiedyś ktoś pod płotem? U mnie umierał. Miałem się odwracać?”.

Najgorsze, że zasoby systemu są kierowane w złą stronę. Przecież tam trzymali przez długie miesiące 13 tysięcy mundurowych. Zbudowali mur za półtora miliarda. To wszystko są pieniądze, za które można stworzyć ośrodki i zatrudnić w nich kompetentnych ludzi.



MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

MIKOŁAJ GRYNBERG (ur. 1966) z wykształcenia jest psychologiem, z zawodu fotografem; zajmował się fotografią prasową, reklamową i portretową. W 2010 r. przygotował album i wystawę „Auschwitz. Co ja tutaj robię?”, w kolejnych latach opublikował zbiory wywiadów „Ocaleni z XX wieku”, „Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne” oraz „Księga Wyjścia”, a także opowiadania zebrane w tomie „Rejwach”. Latem 2023 r. wydał książkę „Jezus umarł w Polsce”, tom rozmów z osobami zaangażowanymi w działania na granicy białoruskiej.

Tego też dotykasz w książce: co się dzieje z funkcjonariuszami systemu. Z pojedynczych zdań na ten temat wynika, że są tam alkohol i kryzysy psychiczne, choćby nie wiem jak ludzie mówili sobie, że tylko wykonują rozkazy.

Na początku pytałem, jaką cenę płacą strażnicy. Ale w końcu ktoś z aktywistów mi powiedział, że ma w dupie to, jaką cenę płacą, widząc jak strażnicy się zachowują. Dowiedziałem się, że mają pomoc psychologiczną, tylko z niej nie korzystają, bo jak skorzystają, to mogą stracić pracę.

Jak rozmawiałeś ze strażnikami?

Musiałem się ze sobą umówić, po co tam idę. Że idę po to, żeby zrozumieć, jak oni myślą. Nie żeby wypracować z nimi wspólne stanowisko.

„Ja mam niepracującą żonę, ten kredyt, dzieci, a pan myśli, że to wszystko jest takie proste” – mówi człowiek, który zimą przerzuca przez druty kobiety i dzieci.

Wiele osób ma kredyt. Możemy pomyśleć: „Ale co on ma zrobić?”. Nawet bym chciał, żebyśmy tak pomyśleli, no bo wtedy ten strażnik jest bliżej nas. A im bliżej on jest nas, tym dramatyczniejsza jest ta opowieść.

W rozmowach ze strażnikami jest tak naprawdę wszystko. Widać, jak coś, co na początku było ciężkie, staje się codziennością. „Jak się wyrzuca? Normalnie się wyrzuca”. Tylko że robi się też „jakieś takie wypchnięcie w głowie”.

Gdy z nimi rozmawiałem, to byłem w największej mobilizacji. Tam nie było miejsca na moje emocje. Odkryłem je dopiero, kiedy postanowiłem przeczytać wywiad ze strażnikiem moim studentem. I zacząłem się tak trząść, że nie mogłem skończyć. A ja przecież odbyłem tę rozmowę, a potem ją zredagowałem, znałem treść. Dopiero wtedy zrozumiałem, że wiele przeżyć zamroziłem w trakcie pracy. I czuję efekty.

To znaczy?

Nie chcę zajmować się tutaj swoimi emocjami, nie o tym jest ta książka.

Może Twoje emocje będą też emocjami czytelników.

Wysłałem książkę redaktorowi. Umówiliśmy się na spotkanie. Zaczynamy gadać i nagle mówię: „Ale, Paweł, ja potrzebuję jedno zdanie od ciebie”. „Jakie zdanie?”. „Przyjąłeś tę książkę czy nie?”. I kiedy on powiedział „tak”, to ledwo powstrzymałem łzy. Jakby cała tama, którą zbudowałem podczas pracy, się rozwałała. Albo jakby mnie rozwałało.

A dzisiaj jak się czujesz?

Książka jest napisana, a dramat dalej trwa. Nie myślę, o czym by teraz napisać. Wiem, co tam się dzieje, gadam z ludźmi, czytam raporty. No i śnią mi się ci, którzy tam zmarli, mimo że nigdy ich nie widziałem.

Robiłeś już przecież trudne książki.

Ktoś mi powiedział: „Chodź, pójdziesz z nami do lasu, inaczej nie zrozumiesz”.

„Stary, ja nie pójde, kręgosłup mi wysiada”. Spojrzał na mnie: „Mikołaj, nic nie musisz nosić. Pójdiesz i kogoś przytulisz”.

To chyba nie jest rola dziennikarza.

Nie, nie jest. Ale ktoś mi powiedział niedawno: „Dobrze, że nie poszedłeś, bo gdybyś poszedł, tobyś został pomagać w lesie i nie byłoby tej książki”.

Kapuściński opowiadał kiedyś, że rano był w obozie dla uchodźców w Etiopii, a potem wsiadł w samolot i po południu był w Rzymie na pełnym życia Piazza Navona. Puentował to jakoś tak, że ten świat musi zginąć.

Miałem tak wiele razy. Ten dysonans, kiedy wracasz do Warszawy i spotykasz przyjaciół przy winie. Masz ochotę powiedzieć: „Chodźcie, wszyscy tam pojeżdżmy. Co my tu robimy w ogóle?”.

**À propos roli dziennikarza: pracuję w zawodzie, który sprawia, że człowiek musi się czasem zdystansować wobec tematu...
Uzadaniowić.**

Ale wczoraj miałem taki moment, że chciałem przeczytać komuś kawałek Twojej rozmowy z byłym wojewodą. Nas w „Tygodniku” Krzysztof Kozłowski zawsze uczył szacunku do państwa, więc bardzo bliskie mi

było to, co mówił bohater Twojej książki... Nie dałem rady.

Wiesz, ja też wierzę, że język emocji jest najlepszym językiem do komunikowania się, do opowiadania historii. Przy wszystkich książkach tak robiłem.

Słuchaj... Na spotkaniach dostaję owacje na stojąco. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Ale dobrze wiem, że nie chodzi o mnie. Chodzi o ludzi, którzy to robią. I to jest tak przejmujące: być ich reprezentantem. To ma taki ładunek, że nie wiadomo, co ze sobą zrobić.

Oni mają niezwykły rodzaj samoświadomości. „Jeśli codziennie słyszysz: »You’re my angel«, spróbuj nie zwariować. To prowadzi do poczucia wyższości i jest uzależniające” – mówi Joanna Pawluśkiewicz.

Daje niespotykane gdzie indziej poczucie sensu.

**To w ogóle jest książka prostych zdań oznajmujących. Paulina Bownik mówi: „Nie powinno się leczyć ludzi w lesie, na polu, na polanie. Od tego są szpitale”.
Proste.**

**Albo Asia Jaceł: „Idę, bo wiem, że tam ludzie mogą umrzeć”.
Proste.**

A po lekturze idziesz do lasu i widzisz te obrazy...

Tamten las już nigdy nie będzie taki sam. Ludzie, którzy tam mieszkają, zawsze już się będą bali, że znajdą ciała.

I nawet z tą wiedzą kończysz książkę akapitem o zakorzenieniu, miłości do puszczy i o tym, że ona się odnawia po wszystkich tragediach? „Wczoraj zasadziłam trzysta cebulek różnych wiosennych kwiatów” – mówi Eliza Kowalczyk. To ważna decyzja, wybrać takie zakończenie.

Kiedyś bym zabierał nadzieję, wiem. A w tym akapicie jest nadzieja. Myślę, że dojrzewam jako autor.

Napisałem książkę, w której mnie nie ma. Jestem tylko w pytaniach. I w konstrukcji.

„Nawet jakbyś powiedziała, że przepuścisz strażników, żeby ratować ludzi, to dla mnie też byłoby ok” – mówisz w pewnym momencie.

To jedyny moment, kiedy zajmuję stanowisko. Zastanawiałem się, czy go nie wycofać. Ale potem pomyślałem, że na prawdę uważam, że dla ratowania życia ludzkiego można zrobić wszystko.

Czy jest coś, o co Cię nie zapytałem? Co wypieram z tej historii?

Nie zapytałeś o Kościół. Przychodzisz z katolickiego pisma i nie pytasz o Kościół. Ale czytałeś książkę i wiesz, że nie ma o co pytać.

© P Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabin, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielewski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1/LC 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Promocja TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Paniom wstęp wzbroniony*



„CZY PRZYSIĘGA PANI MÓWIĆ PRAWDĘ, CAŁĄ prawdę i tylko prawdę?” – może usłyszeć przed złożeniem zeznań w świeckim sądzie Żydówka. Takie pytanie nie padnie w ortodoksyjnym sądzie rabinackim, nie tylko dlatego, że świadek nie przysięga

tam przed złożeniem zeznań. Otóż: poza niezwykle wąskim wachlarzem spraw kobiet nie uważa się tam za wiarygodnych świadków. Oba Talmudy – Babiloński i Jerozolimski – oraz midrasz prawny używają każdy innych wersji biblijnych dla uzasadnienia braku zainteresowania zeznaniami świadkiń.

Poniżej inny – jakże znaczący – przykład wykluczania kobiet. W pierwszej części Talmudu, która składa się w znakomitej większości ze zwęzła wyłożonych praw, pierw napisane jest, że „kobiety, niewolnicy i nieletni są zwolnieni z przestrzegania podczas Święta Szałasów przykazania, by mieszkac [w naszej strefie klimatycznej: siedzieć – MK] w szałasie”, a zaraz za tym, że jak „dzieciak [już] nie potrzebuje mamy – jest zobowiązany”. W drugiej części, roztrząsającej w detalach prawa wyłuszczone w pierwszej, od razu pada pytanie, skąd to zwolnienie. Odpowiedź: [na podstawie słów] *ha-ezrach* (z wersu „W szałasach mieszkac będziecie przez siedm dni; każdy krajowiec [*ha-ezrach*] w Israelu mieszkac będzie w szałasach” [Kpł 23, 42; Cylkow]). „Krajowiec” z rodzajnikiem określonym – czyli nie byle jaki krajowiec – wyłącza kobiety. „Każdy” zaś włącza chłopczków. Talmud sam się miarkuje, że w innym miejscu także określony krajowiec z innego wersu [Kpł 16, 29: „I niechaj będzie to dla was ustawą wieczną: miesiaca siódmego, dziesiątego tegoż miesiąca dręczyć będziecie dusze wasze i żadnej roboty nie będziecie wykonywali, tak krajowiec (*ha-ezrach*), jako i cudzoziemiec, który osiadł w pośrodku was”] został użyty we wręcz przeciwnym celu: by włączyć kobiety w poszczenie podczas Jom Kipur. Węzeł gordyjski przecina Raba, babiloński rabin z przełomu III i IV w.: to są prawa (które mają status pochodzących z Synaju), a rabini wsparli je biblijnymi wersami. Czyli procedura zostaje obnażona wprost: najpierw są ustalone prawa, potem dopasowuje się do nich „potwierdzający” je biblijny wers, po czym mówi, że pochodzą one z Tory. Powtórzę, bo to kluczowe: wersy biblijne niekoniecznie są źródłem prawa żydowskiego.

Po dłuższej dyskusji Talmud wraca do kwestii dziecka (płci męskiej) „nie potrzebującego już matki”. Jak to zdefiniować? Otóż: matka go już nie podciera. Alternatywnie: kiedy się budzi, nie krzyczy „mama, mama” do skutku, tylko – kiedy rodzicielka nie przychodzi – ogarnia się sam. Jeśli nawet pędraka zobowiązać (wprawdzie pod płaszczykiem, żeby się wdrażał) do zamieszkiwania podczas Sukot w „szałasie”, a kobietę nie, to robi się męski klub, gdzie paniom wstęp wzbroniony. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Destylowana miłość*



„GDY JEZUS (...) ZAPYTAŁ SWOICH UCZNIÓW: »Co mówią ludzie? Kim według nich jest Syn Człowieczy?«. Oni odpowiedzieli: »Mówią, że jest Janem Chrzcicielem», Eliaszem, Jeremiaszem lub innym prorokiem. »A według was, kim jestem?«. Wtedy Szymon Piotr odpowiedział: »Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego».

Na co rzekł mu Jezus: „Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie”. Przekładając z żydowskiego na nasz dzisiejszy język, wypowiedź Jezusa mogłaby wyglądać tak: Piotrze, to, co mówisz, nie jest tylko twoim pomysłem czy wymysłem, ale mówi przez ciebie Bóg Ojciec, gdyż: „Z Niego i przez Niego, i dla Niego jest wszystko”.

W jaki sposób Bóg organizuje dzieje tego świata, nie naruszając przy tym jego praw, a zwłaszcza wolności człowieka, tego nie wiemy. Z tego jednak nie wynika, że pozostaje nam tylko sięść i płakać, albo machnąć ręką na wszystko i żyć, jakby nie tylko Boga nie było, ale i ludzi, i całej tej reszty nazywanej światem, który jest, jaki jest, i upiększanie go, a tym bardziej demonizowanie, nic dobrego nie przyniesie. Posłuchajmy Pawła Apostoła, który powiedział: „czas jest krótki” i „przemija postać tego świata”. Po dwudziestu wiekach musimy dopowiedzieć: Owszem, ale on sam wciąż istnieje, i wciąż naprzemiennie jednocześnie znęca się nad nami i uszczęśliwia nas. Co zatem człowiekowi pozostaje? Zgoda na życie w takim świecie, jaki jest, i zaprzestanie wyśpiwywania: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud! Słuchaj, słuchaj, uczyn z nami cud. Przemień, o Jezu, smutny ten czas. Jezu, pociesz nas”. Ale to nie Jezus – On „wie, czego nam potrzeba” – tylko my mamy słuchać, to znaczy odczytywać „znaki czasu”, o czym ponad pół wieku temu przypominał Kościołowi sobór. To świat nam mówi, kim i gdzie jest dzisiaj Jezus, dokąd i z czym chce nas wysłać, by przez nas, przez Kościół odpowiedzieć tym, którzy u Boga szukają ratunku.

Jeśli coś w życiorysie Jezusa jest cudem, to Jego poczęcie i narodzenie, Jego ludzkie życie. Śmierć? Przecież nie istnieje, skoro „czy żyjemy, czy umieramy, należymy do Pana”. A powstanie z martwych? To codzienność, skoro: „Wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do życia, ponieważ miłujemy braci. Ten, kto nie miłuje, trwa w śmierci”. A miłość to konkret, mówi Franciszek: „Nie ma abstrakcyjnej miłości (...). Konkretna miłość to ta, która brudzi sobie ręce”. Bywa jednak że: „Kiedy podaję rękę osobie potrzebującej, chorej, zepchniętej na margines, robię to szybko, by się »nie zarazić«, »brzydkę się ubóstwem innych« i »szukam wydestylowanego życia, które istnieje jedynie w mojej fantazji, ale nie istnieje w rzeczywistości».

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Poczucie bliskości

*Tajemnica modlitwy
nie ujawnia się
w określonym czasie
lub miejscu. Jeśli ustalasz
dla niej godziny,
chwile lub miejsca,
wówczas próżny się staje
pozostały czas.*

NIKETAS STETATOS



*Ludzie nie mają powodu
obawiać się życia
i śmierci. Dlaczego?
Bo choć nie porzuciliśmy
jeszcze życia,
już patrzymy w twarz
śmierci.
I choć nie porzuciliśmy
jeszcze śmierci, już
patrzemy w twarz życia.*

DOGEN KIGEN



Wybrał PIOTR SIKORA



POWRACAM JESZCZE DO Lizbony. Spośród głównych wydarzeń Światowego Dnia Młodzieży chciałbym przywołać dwa: piątkową Drogę Krzyżową oraz sobotnie Czuwanie. Z Drogi Krzyżowej mam w pamięci trzy stacje:

VI. „Weronika ociera Twarz Jezusa”. To jest dokładnie to, do czego jesteśmy powołani: ocierać Oblicze Jezusa na twarzy każdego napotkanego człowieka, który tego potrzebuje. Cóż, kiedy niesłuchanie trudno jest odnaleźć w sobie to wezwanie w świecie, w którym jesteśmy na co dzień nawoływani, by zadbać najpierw (wyłącznie?) o swój wizerunek! I to we wszystkich wymiarach: od fizycznego piękna, po autoprezentację w każdym ze światów, w który wchodzimy. Skupieni na swoim wizerunku, „nie mamy czasu” dostrzegać w innych rysów Jezusa (łamię nam widzieć w nich konkurencję).

X. „Jezus z szat obnażony”. To bardzo trudna stacja. Trudno jest pokazać się innym bez schowania się za szatę urzędu, godności, stanu, mody, grupy, sztuczności itd. Próbuujemy dowodzić, że jesteśmy tacy, jak na niezliczonych „selfie”: uśmiechnięci, w towarzystwie „super” ważnych osób, które chciały się z nami sfotografować. Teoretycznie podkreślając swoją indywidualność, tak bardzo boimy okazać się inni – „różni” od otoczenia.

XIII. „Jezus zdjęty z krzyża i złożony w ramiona Matki”. Jedynym adekwatnym słowem do tej stacji jest cisza. Ile jest w naszym życiu takich sytuacji? Tymczasem, jakże trudno jest nam się tego nauczyć

w kulturze newsów i miliona informacji. W samym środku tej kultury jakże przejmująco zabrzmiały słowa modlitwy autora rozważania: „Panie, nie muszę wiedzieć wszystkiego. Nie chcę wiedzieć wszystkiego. Wystarczy mi wiedzieć to, co czyni mnie lepszym”.

Te trzy stacje – a tak naprawdę wszystkie czternaście – pokazywały Drogę Krzyżową jako wydarzenie dziejące się dziś: Jezus idzie dzisiaj Krzyżową Drogą; idzie nią w młodych. My zaś wszyscy, którzy współtworzymy ich świat, jesteśmy za to odpowiedzialni. Dobrze, że młodzi w Lizbonie mieli odwagę to wypowiedzieć i pokazać (Droga Krzyżowa była również dynamiczną, wielką inscenizacją). Ilu z nas ich posłucha?

Z sobotniego wieczoru natomiast na długo zapamiętam pierwsze dziesięć minut adoracji Najświętszego Sakramentu. Adoracja nastąpiła zaraz po przemówieniu Franciszka, ale nawet nie była przez niego jakoś szczególnie wprowadzona: po prostu wniesiony został Najświętszy Sakrament. I wtedy... półtora miliona ludzi – przed chwilą jeszcze żywiołowo podejmujących dialog z papieżem – zamilkło. Ale tak, że było słychać – nie ciszę, lecz milczenie – głęboką, wewnętrzną postawę. Młodzi klęczeli, stali, siedzieli – tak jak każdy potrafił – ale wszyscy wpatrzeni byli w Jezusa Chrystusa. Nikt nie „prowadził” adoracji; nikt nie śpiewał; nikt niczego nie recytował. Było tylko milczenie przyjaciół, którzy słowami nie chcą zagadać poczucia bliskości. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 VIII – 3 IX)

21. niedziela zwykła: Iz 22, 19-23; Ps 138; Rz 11, 33-36; Mt 16, 13-20;
Czwartek: 1 Tes 3, 7-13; Ps 90; Mt 24, 42-51;
Poniedziałek: 1 Tes 1, 1-5. 8b-10; Ps 149; Mt 23, 13-22;
Piątek: 1 Tes 4, 1-8; Ps 97; Mt 25, 1-13;
Sobota: 1 Tes 4, 9-11; Ps 98; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Jr 20, 7-9; Ps 63; Rz 12, 1-2; Mt 16, 21-27.

WŁADZY RAZ ZDOBYTEJ...

Zjednoczona Prawica poszerza kompetencje prezydenta i uniezależnia prokuratora krajowego od ministra sprawiedliwości. Chce dalej rządzić Polską, nawet gdyby miała przegrać wybory.

STEFAN SĘKOWSKI



DO EKSPRESOWEGO UCHWALANIA ustaw Prawo i Sprawiedliwość zdążyło nas już przyzwyczaić. Nie inaczej było 28 lipca 2023 r., kiedy to lotem błyskawicy przeszedł przez Sejm projekt zmian w ustawie o współpracy Rady Ministrów z Sejmem i Senatem w sprawach związanych z członkostwem Rzeczypospolitej Polskiej w Unii Europejskiej oraz ustawy o Komitecie do Spraw Europejskich. Posłowie przyjęli zapisy, które uzależniają rządowe nominacje na ważne stanowiska unijne od zgody prezydenta. Bez przyzwolenia głowy państwa nie będzie można zaproponować m.in. kandydatury na polskich reprezentantów w Komisji Europejskiej i Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Prezydent będzie też obowiązkowo reprezentował Polskę w Radzie Europejskiej podczas naszej prezydentury w UE. Rząd będzie musiał z nim konsultować stanowiska, które planuje przedstawić podczas obrad RE, a także przedkładać mu dokumenty, jakie do oceny przesyłają państwu członkowskim organy unijne. W przypadku zwykłych posiedzeń Rady, w których prezydent udziału nie weźmie, rząd będzie mógł przejść do porządku dziennego nad opinią głowy państwa przy ustalaniu swych decyzji. Niepokój budzi jednak to, co może się zdarzyć podczas polskiej prezydencji w pierwszej połowie 2025 r., kiedy to Andrzej Duda będzie obligatoryjnie brał udział w obradach. Można wyobrazić sobie sytuację, w której stanowiska szefa rządu i głowy państwa będą się rozjeżdżać, więc prezydent zapragnie zaprezentować publicznie swoje odrębne zdanie, czym zapewne wprawi w konsternację przedstawicieli innych państw. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że w Polsce będzie to gorący czas przed kolejnymi wyborami prezydenckimi.

Projekt nowego prawa złożył w Sejmie prezydent Andrzej Duda, chcący ewidentnie wzmocnić swoją pozycję w kreowaniu polityki międzynarodowej Polski. Dlaczego jednak pomysł ten pojawił się dopiero osiem lat po objęciu przez Dudę urzędu? Skąd ten pośpiech? I dlaczego rząd godzi się na oddanie części realnej władzy?

Prezydent Andrzej Duda i generał Rajmund Andrzejczak podczas defilady z okazji Święta Wojska Polskiego. Warszawa, 15 sierpnia 2023 r.

Czeka nas chaos

Odpowiedzi na te pytania są brutalnie proste. Po pierwsze, do niedawna takie prawo nie było potrzebne. Krajem rządził niepodzielnie PiS, który ma w Pałacu Prezydenckim swojego przedstawiciela – nawet jeśli Duda nie trzyma w szufladzie legitymacji partyjnej, jest niewątpliwie członkiem obozu Zjednoczonej Prawicy, który rzadko zaznacza odrębne zdanie. Obdarzanie go dodatkowymi kompetencjami wprowadzałoby do polityki nadmierny bałagan i ograniczało wpływy Jarosława Kaczyńskiego. Dziś kandydatów na unijne stanowiska wskazuje podporządkowany mu rząd i z pozoru nie ma sensu tego zmieniać. Nie wiadomo jednak, co stanie się za niecałe dwa miesiące, po wyborach parlamentarnych. Im do nich bliżej, tym politycy PiS mają większe obawy, że mogą przegrać. Na samodzielną większość nie ma dziś perspektyw, a koalicja z Konfederacją jest niepewna. Istnieje za to realna możliwość, że partie tzw. paktu senackiego zdobędą większość i będą mogły stworzyć rząd.

Wtedy bałagan się przyda. Będzie narzędziem zemsty na Donaldzie Tusku za ewentualną porażkę, a zarazem metodą paraliżowania przyszłego rządu, przy jednoczesnym portretowaniu konfliktu jako „winy Tuska”. Na czym to może polegać, prześledźmy na przykładzie funkcji polskiego komisarza. Po wyborach do Parlamentu Europejskiego, które odbędą się w przyszłym roku, każde państwo wyśle do Komisji Europejskiej, czyli swoistego rządu Unii, swojego przedstawiciela. Zastwierdzą go potem Parlament Europejski i Rada Europejska.

Obecnie polskim komisarzem jest odpowiedzialny za unijne rolnictwo Janusz Wojciechowski. Wątpliwe, by potencjalny rząd Donalda Tuska chciał przedłużyć jego mandat. Jednak Andrzej Duda nie będzie musiał w świetle nowego prawa godzić się na kandydaturę nowego komisarza zgłoszoną przez polski rząd. W najgorszym wypadku procedura nominacyjna będzie trwać w nieskończoność ze względu na obstrukcję prezydencką. A w tym czasie do życia może zostać powołana Komisja bez udziału polskiego komisarza, gdyż – jak wskazuje prof. Anna Pacześniak z Uniwersytetu Wrocławskiego – w świetle traktatów Komisja nie musi składać się z przedstawicieli wszystkich krajów członkow-

skich. Jest to jedynie zwyczaj realizowany po to, żeby obywatele żadnego z państw nie czuli się pokrzywdzeni. Ewentualne opóźnienia mogą także doprowadzić do tego, że przejdzie nam koło nosa jakaś ważna funkcja i na koniec zostaniemy z komisarzem zajmującym się marginalnymi sprawami.

A to tylko jedno ze stanowisk, na które wpływ uzyskał prezydent. To samo dotyczy polskiego członka Trybunału Obrachunkowego, sędziego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, rzecznika generalnego TSUE, członka Komitetu Ekonomiczno-Społecznego, Komitetu Regionów oraz dyrektora w Europejskim Banku Inwestycyjnym.

Mało tego. Sejm dał też głowie państwa prawo do udziału w obradach Rady Europejskiej w czasie, gdy nasz kraj będzie jej przewodniczył. Dzieje się to rotacyjnie (co pół roku inne państwo, ostatnio ten zaszczyt przypadł nam w 2011 r.) i tak się złożyło, że najbliższa prezydencja Polski przypada na pierwsze półrocze 2025 r., kiedy Andrzej Duda będzie kończył swoją drugą kadencję. Z tą zmianą wiąże się ryzyko kolejnego „sporu o krzesło”. W 2008 r. wybuchł on między prezydentem Lechem Kaczyńskim a premierem Donaldem Tuskiem. Obaj chcieli reprezentować Polskę podczas posiedzeń Rady, więc dochodziło do żenujących sytuacji. Przy stole, przy którym siedzi zwyczajowo jedna osoba, tkwili obaj zwaśnieni politycy. Ówczesny spór częściowo przeciął Trybunał Konstytucyjny, który stwierdził w 2009 r., że to premier przedstawia stanowisko kraju podczas obrad, prezydent zaś może w nich brać udział, jeśli uzna to za stosowne.

Ustawa w nowym brzmieniu stwierdza, że podczas naszego przewodnictwa w UE „Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej bierze udział w posiedzeniach Rady Europejskiej oraz w posiedzeniach międzynarodowych z udziałem Unii Europejskiej, na których przewidziana jest obecność szefów państw lub rządów państw członkowskich”. Zapewne prezydent będzie się starał podkreślać tu swój prymat, zwłaszcza że, jak mówi inny przepis ustawy, priorytety prezydencji ustala rząd w porozumieniu z prezydentem. Możemy się więc spodziewać, że tak jak 15 lat temu premier i prezydent będą spierać się o to, kto nas *de facto* reprezentuje w trakcie prezydencji i czyje słowa są

→ wiążące. Jeśli do niesnasek doszłoby podczas obrad Rady, byłoby to ośmieszające dla Polski.

Ile może prezydent?

Nowa ustawa jest kolejną odśłoną dwóch konfliktów, które toczą się w Polsce od ponad trzech dekad. Pierwszy z nich to konflikt instytucjonalny o to, który z urzędów – prezydenta czy premiera – jest ważniejszy. Uczestnicy drugiego, partyjnego, wykorzystują ten pierwszy po to, by umocnić swoją pozycję i zaszkodzić przeciwnikom.

W każdym systemie politycznym urzędy i instytucje przepychają się między sobą dążąc do tego, by mieć jak największy wpływ na rzeczywistość. W Polsce przez pierwsze lata demokracji politykę kształtował nieustanny spór między prezydentem a premierem. Jego źródłem była polityczna decyzja o tym, by głowę państwa, którą obdarzono względnie niewielkimi kompetencjami, zarazem wyłaniać w wyborach powszechnych, które dawały prezydentowi ogromną legitymację społeczną.

W 1990 r. elekcję wygrał Lech Wałęsa (zdobywając w drugiej turze 75 proc. głosów) i od początku dążył do uzyskania jak największej realnej władzy. Łatwo było mu dominować nad sejmem kontraktowym, który takiej legitymacji ze strony narodu nie miał – PZPR i jej satelici mieli z góry zagwarantowane dwie trzecie mandatów w Sejmie, a ich autorytet był zerowy. Jan Krzysztof Bielecki, który w styczniu 1991 r. zastąpił Tadeusza Mazowieckiego na stanowisku szefa Rady Ministrów, nigdy nie ukrywał, że był „prezydenckim premierem” i że realizował program głowy państwa.

Po pierwszych w pełni wolnych wyborach parlamentarnych jesienią 1991 r. Wałęsa nie miał już tak łatwo. Nadal starał się wpływać na politykę rządu, a wręcz na to, kto będzie nim kierował, ale już nie miał takiej swobody. Jan Olszewski był premierem parlamentu, skłóconym z prezydentem, z kolei „wynalazek” Wałęsy, czyli Waldemar Pawlak – ostatecznie nie sformował Rady Ministrów.

Kolejna ostra batalia zaczęła się po tym, jak do władzy wrócili postkomuniści i ludowcy. Wałęsa najpierw zażądał od SLD i PSL, by zaproponowały mu trzy kandydatury na premiera, z których będzie

Niepozorną ustawą odebrano ważne kompetencje ministrowi na rzecz prokuratora krajowego, którego nie da się odwołać bez zgody prezydenta.

mógł wybierać, a gdy zwycięskie partie się na to nie zgodziły, po prostu wstawił im do rządu trzech ministrów. Doszło do tego w wyniku karkołomnej, ale skutecznej nadinterpretacji tzw. Małej Konstytucji z 1992 r. Regulowała ona relacje między najważniejszymi organami władzy, a w art. 61 stwierdzała: „wniosek dotyczący powołania Ministra Spraw Zagranicznych, Obrony Narodowej i Spraw Wewnętrznych Prezes Rady Ministrów przedstawia po zasięgnięciu opinii Prezydenta”.

Prezydencki prawnik Lech Falandysz zinterpretował to tak, że Wałęsa ma prawo mianować ministrów obrony narodowej, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych (nie była to zresztą jedyna jego nadinterpretacja prawa w interesie wzmocnienia roli prezydenta – od tej praktyki wzięło się pojęcie „falandyzacji prawa”, oznaczające naginanie reguł w interesie ich interpretatora). SLD i PSL nie chciały na początku swych rządów utonąć w sporach i ustąpiły Wałęsie, w efekcie czego do gabinetu Pawlaka trafili: Piotr Kołodziejczyk (MON, zastąpiony po roku przez Zbigniewa Okońskiego), Andrzej Olechowski (MSZ) i Andrzej Milczanowski (MSW).

Trzeci do władzy

Doszło do kuriozalnej sytuacji, w której prezydent stał się nieformalnym trzecim koalicjantem, a jednocześnie opozycją wobec rządu. Ministrowie Wałęsy byli bowiem lojalni wobec niego, a nie wobec kolejnych premierów. Po tym, jak w 1995 r. wybory prezydenckie wygrał Aleksander Kwaśniewski i stało się jasne, że dni ministrów Wałęsy są w rządzie policzone, Milczanowski odpalił petardę. Oskarżył urzędującego premiera Józefa Oleksego – czyli formalnie swego przełożonego – o szpiegostwo na rzecz Rosji (zarzut ten nigdy nie został formal-

nie potwierdzony). Tak wybuchła słynna afera Olina, która kosztowała szefa gabinetu stołek.

Prezydent Kwaśniewski nie wstawił już kolejnym premierom swoich ministrów do rządu. Poza tym w 1997 r. uchwalono nową Konstytucję, która nieco ograniczyła wpływ prezydenta na politykę zagraniczną i obronną. Obniżyła też kwalifikowaną większość, jaką Sejm może odrzucić jego weto do ustaw – z dwóch trzecich głosów do trzech piątych. Nie uporządkowała jednak wszystkich relacji z rządem. Zawiera bowiem nieprecyzyjne artykuły mówiące o współdziałaniu z premierem, a także z właściwym ministrem, przy kształtowaniu polityki zagranicznej. Jest w Konstytucji również zapis o tym, że prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych sprawuje nad nimi nadzór „za pośrednictwem MON”. Wystarczy więc minimum złej woli, by doprowadzić do konfliktu. Niestety, twórcy Konstytucji wykazali się naiwnością zakładając, że rozdziału kompetencji nie trzeba doprecyzowywać. Nie przewidzieli, że konflikty polityczne będą eskalować aż do dzisiejszej nienawiści.

Spory kompetencyjne zdarzały się nie tylko w czasach kohabitacji, kiedy dwie najważniejsze osoby w państwie pochodziły z różnych obozów. Swoją „kłótnię o krzesło” mieli też Leszek Miller i Aleksander Kwaśniewski, którzy spierali się, kto będzie reprezentował Polskę podczas podpisania traktatu akcesyjnego w 2003 r. – ostatecznie Miller przeprowadził delegację rządową, a Kwaśniewski państwowej, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Również Andrzej Duda i Antoni Macierewicz jako minister obrony narodowej toczyli ze sobą wielomiesięczną wojnę podjazdową. Wstrzymanie dostępu do informacji niejawnych dla gen. Jarosława Kraszewskiego z Biura Bezpieczeństwa Narodowego przez podległe MON służby prezydent nazwał „ubeckimi metodami”. Sam nie pozostawał zresztą dłużny, blokując wnioski Macierewicza o nominacje generalskie. Wygrał Duda, ale tylko dlatego, że Macierewicz stracił stanowisko i zastąpił go bardziej koncyliacyjny Mariusz Błaszczak.

W systemie, w którym premier i prezydent mają realną władzę, współpraca może się układać w miarę zgodnie tylko wtedy, gdy oba urzędy potrafią podzielić się zadaniami albo chociaż umieją zawie-



THIERRY MONASSE / REPORTER

Słynny „spór o krzesło” pomiędzy prezydentem Lechem Kaczyńskim i premierem Donaldem Tuskiem podczas szczytu Unii Europejskiej. Bruksela, 12 grudnia 2008 r.

rać kompromisy. I tak było do tej pory: prym w relacjach z NATO wiodł prezydent, a z Unią – rząd. Teraz to się zmienia, bo Andrzej Duda chce zgarnąć dużo większą pulę. I jest to ewidentnie element wspomnianego na samym wstępie drugiego konfliktu – partyjnego.

Jeśli wybory przegra PiS, Duda będzie jednym z elementów układanki podkopującej rządu obecnej opozycji. Przy czym prezydent nie forsował zmian tylko dla swojego środowiska politycznego. Zrobił to również dla siebie, bo to przecież on będzie korzystał z tych prerogatyw, a nie Jarosław Kaczyński – dla Kaczyńskiego są one korzystne tylko pośrednio, jako coś, co blokuje rządy przeciwników. Tak naprawdę politykom PiS ustawa była początkowo nie na rękę, bo ograniczała ich władzę przy założeniu, że wygrały wybory. Dlatego przeleżała prawie dwa miesiące w szufladzie marszałek Elżbiety Witek. Niby nie jest to długo, ale PiS pokazał już nie raz, że jeśli chce, potrafi błyskawicznie przyoblec projekt w szaty ustawy. Dopiero gdy okazało się, że słabsze notowania PiS nie są chwilowe i partii grozi realna utrata władzy, rządzący zgodzili się na zmiany.

Ustawa nie będzie miała negatywnych konsekwencji, jeśli współpraca między premierem a prezydentem będzie uwzględniała dobrze pojęty interes Polski. Jednak zgodnie z prawem Murphy’ego jeśli coś może pójść źle, to pójdzie – i dlatego należy szykować się

na najgorsze. Nowa ustawa może doprowadzić do paraliżu decyzyjnego, który mocno osłabiłby naszą pozycję na arenie międzynarodowej.

Duch Ziobry u Tuska

Polityka europejska to niejedyny pole, na którym może dojść do poważnych zmian szykowanych przez PiS na ostatniej prostej przed wyborami. Sejm odrzucił właśnie senackie weto wobec nowelizacji kodeksu postępowania cywilnego oraz szeregu innych ustaw okołosądowych. Ta niepozorna ustawa zawiera zmiany, które będą miały bardzo poważne konsekwencje – przesunęła dużą część obowiązków prokuratora generalnego (czyli ministra sprawiedliwości) na prokuratora krajowego (formalnie – zastępcę ministra). To on będzie decydował w sprawach kadrowych, a prokurator generalny nie wyda polecenia służbowego bez pośrednictwa krajowego, który będzie mógł postawić weto. Oznacza to, iż rzeczywistą władzę w prokuraturze będzie sprawował prokurator krajowy, którego w świetle nowelizacji będzie można powołać bez zgody prezydenta (wyrazi tylko opinię), ale już odwołać go bez zgody Andrzeja Dudy – nie.

To rozwiązanie odwraca zmianę, jaką siedem lat temu przeprowadził PiS, porządkując prokuraturę Ministerstwu Sprawiedliwości. W świetle nowej ustawy faktycznie kierujący śledczymi prokurator krajowy będzie niezależny od

rządu. Obecnie tę funkcję pełni Dariusz Barski, przyjaciel i świadek na ślubie Zbigniewa Ziobry. I pozostanie nim jeszcze długi czas, jeśli Andrzej Duda będzie unie możliwiał jego wymianę na kogoś wskazanego np. przez Koalicję Obywatelską. To prawo ciężko będzie zmienić. Nawet jeśli nowy Sejm uchwali ustawę przywracającą prokuratorowi generalnemu kompetencje, to żeby weszła ona w życie, trzeba będzie jeszcze odrzucić prezydenckie weto do niej – większością trzech piątych posłów, a to nierealne.

PiS zachowuje się niczym złośliwy budowlaniec, który zamurówuje w ścianach domu jaja, które potem gniją i trwale utrudniają korzystanie z nieruchomości. Takich niespodzianek byłoby zresztą więcej, gdyby nie protesty opinii publicznej. Na przykład wtedy, gdy PiS chciał uchwalić ustawę betonującą na lata władzę swych ludzi w strategicznych spółkach państwowych, w tym w Orlenie. Wówczas Jarosław Kaczyński ostatecznie wycofał się z projektu.

Niestety, tego typu pomysły obecnej władzy szkodzą nie tylko Tusкови – szkodzą nam wszystkim. Wprowadzają państwo w stan permanentnego chaosu i nakręcają jeszcze bardziej konflikty. I to nie w trosce o Polskę, lecz o to, by wbrew woli wyborców politycy PiS-u mogli jak najdłużej utrzymywać przynajmniej część władzy i nieustannie wkładać kij w szprychy nowemu gabinetowi.

Ostatnie działania Kaczyńskiego i Dudy pokazują na pewno, że warto się przynajmniej zastanowić, czy w tak skonfliktowanym kraju jak Polska panuje adekwatny system polityczny? Może powinniśmy zdecydować: albo utrzymać obecny system, ale wtedy politycy musieliby przestać traktować spory polityczne w kategorii walki dobra i zła; albo wprowadzić system prezydencki, w którym premier musi prosić głowę państwa o zgodę na każdy poważny ruch, lub system kanclerski – z prezydentem w roli przysłowiowego strażnika żyrandola. Wszystkie opcje mają swe wady i zalety, więc trzeba je rozważać z namysłem. Zmiany ustrojowe w dojrzałym państwie powinny zachodzić po dogłębnej dyskusji, poprzez konsultacje ze społeczeństwem i zmianę konstytucji, a nie przez ustawowe wrzutki czynione za pięć dwunastą, kiedy rządzącemu obozowi grunt pali się pod nogami.

© STEFAN SĘKOWSKI

Gala politycznego MMA

MAREK KĘSKRAWIEC

**Perspektywa utraty władzy wywołała w PiS panikę.
Za retorykę odczuwającą rywali reprezentujących miliony
Polaków oraz skompromitowanie pięknej idei referendum
– będziemy płacić przez lata.**

TAKI JĘZYK NAJWAŻNIEJSI POLITYCY III RP zostawiali dotychczas swoim harcownikom. „Tusk to jest personifikacja zła w Polsce, to jest czyste zło. Broni ubeków, gromadzi pod swoimi sztandarami ciemne elementy. Tylko po to, żeby wygrać i zrealizować plan niepolski” – mówił Jarosław Kaczyński, w otoczeniu polskich żołnierzy, o najważniejszym polityku opozycji. Słowa te były nacechowane taką niechęcią, pogardą i przekonaniem o zaprzęgnięciu się Tuska Niemcom, że aż trudno uwierzyć, by miały związek z normalnym, demokratycznym procesem wyłaniania władz w dojrzałym państwie europejskim. To retoryka bliska walce ze spiskiem realnie zagrażającym niepodległości, kojarząca się z apokaliptycznym bojem dobra ze złem.

W tak pojmowanej przez obecną władzę rzeczywistości właściwie wszystkie chwytły są dozwolone, gdyż nadrzędny, dramatycznie formułowany cel – przetrwanie podmiotowej Polski i jej narodu – uświęca wszystkie środki. Zwłaszcza w sytuacji, w której politycy PiS uważają się za jedyną siłę godną rządzić krajem, a sondaże nie dają im szans na powtórzenie poprzednich sukcesów wyborczych. Prognozowana dziś liczba posłów Zjednoczonej Prawicy w nowym parlamencie jest zdecydowanie bliższa 180-200 niż 231, czyli sejmowej większości. Przy marnych perspektywach sojuszu z Konfederacją, która czekać będzie raczej na wyzeranie walką dwóch głównych partii, po cichu szykując się do kolejnej, być może przyspieszonej elekcji – widmo porażki PiS staje się bardzo realne. I nawet jeśli pojawiłaby się opcja mniejszościowego rządu, to bliżej do jego sformowania może być blokowi senackiemu niż partii Kaczyńskiego.

Do wyborów zostało osiem tygodni, a to za mało, by znacząco wzmocnić poparcie społeczne mozolnym przekonywaniem elektoratu do oferowanego programu. Sztabowcy PiS zdają sobie sprawę, że bez wygenerowania nadzwyczajnych emocji w społeczeństwie, które odbiorą wiarygodność opozycji, można zżegnać się z władzą. Ze stanowiskami w rządzie, w urzędach, spółkach, a także pączkujących agencjach i funduszach.

Naród się nie rozpałił

Manewr z powołaniem komisji mającej badać wpływy rosyjskie i reżyserować telewizyjny spektakl kompromitujący Donalda Tuska okazał się niewypałem. Wymyślono więc referendum i błyskawicznie przepchnięto ustawę umożliwiającą jego organizację w dniu wyborów. Fakt: referendum to dobry sposób na zaznaczenie fundamentalnych różnic ideowych. Tyle że jego celem powinno być zarazem, i przede wszystkim, rozstrzygnięcie kwestii zasadniczych dla funkcjonowania państwa i ładu społecznego. Taką jest dziś w Polsce głównie aborcja (jednak tego tematu PiS się boi). Narodu nie rozpala zbyt sprawa przyjęcia lub nie euro ani reparacje wojenne. To samo wynika z analiz robionych na zlecenie PiS, do których dotarli dziennikarze Onetu, i które miały być zaskoczeniem dla partii rządzącej. Okazało się bowiem, że spośród dwunastu rozpatrywanych problemów tylko cztery (a *de facto* trzy) są na tyle istotne, że mogą wbić klin między elektorat opozycji i jej liderów.

Nikt tego w PiS oczywiście głośno nie przyzna, ale w tym referendum wcale nie chodzi o poznanie opinii narodu i podjęcie później działań w tym duchu, ale o wynik partii rządzącej 15 października, który można podbić milionami złotych



z budżetu przekazanymi oficjalnie na referendalną kampanię informacyjną, a tak naprawdę na własną propagandę.

Skazane na klęskę

Polscy politycy – nie tylko Zjednoczona Prawica – zrobili wiele, by walkę o głosy sprowadzić niemal wyłącznie do hasel i emocji. Żadna z ważnych kwestii, zwłaszcza wiek emerytalny, nie stała się w tej kampanii elementem poważnej dyskusji, w której rozważano by wszystkie za i przeciw, opierając się na analizach sytuacji w Polsce, doświadczeniach innych krajów i możliwych scenariuszach, które warto przewidzieć w zależności od tego, jaki wiek zakończenia pracy ostatecznie przyjmiemy. Łącznie z uświadomieniem rodakom konsekwencji podjętych decyzji (choćby dużo niższych świadczeń przy szybszym przechodzeniu na emeryturę), a przede wszystkim z zaznajomieniem ich z pesymistycznymi prognozami demograficznymi. Za 10 lat relacja pomiędzy liczbą seniorów a obywatelami w wieku produkcyjnym może być w Polsce rekordowo niekorzystna w skali Unii Europejskiej. Jak sobie wtedy poradzimy



FOTO OLIMPIK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Sejmowa debata nad ustawą o referendum. Warszawa, 16 sierpnia 2023 r.

bez imigrantów albo które nacje szczególnie powinniśmy zachęcać do zamieszkania w Polsce? O tym się nie dyskutuje, bo w trakcie podobnych rozważań można nieopatrznie użyć słowa, które potem pojawia się w spocie politycznej konkurencji.

Jednak przy wszystkich niedostatkach pytanie o wiek emerytalny, choć pokracznie sformułowane, jest i tak najlepszym, jakie w zestawie czterech kwestii referendalnych się pojawiło. Ale czy zaprowadzi ono ponad połowę obywateli do urn i odpowiedź na nie stanie się tym samym wiążącą w świetle prawa? W sytuacji, w której przekroczenie 50-procentowej frekwencji w budzących emocje wyborach parlamentarnych już jest uznawane za sukces, referendum skonstruowane pod potrzeby jednej partii, a nie państwa – nie ma wielkich szans na sukces. Opozycja będzie namawiać do jego bojkotu, co właściwie przesądza sprawę, także w kontekście doświadczeń z historii.

Dotychczas jedynie najważniejsze referendum akcesyjne, które otwierało nam bramy do Unii Europejskiej, ściągnęło do urn tłumy – 56 proc. obywateli. Każde inne, nawet to konstytucyjne z 1997 r.,

nie okazało się warte wydanych na nie milionów, a ostatnie, z 2015 r., na temat utworzenia jednomandatowych okręgów wyborczych i potrzeby dalszego finansowania partii politycznych z budżetu, uzyskało frekwencję na poziomie 7,8 proc.

Wtedy również ideę referendum potraktowano instrumentalnie. Bronisław Komorowski, w obliczu spadającego gwałtownie poparcia i zarzutów o „odklejenie się” od społeczeństwa, próbował w ten sposób ratować swą prezydenturę. Poniósł klęskę, mimo że każdy rozumiał skonstruowane przez jego sztab pytania.

Trudne słowo „wypredaź”

Dzisiaj jest o tyle gorzej, że pytania referendalne nie tylko w większości nie dotyczą najważniejszych dla nas zagadnień, ale jeszcze są nieprzejrzyste, a to kardynalny błąd, świadczący fatalnie o autokracji.

Przyjrzyjmy się pytaniu pierwszemu, zaprezentowanemu przez Jarosława Kaczyńskiego w mediach społecznościowych, a nie państwowych, co świadczy o usilnych próbach dotarcia do innej puli wyborców. Z ust prezesa PiS padło zdanie:

„Czy popierasz wypredaź państwowych przedsiębiorstw?”, które po kilku dniach zmieniono na: „Czy popierasz wypredaź majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”.

Wypredaź to w biznesie pozbycie się towarów zalegających w magazynach po niższej, promocyjnej cenie, by zrobić miejsce na nowe produkty. Pytanie Polaków o to, czy popierają wypredaź ważnych państwowych aktywów, w domyśle za grosze, jest dość absurdalne, a cały problem w pierwszej wersji pytania był w ogóle pozbawiony sensu. Przedsiębiorstw państwowych jest w Polsce ledwie 17, z czego dużą wartość reprezentuje tylko Polska Żegluga Morska, a niektóre są wręcz w likwidacji. Kaczyńskiemu chodziło oczywiście o ok. 400 spółek z udziałem Skarbu Państwa, często decydującym, jak choćby w Orlenie. Dlatego po kilku dniach od wsadzenia prezesa na minę poprawiono treść pytania, czym przy okazji dano dowód wcześniejszego niechlujstwa i braku profesjonalnej wiedzy z zakresu prawa gospodarczego.

Ale nawet po redakcji tekstu pozostaje kłopot. Procesy prywatyzacyjne są w Polsce z grubsza zakończone, a obecnej władzy można w kontekście referendum wypomnieć spółkę akcyjną Lotos i sprzedaż części jej udziałów (przed fuzją z Orlenem) Saudyjczykom. Nawet przy założeniu, że zostało to w dużym stopniu wymuszone przez Komisję Europejską, biorąc pod uwagę uzyskaną cenę (według wielu ekspertów udziały sprzedano grubo poniżej wartości), właśnie tę transakcję można by podciągnąć pod „wypredaź”, przed którą rzekomo PiS chce nas tak dzielnie bronić.

Nikt, nawet najzagorzalsi politycy Koalicji Obywatelskiej, na poważnie nie podejrzewa Kaczyńskiego, iż akurat on jest zwolennikiem wypredaży majątku narodowego. Jednak konieczność domyślenia się, o co chodzi w słowie „wypredaź” i jak rozumieć termin „przedsiębiorstwo państwowe”, świadczą o panice, w jakiej powstają kolejne pomysły na ratunek przed wyborczą klęską.

Ta zła Bruksela

Szkopuł tkwi też w pytaniu najbardziej oczywistym, o unijny mechanizm relokacji, związanym z obawami dużej części

→ społeczeństwa o niekontrolowany napływ imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Fakt: wbrew temu, co powtarza opozycja, Komisja Europejska początkowo niezbyt empatycznie podeszła do wysiłku, jaki podjęło polskie państwo (wsparcie dyplomatyczne i militarne Ukrainy, prawo do pobytu, pracy i ubezpieczeń dla uchodźców, 500 plus dla matek z dziećmi) oraz społeczeństwo udzielające miesiącami schronienia ponad milionowi uciekinierów wojennych. W każdym razie nie było tego widać w przygotowywanych w Brukseli dokumentach. Ale po ostrej reakcji polskiego rządu wielu ważnych polityków UE zreflektowało się i niejednokrotnie już podkreślało, iż mechanizm relokacji uwzględni naszą pomoc Ukraińcom. W ostatnich dniach pismo w tej sprawie od europejskiej komisarz ds. wewnętrznych otrzymał Robert Biedroń. Wynika z niego, że w obecnej sytuacji to Polska jest krajem pod presją migracyjną i to ona mogłaby liczyć na solidarność innych państw UE.

W tym kontekście upieranie się przez rząd PiS przy spisku unijnym przeciwko Polsce i nasączanie podejrzewaniem oficjalnego pytania referendalnego, które powinno być jak najbardziej konkretne i chłodne, wypacza i zniechęca Polaków do pięknej idei referendum, będącej kwintesencją demokracji bezpośredniej. A użycie sformułowania „biurokracja europejska” pod adresem Unii – każe obywatelom kolejny raz zadawać sobie pytanie, czy długofalowo ten rząd naprawdę widzi Polskę w strukturach UE?

Bariera dla Tuska

Czwarte pytanie jest jeszcze bardziej odezwane od rzeczywistości. Choć wśród działaczy partii opozycyjnych związanych z blokiem senackim słychać różne głosy na temat sposobu traktowania migrantów na naszej granicy z Białorusią, to nawet na lewicy nie pojawiają się dziś silne głosy domagające się likwidacji bariery. A w ogóle nie ma takich pomysłów w kierownictwie, o co mocno dba Włodzimierz Czarzasty. Jeśli ktoś rozważa likwidację systemu chroniącego granicę, zwłaszcza dziś, półtora roku po pełnoskalowym najeździe Rosji na Ukrainę i w obliczu obecności Grupy Wagnera na Białorusi – to są to głównie działacze broniący praw człowieka, kilku polityków bez wpływu na decyzje i radykalni publi-

Każde z czterech pytań referendalnych związane jest nawet nie tyle z kampanią wyborczą PiS, co z konkretnym jej elementem – **lękiem przed Donaldem Tuskiem.**

cyści. To zaś nie spełnia najważniejszego kryterium referendum – konieczności rozwiązania ważnego sporu lub podjęcia kluczowej dla przyszłości kraju decyzji. Spełnia jedynie kryterium psychologiczne: ma nas straszyć obcymi i skupiać wokół rządu, choć jednocześnie jest wyrazem poczucia zagrożenia w partii rządzącej, która czuje, że może stracić władzę. Stawka jest ogromna, bo oprócz utraty stanowisk niektórym jej przedstawicielom grozi wręcz odpowiedzialność karna.

Dziś najbardziej zrozumiałe z referendalnego przekazu władz jest to, że każde z czterech pytań związane jest nawet nie tyle z kampanią wyborczą PiS, co z bardzo konkretnym jej elementem – lękiem przed Donaldem Tuskiem. Jest on głównym bohaterem wszystkich spotów prezentujących kolejne pytania. W filmiku promującym drugie z nich (o wiek emerytalny) jego nazwisko pojawia się już w pierwszej sekundzie. Co ciekawe, słowa o byłym premierze, który wraz z całą PO mówi dużo o prawach kobiet, a rzekomo kazał „pracować im prawie do śmierci” – wypowiada Beata Szydło, która wprawdzie kiedyś pełniła funkcję premiera, ale dziś jest ledwie europosłanką. I o ile od biedy można by uznać, że prezentujący trzy inne pytania Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki oraz Mariusz Błaszczak są przedstawicielami urzędujących władz i zapowiadając referendum, realizują politykę państwa, to obecność Beaty Szydło odziera całą intrygę z resztek przyzwoitości.

Gdzie jest projekt remontu

Inna sprawa, że sprowadzenie kampanii do manipulacji i oparcie jej na emocjach nie odbywa się do końca wbrew woli opozycji. Przy okazji jej rytualnego oburzenia w sprawie referendum nie dowiedzieliśmy się, czy dostrzega ona problemy

z obecnym wiekiem emerytalnym w Polsce. Politycy KO wolą unikać tego tematu, by przypadkiem nie stracić w sondażach. Podobny charakter miała ironiczna odpowiedź Donalda Tuska na temat pytania o likwidację bariery na granicy. Owszem, z każdego badania opinii na ten temat wyłania się jasna odpowiedź Polaków, unieważniająca potrzebę wydawania góry pieniędzy na to pytanie. Jednak lider PO, proponujący ironicznie, by zapytać społeczeństwo, czy jest za budową „prawdziwej” bariery, też nie do końca jest poważny. Elektorat chciałby wiedzieć, jaką politykę prowadziłby rząd Tuska wobec ewentualnej kolejnej fali migracyjnej, czy stosowałby push-backi i jaką barierę widziałby ostatecznie na granicy.

Obawy samorządów

To zresztą niejedyna kwestia, w której stanowiska opozycji związanej z tzw. blokiem senackim trzeba się domyślać. Słyszymy z jej ust krytykę sposobu prowadzenia zakupów dla wojska, ale nie mamy pojęcia, co ludzie namawiający nas do odsunięcia PiS od władzy planują sami zrobić i które kontrakty wstrzymać. Jak widzą przyszłość rozbudowanych programów socjalnych? Co zrobią z systemem podatkowym, jeśli wprowadzą w życie pomysł kwoty wolnej w wysokości 60 tys. zł i jak wtedy wesprą pozbawione wpływów z PIT samorządy? Jak będą walczyć z inflacją, pauperyzacją budżetówki, katastrofą demograficzną i skutkami katastrofy klimatycznej? Jaki jest plan na przejęcie pieniędzy z KPO, na transformację energetyczną czy też problemy polskiej edukacji i ochrony zdrowia? Co zrobić z państwowymi mediami, z Trybunałem Konstytucyjnym oraz prezydentem, który właśnie otrzymał prawo częściowego decydowania o stanowiskach unijnych przypadających Polsce?

Odpowiedź na te pytania nie powinna być improwizowana, a prezentacja szczegółowego programu opozycji – odwołana do połowy września. Powyższe kwestie są ważne, a na kilka tygodni przed wyborami wciąż jesteśmy karmieni opowieścią o czarodziejskiej różdżce, która 15 października ma zamienić polskie piekło w raj. Zamiast wiary w magię potrzebujemy dobrych architektów, którzy już dziś zaproponują nam projekt remontu Polski i przyszłego wystroju jej wnętrza.

© MAREK KĘSKRAWIEC



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wystawa „Baby Art Walk”. Wrocław, 16 maja 2019 r.

Mama na huśtawce

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Pomoc samotnym matkom to powód do wstydu dla Polski. Jeśli nic z tym nie zrobimy, media będą regularnie informować o tragediach takich, jak śmierć Kamila z Częstochowy.

MAGDA OPOWIADA SEN. SIEDZI w kuchni z mamą i tatą, jedzą śniadanie. Potem dostaje kanapkę owiniętą w aluminiową folię, buziaka na „do widzenia” i idzie do szkoły. Scena śniła się Magdzie wiele razy, ale zawsze twarze rodziców były rozmazane. Nigdy nie udało jej się „dośnić ich” do końca.

– Dzieciństwo spędziłam w domu dziecka, więc kiedy zaszłam w ciążę, to nawet się ucieszyłam, że będę mieć „coś” własnego – opowiada Magda. – Dopiero kiedy brzuch zrobił się duży, a mój facet już rozglądał się za innymi, chciałam cofnąć czas.

Zaszła w ciążę po siedemnastych urodzinach i nie udało jej się skończyć szkoły średniej. Mama porzuciła ją tak wcześnie, że jej nie zapamiętała, ojca nie poznała nigdy. Właściwie długo wydawało jej się to normalne, jej koleżanki też nie miały

domów i nikt nie robił im kanapek do szkoły. Za to już w wieku 11 lat poznała smak alkoholu. „Kto nie pije, ten donosi” – mówili w bidulu; nie mogła odmówić.

– Trafiają do nas kobiety, które uciekły od przemocy, zmagają się z uzależnieniami i najczęściej pochodzą z dysfunkcyjnych środowisk. Nie miały dobrych wzorców w domu albo w ogóle go nie miały – podkreśla Ewa Michoń, kierowniczka Domu Samotnej Matki i Dziecka, prowadzonego przez Caritas w Częstochowie. – Magda przeszła przez Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy, trafiła do naszej placówki już w ciąży. Jedynym jej pragnieniem było urodzić dziecko i zachować je dla siebie. Była w trudnym związku.

Magda bardzo długo nie wiedziała, czym jest miłość. Kiedy więc chłopak postawił jej piwo i zabrał motorem na wycieczkę, z wdzięczności zgadzała się na

seks. – Człowiek wychowany w normalnych warunkach, choć oczywiście pojęcie normy jest względne, nie umie sobie wyobrazić dziecka porzuconego, którego nikt nigdy nie darzył uczuciem. Magda cierpiała na tak chroniczny deficyt miłości, że najmniejszy komplement brała za wyraz uczuć i wiązała się z przemocowcami, byle tylko nie żyć samotnie – opowiada Ewa Michoń.

Dom Samotnej Matki i Dziecka w Częstochowie dysponuje czterdziestoma miejscami, obecnie przebywa tam jedenaście kobiet i trzynaścioro dzieci. Pobyt w placówce wiąże się z podjęciem terapii, która ma skutecznie wpłynąć na zmiany w życiu kobiet. Mogą liczyć na pomoc psychologa, pracownika socjalnego, terapeuty od uzależnień i prawnika – wiele matek ma na koncie wykroczenia albo długi.

Wychodzenie na prostą

Skierowanie do placówek dla samotnych matek z dziećmi (DSM) otrzymuje się na rok, z możliwością przedłużenia o sześć miesięcy. Za pobyt w ośrodku płaci gmina. Niestety, wiele osób – mimo że kwalifikuje się do pomocy – nie dostaje skierowania, bo miesięczne opłaty poważnie obciążąłyby budżet samorządu. Gdyby ciężar kosztów choć w części znalazł się na barkach państwa, można by pomagać skuteczniej.

– Kiedy skończy się przyznany kobiecie i jej dziecku okres pobytu w placówce, musi się wyprowadzić. Duża część pensjonariuszek przechodzi w międzyczasie terapię, znajduje pracę, czasem dostaje mieszkanie komunalne lub jest w stanie wynająć coś na wolnym rynku. Najtrudniej jest paniom, które są pozbawione umiejętności radzenia sobie z codziennymi sprawami. Zdarza się, że wracają do partnerów, od których wcześniej uciekły, lub trafiają do schroniska dla samotnych kobiet, a ich dzieci do rodzin zastępczych – wyjaśnia Ewa Michoń.

Praca nad powrotem Magdy do społeczeństwa trwała trzy lata. Kiedy przyszła do ośrodka, nie była w stanie posprzątać pokoju ani poradzić sobie z prostymi czynnościami domowymi. Nowe rzeczy do dzisiaj ją przerażają, ale nauczyła się dbać o siebie i dziecko. Magdzie pomagał pedagog, pracownik socjalny i psychiatra. Wysiłek specjalistów poszedłby jednak na marne, gdyby Magda nie podjęła terapii →

→ wyzwalającej ją z uzależnienia od narkotyków i alkoholu. Dziś jest w mieszkaniu chronionym (oprócz dachu nad głową gwarantuje się w nim też pomoc specjalistów), nauczyła się szyc. Skończyła kurs wizażu. Uwierzyła, że jest coś warta.

Kobiety z Ośrodka dla Samotnych Matek i Dzieci w Łabuniach (woj. lubelskie) też marzą o własnym mieszkaniu. Nie jest to jednak proste, bo czas oczekiwania na przydział waha się od kilku miesięcy do kilku lat. – W naszym domu aktualnie przebywają trzy matki dorosłe i dwie małe: mają szesnaście i siedemnaście lat – mówi Anna Boć-Bił, dyrektorka placówki. – Staramy się dla nich o mieszkanie, ale na razie nikt nie wie, co się z nimi stanie, gdy będą musiały opuścić nasze mury. Niektóre dziewczyny nie mogą wrócić do rodziców, bo ci mają odebrane prawa do opieki. Bywa i tak, że rodzice odwiedzają u nas córkę, ale nie chcą jej wziąć do siebie. Sposobem, żeby legalnie opuścić dom w celu usamodzielnienia się, jest zawarcie związku małżeńskiego. Ostatnio trafiła do nas ciężarna piętnastolatka, która kilka miesięcy po porodzie wyszła za mąż za ojca dziecka i opuściła nas.

Odzyskać życie

Niepełnoletnie kobiety w ciąży trafiają do DSM najczęściej z Młodzieżowych Ośrodków Wychowawczych. W świetle prawa po wyjściu za mąż i założeniu rodziny traktowane są jak osoby pełnoletnie. Z tej drogi korzysta wiele kobiet. Zdarza się, że biorą ślub tylko „na chwilę”, byle tylko nie wracać do rodzinnych domów lub pod opiekę osób wyznaczonych przez sąd. Jeśli małżeństwo zostanie zerwane, wiele z nich trafia do placówek dla samotnych matek. Pobyt w ośrodku łączy się z koniecznością brania udziału w życiu

Dorose kobiety trzeba czasem nauczyć,
że z dziećmi chodzi się
do lekarza, łóżka ścieli,
a pieniądze muszą wystarczyć
na cały miesiąc.

wspólnoty – są dyżury w kuchni, wspólnie obchodzi się święta, trzeba podjąć terapię. Dziewczyny niepełnoletnie przebywające w Łabuniach chodzą do szkoły, bo mają świadomość, że bez wykształcenia będzie im trudno stanąć na nogi.

– Pomagamy nieletnim koleżankom w opiece nad dziećmi, kiedy idą na lekcje – mówi 25-letnia Oliwia, która urodziła przed dwoma tygodniami. Jej synek śpi w kojcu i jeszcze nie rozumie słów mamy opowiadającej, jak przed porodem całymi dniami płakała i nie wychodziła z pokoju. Bała się, że sobie nie poradzi. Jedno dziecko już straciła; czteroletnia córka jest pod opieką prawną babci.

Oliwia zaszła w ciążę ze starszym o jedenaście lat obcokrajowcem, nie знаła jego przeszłości, nie wiedziała, że siedział w więzieniu. Poznali się w Holandii, dokąd uciekła przed partnerem, który pił, brał narkotyki (szło na to m.in. całe 500 plus).

– Moi rodzice rozwiedli się, jak miałam dwa lata. Mama ciągle pracowała i nie miała dla mnie czasu. Nie zwróciła na mnie uwagi, nawet jak się cięłam w gimnazjum. Kiedy miałam 16 lat, przeprowadziłam się do swojego chłopaka, był dzieś lat starszy i wydawał się spoko. Potem się okazało, że robił jakieś dziwne interesy i pił, potrafiłam naliczyć osiemnaście piw.

Bił mnie, choć byłam w ciąży. W końcu mafia zaczęła go ścigać za długi. Grozili, że i mnie zabiją. Uciekłam – Oliwia opowiada to cichym głosem, żeby nie zbudzić synka.

Zanim trafiła do Łabuń, mieszkała w noclegowni dla bezdomnych na Dolnym Śląsku. W tym czasie jej partner związał się już z inną kobietą. Nie miała szansy na znalezienie pracy, ciąża była już zbyt widoczna.

– Nie poradziłamby sobie z tym wszystkim sama. Dopiero dzięki terapii w ośrodku zrozumiałam, że nie ma sytuacji bez wyjścia, że zawsze trzeba szukać pomocy. Chciałabym dostać mieszkanie i podjąć pracę, wierzę, że z czasem uda mi się odzyskać córkę od babci – marzy Oliwia.

Dziedziczenie biedy

– Bywa, że kobiety, nawet po długotrwałej terapii, nie potrafią radzić sobie z wyzwaniami – opowiada siostra Nikodema, kierująca domem w Karwowie, prowadzonym przez Zgromadzenie Sióstr Benedyktynek Samarytanek Krzyża Chrystusowego. – Mielśmy w ośrodku matkę, co do której żywiłam duże nadzieje. Mieszkała u nas rok, była alkoholizką po terapii, czworo dzieci jej odebrano, piąte wychowywała u nas. Miała zacząć pracę, ale odwiedziła męża w więzieniu. Nie wytrzymała tego napięcia, upiła się, wszczęła awanturę w autobusie. Przyjechała policja i kobieta trafiła na trzy miesiące do więzienia, za wcześniejsze przewinienia. A przecież już wydawało się, że odzyska dzieci i zacznie żyć świadomie. Dzieci straciła, a najmłodszy syn trafił do rodziny zastępczej.

Ośrodek w Karwowie znajduje się na wsi, dom otacza ogród, jest miejsce do zabawy, można jeździć na rowerze i rolkach. Przebywają tam wyłącznie matki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Gdzie jest Przebój,

Co „Tygodnik” miał do powiedzenia o Jarocinie? Jak oceniał festiwale w Opolu i Sopocie? Archiwa naszego pisma to nie tylko zapis powojennych losów Polski i świata, komentowanych przez najwybitniejsze umysły tamtych czasów. To także źródło wielu zaskoczeń.

Do CHOLERY?!

Zapraszamy na wspólną podróż w przeszłość.
Szukaj w dziale „Historia” TygodnikPowszechny.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**




pełnoletnie. – Jest u nas wiele kobiet, które są niezaradne, nie mają poczucia sprawczości, wiele nie potrafi zająć się dziećmi – mówi psychoterapeutka Kinga Orłowska, która przyjechała tu na rok jako wolontariuszka.

Z ośrodka w Karwowie niektóre kobiety odchodzą, po czym wracają. Siostry benedyktynki przyjmują je ponownie, bo zależy im na dobru dziecka, ale nie mają wielkich nadziei. Dla wielu matek ośrodek to rodzaj internatu, który im się należy. Nie angażują się więc w terapię, nie chcą iść do pracy.

– Kiedyś przyjechała w odwiedziny do szesnastoletniej dziewczyny jej mama i zawołała: „O, tutaj był budynek gospodarski, trochę się pozmieniało”. Okazało się, że też przeszła przez nasz ośrodek, ale wcześniej nie rozmawiała o tym z córką. Mamy więc kobiety, które dziedzić będą i los po krewnych. Często nie wiem, jak przerwać ten łańcuch – przyznaje Kinga Orłowska.

Listy od więźniów

Niewydolność systemu widać wyraźnie w historii Anny, która ma jedenastoletnią córkę i sześcioletniego syna. Anna skończyła 40 lat i lubi bawić się na placu zabaw, czasem dzieciom wyjada cukierki. Boi się spać w ciemności i nie zna wartości pieniądza. Kiedy zbyt głośno domaga się czegoś i krzyczy, jej córka szturcha ją i ucisza. Nie odebrano jej dzieci, więc dzieciństwo córki i syna mija na przeprowadzkach do różnych ośrodków – nigdy nie znalazła życia w prawdziwym domu. Nikt nie wie, co się z nimi stanie, gdy skończy się półtoraroczny pobyt w Karwowie.

– W naszym ośrodku czeka na poród 38-latką z orzeczeniem o niepełnosprawności intelektualnej. Ojciec dziecka jest więźniem, wyszedł na krótko i znowu siedzi. Prawdopodobnie kobieta po porodzie trafi do DPS-u, a dziecko zostanie jej odebrane – opowiada kierowniczka DSM w Częstochowie. – Kiedy więc widzę kolorowe koperty, starannie udekorowane listy, od razu wiem, że to od więźniów. To powszechne zjawisko. Osadzony najczęściej ma rodzinę i choć obiecuje dożgonną miłość, po wyroku wraca do żony albo znowu trafia za kratki – wzdycha Ewa Michoń.

Najtrudniejsze w ośrodkach są święta. Wzmagają samotność, poza tym większość kobiet ma złe wspomnienia z dzie-

ciństwa. Przygotowanie białego obrusu i zastawy na stół, wybranie potraw, odświętne ubranie siebie i dzieci – to rzeczy, których dotąd często nie praktykowały. Budzą w nich niepokój i generują konflikty w grupie.

– „Każdą wigilię spędzałam z półlitrowką żubrówki”, powiedziała mi jedna z podopiecznych – wspomina siostra Nikodema z Karwowa. – Dlatego czasem siadają do stołu w dresach, nie chcą celebrować święta.

Bywa, że są bierne. Czasem wynika to z długoletniego mieszkania w domach dziecka, gdzie za nic nie trzeba było bezpośrednio odpowiadać. – Kiedy dziecko choruje, upadnie, skaleczy się, w tzw. normalnej rodzinie matka biegnie, próbuje jakoś zaradzić. U nas bywa inaczej. Robimy wszystko, by pokazać kobietom drogę ku samodzielnemu życiu, ale nie możemy przejść tej drogi za nie – mówi Kinga Orłowska.

Ważnym punktem na tej drodze jest tzw. mieszkanie treningowe. – Dorosłe kobiety nie potrafią czasem ścielić łóżek. Trzeba je nauczyć, że z dziećmi chodzi się do lekarza, a pieniądze muszą wystarczyć na cały miesiąc. Nie wszystkie kobiety przechodzą ten test. W Częstochowie mamy wolny lokal chroniony, ale żadna z naszych podopiecznych nie jest na to jeszcze gotowa – uważa Ewa Michoń.

Żeby pokrzywdzone kobiety z dziećmi stanęły mocno na nogach, potrzebna jest współpraca wielu osób i instytucji – placówek, ośrodków pomocy społecznej, centrów pomocy rodzinie, urzędów, sądów, kuratorów, nauczycieli, lekarzy, policji. Bez tego sytuacja się nie zmieni. A tragedie, takie jak śmierć Kamila w Częstochowie, będą co jakiś czas wstrząsać Polską i uruchamiać falę oburzenia.

Nie można pomóc każdemu

Piotr Szukalski z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego w artykule „Nastoletnie matki we współczesnej Polsce” podawał, że w 2019 r. płodność nastolatek osiągnęła najniższy poziom w powojennej historii naszego kraju i była po raz pierwszy niższa niż dziesięć urodzeń na tysiąc kobiet w wieku 15-19 lat. W 2019 r. zdarzyły się jednak ciąży u 35 dziewczynek do 14. roku życia, 146 piętnastolatek i 497 szesnastolatek.

Jedną z nich była Kasia, która przebywała w warszawskim Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym, choć zgodnie z prawem nie powinna tam mieszkać z dzieckiem, bo polskie przepisy nie przewidziały rozwiązań umożliwiających pobyt nieletnich matek wraz z dziećmi w takich placówkach; w dodatku jako nastolatka nie miała władzy rodzicielskiej. Po porodzie Kasia z piersiami pełnymi mleka wróciła do ośrodka, a jej dziecko trafiło do rodziny zastępczej. W końcu odzyskała córkę, ale z powodu kłopotów z utrzymaniem przez kilka miesięcy przebywała w Domu Samotnej Matki w Warszawie na Pradze-Północ.

O zmiany w prawie dla takich matek jak Kasia walczyła Fundacja po DRUGIE Agnieszki Sikory, dziennikarki, która po latach zajmowania się problematyką społeczną w mediach postanowiła sama nieść pomoc. – Moja organizacja podjęła temat nieletnich dziewcząt w 2012 r., kiedy jeszcze nie mogły przebywać w młodzieżowych ośrodkach, do których zostały skierowane przez sąd, bo zaszły w ciążę. Często też były nakłaniane do oddawania dzieci do adopcji. Zrobiliśmy raport o ich sytuacji, zdobyliśmy grant i postanowiliśmy wybudować dom, w którym dziewczyny będą miały szansę na zmianę życia – opowiada Agnieszka Sikora.

Dom dla matek powstaje na warszawskim Ursynowie. Projekt zakłada, że placówka będzie dysponowała sześcioma miejscami dla kobiet i dzieci i działała będzie na zasadzie osobnych mieszkań chronionych. – W domach dla samotnych matek zwykle czas pobytu jest ograniczony, w naszym nie stawiamy takich granic. Wychodzimy z założenia, że trzeba pracować z kobietą tak długo, jak wymagają tego okoliczności. Każda jest inna, inaczej wygląda też jej praca nad uzależnieniami czy traumami. Musi być jednak wysiłek z obu stron – zaznacza Agnieszka Sikora. – Jeśli kobieta nie podejmie żadnych działań, będziemy myśleć także o jej dziecku i o takim uregulowaniu sytuacji, która w pierwszej kolejności ma na uwadze jego dobro i bezpieczeństwo. To jest trudne, ale po dwunastu latach działalności społecznej rozumiem, że nie mogę pomóc każdemu.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Imiona matek zostały zmienione.

Woda po nas spływa

KRZYSZTOF STORY

Katastrofa na Odrze nauczyła nas niewiele. Rzeka z pozoru wygląda normalnie. Być może potrzebujemy jeszcze większej tragedii, by skończyć z obojętnością?

ROK TEMU DRUGA NAJWIĘKSZA RZKA w Polsce dostała cios z gatunku tych bliskich nokautu. W ciągu dwóch tygodni sierpnia 2022 r. służby ratunkowe i wolontariusze wyciągnęli z Odry 249 ton martwych ryb. Od razu zaczęło się analizowanie przyczyn i szukanie winnych, ale choć władze oferowały milion złotych za ich wskazanie, nagrody do dziś nie wypłacono ani nikogo nie ukarano.

Do badań rzucili się wszyscy – własne raporty opublikowali: specjalny rządowy zespół ekspertów, polskie i niemieckie instytucje naukowe, organizacje pozarządowe, a nawet Komisja Europejska. Co do bezpośredniej przyczyny wszyscy są zgodni: wysokie zasolenie przy niskim stanie wody umożliwiło masowy, toksyczny zakwit glonów, czyli sławnej „złotej algi”. Tu zgoda się kończy, bo naukowcy i aktywiści mówią jeszcze o wpływie zmian klimatu, nadmiernej regulacji rzeki i jej dopływów, a także o braku kontroli nad zrzutami ścieków, wód opadowych i zasolonych wód z kopalń. Te kwestie raport rządowy zrecznie pominął.

Przez ostatni rok służby niestrudzenie badały zasolenie rzeki; pobrano dziesiątki tysięcy próbek odrzańskiej wody, a wyniki regularnie przekraczały normy. Na początku czerwca 2023 r. obserwowaliśmy powtórkę sprzed roku, na szczęście na mniejszą skalę: zakwit „złotej algi” na Kanale Gliwickim i ponad tonę martwych ryb na jego brzegach. Żeby zmniejszyć ilość soli w Odrze – nie zrobiono właściwie nic.



MAGDA BOBRYK

Według danych GUS za rok 2020 wlewamy do rzek więcej zasolonej wody niż w 2000 r. Sól spływa do nich z naszych zmywarek i obсыpywanych zimą dróg, ale głównymi trucicielami Odry są kopalnie węgla i miedzi. Choć w ostatnich dekadach zamknęliśmy sporo szybów węglowych, wiele z nich nadal trzeba odwadniać, by nie zalały sąsiednich zakładów, a te, które pracują, sięgają po coraz głębsze złoża, z których trzeba odpompowywać jeszcze mocniej zasolone wody.

Czy dało się to przewidzieć? Tak, a do wodom jest notatka sprzed katastrofy, odnaleziona niedawno przez Andrzeja Drabińskiego, emerytowanego profesora Akademii Rolniczej we Wrocławiu: „Ładunek soli w wodach kopalnianych może wzrosnąć z obecnych 7 tys. ton/dobę do 12 tys. ton/dobę (...) W przypadku odprowadzania tych ilości soli do systemu wodnego Wisły i Odry prowadziłoby to do katastrofy ekologicznej”. Cytat pochodzi z protokołu prac podzespołu ds. górnictwa przy Okrągłym Stole. Został spisany 21 marca 1989 r. 34 lata temu.

Co dalej z naszymi rzekami?

Jeden procent

Wstrząsające sceny znad Odry z ubiegłego roku są konsekwencją pogłębiającego się od lat kryzysu, który dotyczy całego kraju, a nie jednej rzeki. W latach 2016-2021 Wojewódzkie Inspektoraty Ochrony Środowiska sprawdziły stan 4585 rzek i zbiorników przy zaporach. Status „dobry” uzyskały... 22.

To nie tylko polski problem. Gdy Unia Europejska w 2000 r. przyjmowała Ramową Dyrektywę Wodną (wdrażamy ją w Polsce od maja 2004 r.), wyznaczyła ambitny cel: wszystkie rzeki mają być w dobrym stanie w ciągu 15 lat. Osiem lat po terminie tylko 40 proc. europejskich rzek spełnia te normy. U nas to zaledwie 1 proc.

Nieprawdą jest jednak, że władze w ogóle na ten kryzys nie reagowały. Polska gospodarka wodna 1 stycznia 2018 r.



Odra na 515. kilometrze.
4 lipca 2022 r.

wyliczeń WWF, Polska tylko w latach 2010-2017 wykonała je na 37 450 kilometrach rzek. To prawie tyle, co długość równika. Wiele z tych projektów finansowała Unia Europejska. Zrobiliśmy naprawdę dużo, żeby woda jak najszybciej z Polski uciekała, a teraz zaczyna nam jej brakować.

Zmiana prawa nie przyniosła spektakularnej poprawy. Po pięciu latach Wody Polskie na pewno nie zasługują na świadectwo z czerwonym paskiem. Stan rzek w kraju wciąż się pogarsza, a Polska (zwłaszcza centralna część) zмага się z dotkliwą suszą. Po katastrofie na Odrze odwołano ze stanowiska dyrektora Wód Przemysława Dacę, ale świeżych pomysłów na rozwiązanie problemów wciąż nie widać. Wręcz przeciwnie – w kolejnych programach i strategiach pojawiają się projekty sprzed kilkudziesięciu lat: stopień wodny na Wiśle w Siarzewie (dzisiaj wyceniany na ponad 7,5 mld złotych), stopnie na Odrze, wielkie zbiorniki retencyjne.

Kluczowe inwestycje realizowane są za pieniądze pożyczone z Banku Światowego i Banku Rozwoju Rady Europy. Flagowy projekt inwestycji w ochronę przeciwpowodziową, realizowany od 2015 r., wyceniono na 1,2 mld euro.

– Ci ludzie bazują często na wiedzy sprzed 50 lat – twierdzi Jacek Engel, prezes fundacji Greenmind i były członek Państwowej Rady Ochrony Przyrody. – Rozumiem, że politykom pasują te wielkie inwestycje, bo łatwo jest powieścić wstęgę do przecięcia, ale Wodom Polskim też, bo właśnie tego nauczyli się na studiach. Są tam doskonali inżynierowie, ale brakuje hydrobiologów i hydrologów, którzy inaczej patrzą na rzekę.

Wiele mówi fakt, że WP nie podlegają resortowi środowiska, tylko Ministerstwu Infrastruktury. Oraz to, że uczestnicy jednego ze spotkań dotyczących opracowywanego kilka lat temu programu przeciwdziałania skutkom suszy wspominają, jak Wojciech Skowyrski, obecny wiceprezes Wód Polskich, oświadczył, że dopilnuje, by stopień wodny Siarzewo powstał, bo zaprojektował go... jego ojciec.

Widać też jednak pozytywne akcenty. Wody Polskie niespełna 4 lata temu za-

mówiły ogólnokrajowy program renaturyzacji rzek. Nigdy go nie wdrożyły, ale samo opracowanie strategii też ma swoją wartość. We wrześniu we Wrocławiu zorganizują Kongres Wodny, gdzie do debaty zaprosili naukowców i przedstawicieli organizacji pozarządowych.

Droga kropli

Nie można obwiniać Wód Polskich o wszystko, co złe. Wyobraźmy sobie kropkę wody spadającą na Polskę. Posiadamy ten komfort, że znakomita większość z takich kropeł opuści kraj dopiero w Bałtyku, więc mamy duży wpływ na jej los.

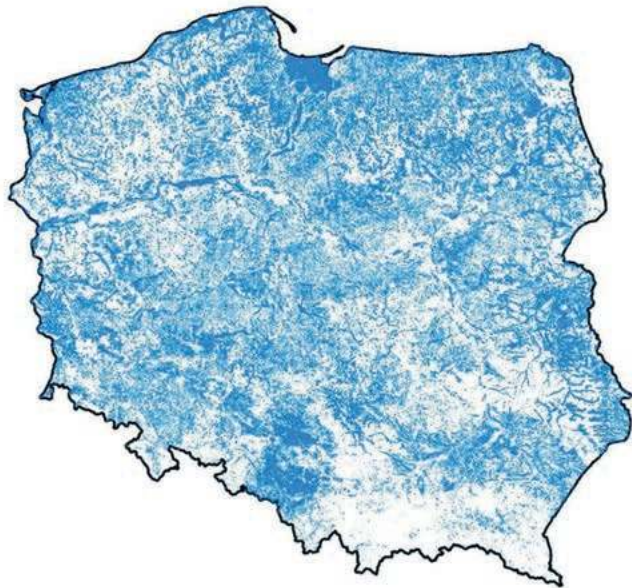
– Jeśli chcemy przeciwdziałać skutkom suszy i powodzi, mieć zdrowe rzeki, musimy drogę tej kropli do morza wydłużać. Rzeka jest na jej drodze ostatnim etapem. Już wcześniej musimy pilnować, żeby nasze krople wsiąkały w ziemię, zostawały na bagnach, w lasach, w krajobrazie – mówi Ilona Biedroń. – Odwadniając pola, wycinając górskie lasy, zabudowując kolejne przestrzenie bez ładu i składu, robimy coś dokładnie przeciwnego. Bezczenny zasób spływa nam rowami, zrębami i betonem do rzek. Tego same Wody Polskie nie rozwiązają.

Spowalnianie spływu wody nazywamy retencją naturalną. Można ją wzmacniać na dziesiątki sposobów i budowa tradycyjnych inżynierskich rozwiązań powinna być tylko jedną z opcji. Zacząć można od zakładania w nowych domach instalacji zbierających tzw. szarą wodę (po kąpieli lub praniu), bo absurdem jest używanie wody pitnej do spłukiwania toalety. Ale nie zawsze trzeba sięgać po skomplikowane rozwiązania. Czasami wystarczy nie robić nic. Wspomniany już „Krajowy program renaturyzacji wód powierzchniowych” został opracowany pod kierownictwem Ilony Biedroń: – Określiliśmy w programie pakiet podstawowych działań. Może to być sadzenie drzew na brzegach rzeki, dosypywanie żwiru, by podnieść jej dno, a czasami wystarczy dać rzece czas na regenerację. Tymi prostymi i tanimi środkami możemy realnie wypłynąć na osiągnięcie dobrego stanu na 16 tysiącach kilometrów polskich rzek.

Im bardziej zniszczymy rzekę, tym trudniej ją potem odbudować. Najmocniej w Polsce ujarzmiona Odra wymaga poważniejszych działań. Pierwsze udane próby mamy już zresztą za sobą. ➔

przeszła fundamentalną zmianę, z którą wielu wiązało duże nadzieje.

– Wszystkimi wodami zajęła się jedna, nowa instytucja, Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie – mówi Ilona Biedroń, absolwentka inżynierii środowiska i wiceprezeska zarządu Fundacji Hektary dla Natury. – Wcześniej jedynie największe polskie rzeki i potoki podlegały regionalnym zarządom gospodarki wodnej, te mniejsze zaś samorządom: zarządom melioracji i urzędów wodnych. To było fatalne, bo na większość rzek patrzyliśmy nie z perspektywy naturalnych granic zlewni, tylko wytyczonych granic powiatów i województw. Oczywiście los dużych rzek zależy od ich dopływów, którymi przez lata zarządzali ludzie podlegli samorządowej władzy, ale oni chętnie budowali wały, odwadniali pola i łąki na potrzeby rolnictwa, prostowali i regularnie odmulali (czyli pogłębiali) małe rzeki. Ten ostatni zabieg według prawa zalicza się do „prac utrzymaniowych”, których nie traktuje się jak inwestycje. Według



Rowy
melioracyjne
w Polsce.

Źródło danych: BDOT.
Opracowała Ilona
Biedroń

→ W 2015 r. z inicjatywy WWF odsunięto od rzeki wały między Domaszkowem a Tarchalicami.

– Nikt poważny nie powie, że powinniśmy w ogóle przestać zarządzać rzekami i pozwolić wszystkim zdziczeć, skoro znakomita większość naszych miast rozwinęła się nad ich brzegami – mówi Ilona Biedroń. – Ale tam, gdzie to możliwe, powinniśmy dać im przestrzeń, na którą mogłyby się rozlać podczas wiosennych roztopów czy lipcowych burz. To nasza najlepsza ochrona przeciwpowodziowa.

– To nie tylko zwiększa retencję wody i poprawia stan rzek, ale też obniża szkody podczas ewentualnej powodzi – dodaje Jacek Engel. – Zarówno w 1997 r., jak i w 2010 nawet 40 proc. strat stanowiła zniszczona infrastruktura przeciwpowodziowa.

Można tylko grzecznie prosić

Porównajmy Odrę i Wisłę. Do tej drugiej trafia więcej soli. Podczas awarii oczyszczalni „Czajka” latem 2020 r., pomimo olbrzymich zrzutów ścieków, do żadnej wielkiej katastrofy nie doszło. To dlatego, że Wisła w środkowym biegu jest mało przekształcona przez człowieka. Taka rzeka ma moc samooczyszczania – zróżnicowana struktura dna i organizmy żyjące w wodzie działają jak filtry, a większy przepływ wody oznacza mniejsze stężenie zanieczyszczeń.

Potrzebujemy rzek o takich zdolnościach, bo w opartej na węglu Polsce po prostu nie mamy możliwości, żeby „od zaraz” przestać odprowadzać słoną wodę

z kopalń. Co nie znaczy, że nie powinniśmy lepiej kontrolować, co wylamy do rzek, i dotyczy to choćby legalnych zrzutów. Kontrole odbywają się na podstawie pozwoleń wodnoprawnych wydanych przez Wody Polskie lub pozwoleń zintegrowanych, będących w gestii marszałków województw. Po zeszłorocznej katastrofie WP zapowiedziały wielki przegląd tych dokumentów, który do dziś się nie zakończył. W dodatku pozwolenia nie uwzględniają tego, że w naszych rzekach jest coraz mniej wody, choćby przez zmiany klimatu. – Kontrola też jest iluzją, bo to zakład zrzucający ścieki sam deklaruje, ile zrzucił i czy zmieścił się w limicie – komentuje Jacek Engel.

Do tego, że ten system nie ma nic wspólnego ze skuteczną ochroną rzek, Wody Polskie przyznały się pośrednio 14 lipca, gdy stan wód na Odrze obniżał się z dnia na dzień. Krzysztof Woś, prezes WP, opublikował apel do wszystkich posiadaczy pozwoleń wodnoprawnych „o zmniejszenie wielkości zrzutów do rzeki”. W sytuacji, gdy groziła nam powtórka z zeszłorocznej katastrofy, okazało się, że jedyne co może zrobić instytucja odpowiedzialna za wszystkie akweny w kraju to... grzecznie poprosić.

Po wydarzeniach z zeszłego roku rząd zapowiedział specjalną ustawę, która miała uratować Odrę. 17 sierpnia Sejm odrzucił senackie weto, więc na dokumencie brakuje już tylko podpisu prezydenta. Już sam sposób powstawania „ustawy o rewitalizacji rzeki Odra” budził zastrzeżenia. Nie odbyły się żadne z za-

powiadanych konsultacji społecznych, a rząd aż do 24 maja trzymał tekst w tajemnicy. Do współpracy zaprosił tylko zaprzyjaźnioną z władzą fundację ECO-PROBONO, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Wodnych i Melioracyjnych oraz KGHM – jednego z największych trucicieli Odry.

Jacek Engel nazywa efekt prac „ustawą o dobijaniu Odry”. – Na pierwszych sześciu stronach mamy listę 160 inwestycji, z czego renaturyzacji Odry, a w zasadzie jej dopływu, służy jedna. Reszta to dalsza regulacja i standardowy, betonowy repertuar: jazy, zbiorniki i dwa stopnie wodne na Odrze.

Wszystko to ma kosztować ponad miliard złotych. Poza inwestycjami ustawa zmieni dwie znaczące rzeczy. Pierwsza to powstanie (podległej Wodom Polskim) Inspekcji Wodnej. Jej funkcjonariusze będą mieli prawo do noszenia broni i stosowania środków przymusu bezpośredniego. – Po co nam kolejna instytucja, gdy mamy Inspekcję Ochrony Środowiska i Straż Rybacką, które spełniają te same funkcje, ale są chronicznie niedofinansowane? – pyta Engel. – Zamiast korzystać z narzędzi, które już mamy, tracimy czas na takie rzeczy jak załącznik nr 3 do tej ustawy, gdzie jest opisane, jak powinna wyglądać służbowa czapka zimowa Inspekcji Wodnej.

Ważniejszą kwestią są opłaty za wylanie solanki do rzek. Od lat wynoszą 5 groszy za kilogram soli. – Dla kopalni to jest śmiesznie tanio – mówi Engel. – Ustawa co prawda podnosi opłatę do 10 gr/kg, ale dopiero od 2030 r. Do tego czasu inflacja pochłonie całą tę podwyżkę.

W specustawie odrzańskiej jest jeszcze jedna dziura. Ministerstwo chciało zachęcić firmy do inwestowania w specjalne zbiorniki, w których mogłyby same magazynować słoną wodę, by zrzucić ją do rzeki, dopiero gdy przepływ wody będzie dostatecznie wysoki. Kopalnia wyposażona w taki zbiornik płaciłaby mniej za każdy kilogram soli. W poprzedniej wersji projektu był wymóg: zbiornik ma wystarczyć na 20 dni; w ostatecznej: na zaledwie pięć. – W zeszłym roku „niżówka” na Odrze trwała 80 dni – komentuje Engel. – Obniżka opłaty za zrzut solanki dla firm mających zbiorniki pozwalające na chwilowe wstrzymanie zrzutu to jest *de facto* nagroda za trucie rzeki.

Nad Odrą

Magda Bobryk mieszka nad samą Odrą. Wraz z siostrą i mamą cztery lata temu założyły Stowarzyszenie 515 Kilometr Odry. – Dziś zajmujemy się głównie nieformalną edukacją – mówi Magda. – Opowiadamy rzekę, staramy się budować w ludziach wrażliwość na wodę, uświadamiając prawa każdego obywatela do czystego środowiska.

Na 515. kilometrze Odra (na zdjęciach satelitarnych) kształtem nie przypomina rzeki, a raczej powyginany brzeszczot do metalu. Przez dziesiątki kilometrów jest pocięta ostrogami, które pogłębiają główny nurt na potrzeby żeglugi. Mimo to Magda czuje się do niej przywiązana. – W dzieciństwie, gdy wylewała na wiosnę, wychodziliśmy na łąki i w nieckach, gdzie jeszcze stała woda, łapaliśmy ryby gołymi rękami – wspomina.

Na pytanie o to, co zmieniała katastrofa z zeszłego roku, odpowiada: – Pamiętam czasy pandemii. Daleki świat był zamknięty, a nad swoją rzekę zawsze można było pójść. I ludzie zaczęli chodzić. Z psami, dziećmi, na spacer, na jedno popołudnie, na noc lub cały weekend. Pierwszy raz w życiu widziałam takie tłumy nad Odrą. A potem przyszedł sierpień i ludzie znowu zaczęli się rzeki bać. Tego żałuję. Z drugiej strony katastrofa przyciągnęła uwagę mediów, połączyła ludzi. Po katastrofie zupełnie inaczej chcemy budować komunikację: opartą na pięknych opowieściach, na doświadczeniu rzek wszystkimi zmysłami. Dopiero gdy poczujemy, że coś jest piękne, jesteśmy gotowi to chronić. Ale jest jeszcze jeden aspekt, w którym nie zmieniło się nic. Jeśli pójdziesz dziś nad rzekę, zobaczysz, że ona wygląda tak samo jak rok temu; nie ma śladu po zeszłorocznych wydarzeniach. Czasami myślę, że to źle, bo łatwiej pozostać obojętnym. Może potrzebujemy katastrof? Może łatwiej byłoby nam działać, gdybyśmy zamiast rzeki mieli dzisiaj lej po bombie, suche bądle na brzegach, gdybyśmy dotknęli dna?

© KRZYSZTOF STORY

Do momentu oddania tego tekstu do druku Wody Polskie nie odpowiedziały na przesłane pytania i zaproszenie na wywiad.



ALAMY / BE&W

Tereny bagniste w Puszczy Białowiejskiej.

Zakochany w bagnach

WIKTOR KOTOWSKI, EKOLOG:

Są ostatnim pierwotnym kawałkiem naszego świata, ogromnym magazynem wody i pochłaniaczem dwutlenku węgla – naszą najlepszą lokatą klimatyczną.

KRZYSZTOF STORY: Skąd się biorą bagna?

WIKTOR KOTOWSKI: Ich fundament jest nieustanna wilgoć, która razem ogranicza dostęp do tlenu. Jego niedobór hamuje działalność mikroorganizmów rozkładających materię organiczną, która z czasem zmienia się w torf.

Ile ich mamy?

Na całym świecie bagna zajmują raptem 3 procent lądu, ale trzymają w sobie od 500 milionów ton do nawet jednej teratony węgla. To około dwa razy więcej niż jest zawarte we wszystkich lasach na planecie. Nie ma bardziej efektywnego pochłaniacza dwutlenku węgla na Ziemi.

Podobno bagna mają też własną pogodę...

Własny mikroklimat. Są ogromnym magazynem wody. Zatrzymują ją po opadach, a gdy przychodzą gorące i suche dni, parują i powodują deszcz.

Sprawdzam synonimy do słowa bagno: upadek, degrengolada, upodlenie. Koją się z brudem, zepsuciem, a Pan jest w bagnach zakochany.

Bo są ostatnim naprawdę pierwotnym kawałkiem naszego świata. Torfowiska to jedyne elementy europejskiego krajobrazu, które zachowały swoją funkcję i skład gatunkowy od początków holocenu. Najstarsze bagna w Polsce mają 11 tysięcy lat. To jest cudownie namacalne, możemy pójść, wywiercić dziurę i zobaczyć te tysiąclecia.

Ile tej pierwotności mamy?

Nieosuszone torfowiska zajmują poniżej jednego procenta powierzchni kraju, najwięcej na północy i wschodzie Polski.

Kiedyś było znacznie więcej.

Osuszyliśmy co najmniej 85 procent bagien w kraju. Poszliśmy za krótkoterminowym zyskiem. Naturalne torfowisko zwykle nie jest żyzne, ale gdy je

→ osuszamy, torf zaczyna się rozkładać i bagno zamienia się w wielki kompostownik. Goniąc za kolejnymi hektarami, zamienialiśmy je w łąki i pola. Najwięcej w czasie zaborów i PRL-u, ale to nie tylko kwestia przeszłości. Po powodzi w 2010 r. samorządy dostały duże fundusze na zabezpieczenia przeciwpowodziowe. Tymi pieniędzmi, w większości pochodzącymi z UE, u progu katastrofy klimatycznej dobiliśmy swoje bagna. Wydano je na odnowę starych melioracji i regulację tysięcy kilometrów małych rzek.

Melioracja to dość prosty proces.

Bagno, które powstawało tysiące lat, umiemy osuszyć szybko i tanio: wystarczy wykopać rowy.

Wtedy torf zanika w tempie nawet 20 razy szybszym, niż powstawał. Dzięki melioracjom z czasów PRL-u ulotnił się do atmosfery węgiel, który bagna akumulowały od czasów Mieszka I.

Jakie są konsekwencje?

Zyskujemy powierzchnię, z której możemy korzystać. Budować, uprawiać, kościć. Tracimy retencję wody, bioróżnorodność i psujemy klimat. Z osuszonych torfowisk w Polsce do atmosfery leci rocznie około 35 ton CO₂. To ponad 10 procent naszych krajowych emisji.

Możemy ten proces odwrócić?



DR HAB. WIKTOR KOTOWSKI jest biologiem, ekologiem, współzałożycielem Centrum Ochrony Mokradeł.

Technicznie wystarczy zasypać rowy, torfowisko się nawodni i przestanie rozkładać. Tylko jak wytłumaczyć właścicielom, że muszą własną ziemię oddać wodzie? Co zaoferować w zamian? Ścieżki są dwie: pierwsza to rolnictwo bagienne. Torfowisko, na które woda wraca po latach, pozostaje żyzne, z uprawy roślin bagiennych można pozyskać dużą ilość biomasy na cele energetyczne lub budowlane. To jednak pieśń przyszłości. Drugą opcję możemy wdrożyć od zaraz: rekompensaty pieniężne.

Chodzi o scenariusz, w którym np. Unia zamiast do osuszonego wcześniej pola dopłaca rolnikowi za to, że zostawi bagno w spokoju?

Tak. Osuszone torfowiska w Polsce to raptem 5 procent obszarów rolniczych. Ich ponowne uwodnienie nie oznacza żadnej zagłady rolnictwa i utraty niezależności żywnościowej. Ale opór jest ogromny, nie tylko w Polsce. Z ostatnio głosowanego w Parlamencie Europejskim rozporządzenia Nature Restoration Law wykreślono wymóg odtwarzania torfowisk rolniczych.

Są inne opcje?

Skoro na ochronę torfowisk nie starczy publicznych pieniędzy, można skorzystać z prywatnych. Tysiące firm zobowiązuje się dzisiaj do ograniczania emisji CO₂. Często robią to poprzez kompensowanie ich, np. finansując sadzenie lasów. W polskim Centrum Ochrony Mokradeł pracujemy właśnie nad systemem, który pozwalałby te pieniądze przeznaczać na ochronę i odtwarzanie bagien.

To lepsze niż sadzenie lasów?

Moim zdaniem tak, bo redukuje emisję, które są tu i teraz. Osuszone torfowisko wydziela CO₂, mokre go zatrzymuje. Bagno okazuje się naszą najlepszą lokatą klimatyczną.

©© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Mieczysława Lubińskiego, Marii Lubińskiej, Anny Lubińskiej-Stróżyk i Aleksandry Lubińskiej-Dec w sprawie o sygn. akt I Ns 10/23 o zasiedzenie udziału we współwłasności nieruchomości położonej w miejscowości Konarzyny, powiat kościerski, o powierzchni 0,07 ha, oznaczonej numerem geodezyjnym 397, dla której w Sądzie Rejonowym w Kościerzynie prowadzona była księga wieczysta nr GD1E/00016581/2, zapisanego w tej księdze na nazwisko Józefa Chierka.

Wzywa się wszystkich następców prawnych Józefa Chierka, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe następstwo prawne po nim pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 40/23, na wniosek Lesława Tłagi, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Aleksandrze Tładze (Tłaga), zmarłej dnia 22 maja 2010 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałej w miejscowości Drożdżówka.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 529/22 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Werle, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie (55-200), przy ul. Pułaskiego 26. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: Solówka!



W MOJEJ SZKOLE PODSTAWOWEJ NA WARSZAWSKIEJ Chomiczówce – tej samej Chomiczówce, o której w cudownie sentymentalnym utworze pod tym właśnie tytułem śpiewał ongiś Sidney Polak (potwierdzam, wszystko, co tam śpiewał, to

prawda) – jednym z najpopularniejszych środków rozwiązywania chłopięcych problemów była, jakżeby inaczej, solówka. Najczęściej organizowana w stosownej odległości od budynku – tak, żeby maksymalnie zabezpieczyć się przed czujnością nauczycieli, którzy, dostrzegłszy sygnały ostrzegawcze, potrafili zainterweniować już na bardzo wczesnym etapie przygotowań (wymarsz w dwóch grupach; układanie plecaków w okrąg; zbierający się zaciekawiony tłumek).

Solówkom w ogóle towarzyszyła rozbudowana rytualistyka. Każdą poprzedzało wyzwanie („Solówka!”), formułowane stanowczo i przy świadkach. Teoretycznie można było je odrzucić – nikt nikogo do solówki, formalnie rzecz biorąc, nie miał prawa zmusić – niemniej wiązały się z tym poważne konsekwencje w postaci tak zwanych „trzech szybkich” albo „trzech wolnych”. Skądinąd, nigdy nie mogłem zrozumieć, na czym właściwie polega ta dystynkcja. Różnica tempa, w jakim wymierzano owe ciosy, pozostawała dla mnie nieuchwytna. Tak czy siak, dostawało się serię uderzeń prosto w najbardziej wrażliwe miejsce na ramieniu. Wywoływało to ból na tyle intensywny, że nawet chłopaki wyjątkowo pojedynkom na pięści niechętnie wybierały jednak ryzyko bezpośredniego starcia. No bo wiadomo, zawsze mogło się to jakimś cudem skończyć wygraną (albo interwencją nauczycieli) – w przypadku tych „trzech” natomiast nie było szans na żadne zaskoczenia.

Skoro już więc do solówki dochodziło, szło się, jak wspominałem, gdzieś dalej od szkoły, na kraniec boiska albo najlepiej w ogóle poza teren nauczycielskiej jurysdykcji. Następnie kładło się plecaki tak, żeby stworzyć namiastkę ringu, ustawiało solówowiczów (lepszego terminu nie udało mi się wymyślić) naprzeciwko siebie, a potem już tylko obserwowano, kto osiągnie zwycięstwo. Czyli kto pierwszy uzyska wyraźną przewagę. Kiedy jeden z walczących ją osiągał, od razu jakiś domorosły sędzia przerywał pojedynek.

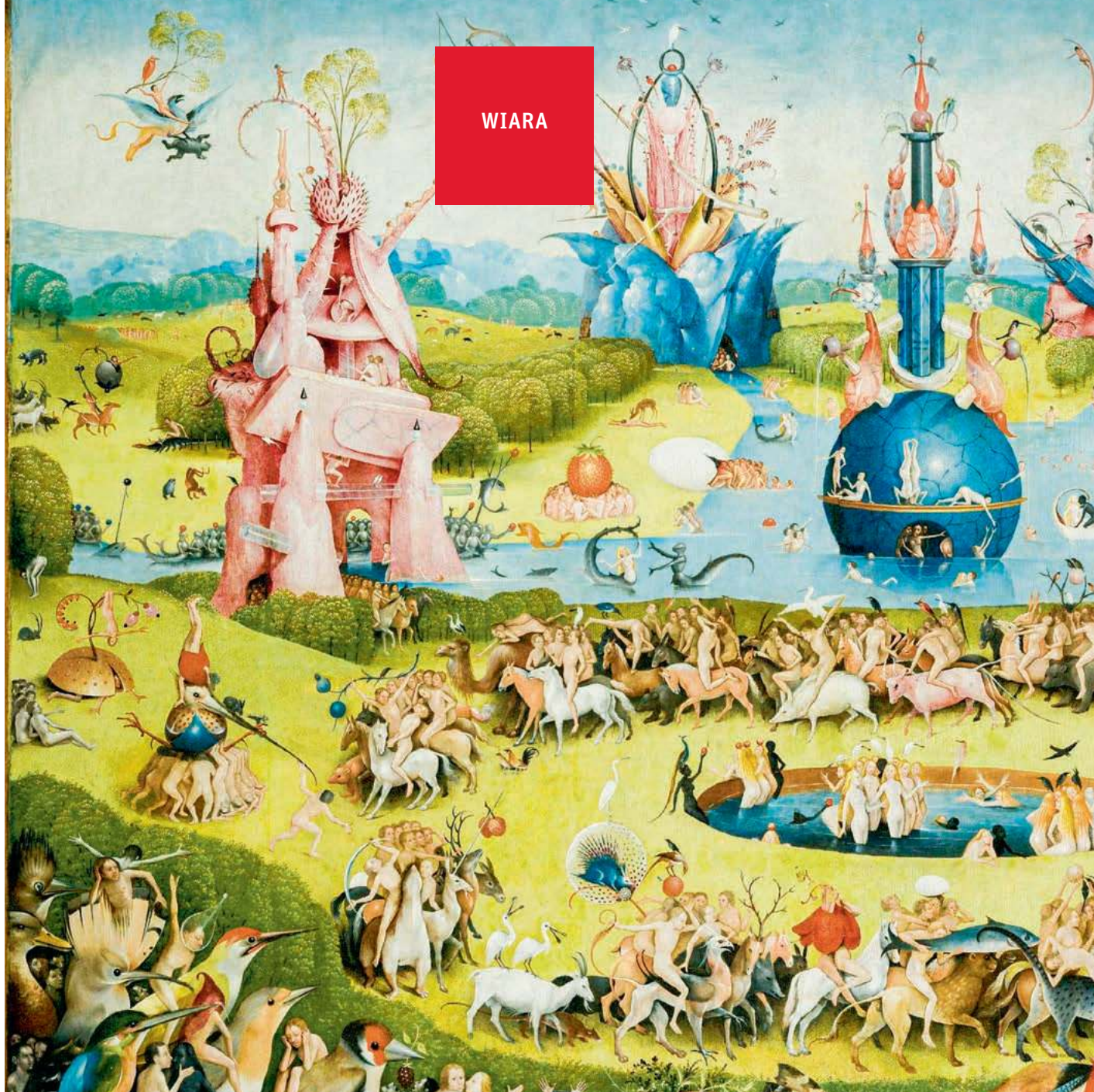
Najpoważniejszym skutkiem przegranej (albo odmowy, naturalnie) była zszargana reputacja i spadek znaczenia w szkolnej hierarchii, której szczyt tworzyli zwycięzcy. Przynajmniej za mojej kadencji w podstawówce, przypadającej na lata 1985-1993, nic się nigdy nikomu naprawdę poważnego w związku z solówką nie stało. Może dlatego, że wtedy jeszcze obowiązywały liczne honorowe zasady i reguły gry, a może mieliśmy po prostu szczęście. Nie zmienia to faktu,

że tego typu praktyki były zarówno niebezpieczne, jak i, oględnie mówiąc... mało wyrafinowane. Wynikały – z jednej strony – z typowej dziecięco-młodzieńczej bezzadności, zarówno jeśli chodzi o posługiwanie się bardziej subtelnymi środkami myślowo-retorycznymi, jak i o kontrolę emocji. Tego wszystkiego człowiek uczy się po prostu z wiekiem. Z drugiej strony – przynajmniej – z niekwestionowanej efektywności, jaką tu i ówdzie (w tym wypadku w grupie rówieśniczej) dawało i daje stosowanie siły fizycznej. Cóż, nie dotyczy to niestety wyłącznie dziecięcego świata – mimo cywilizacyjnego progresu, dookoła mnóstwo jest miejsc i sytuacji, w których bezpośrednia dominacja okazuje się najskuteczniejszym narzędziem osiągania celów. Wie o tym świetnie choćby Władimir Putin, człowiek, który w czasach swojej młodości odbył, jak wiadomo, niejedną solówkę, a dzisiaj posługuje się tą samą metodą w polityce (tyle że bez żadnych zasad).

Zarazem prawie wszyscy zgadzamy się co do tego, że rozmaite hierarchie – towarzyskie, społeczne, polityczne i wszelkie inne (poza, rzecz jasna, sportowymi, te rządzą się własnymi prawami) – ustanawiane przy użyciu li tylko siły, a nie racjonalności i etyki, są fundamentalnie niesprawiedliwe. I nie jest to wcale żaden pacyfistyczny idealizm. Jasne, bywają sytuacje, kiedy komuś, kto stosuje przemoc, należy się – nie ma wyjścia – przeciwstawić w sposób stanowczy tymi samymi środkami. Właśnie w imię racjonalności i etyki. Prawie wszyscy chyba jednak wolelibyśmy żyć w świecie, w którym rozwiązuje się problemy przy pomocy słów, a nie pięści, rozumowania, a nie takiej czy innej bijatyki. Optowali za tym w każdym razie nauczyciele z podstawówki na Chomiczówce, dlatego uparcie starali się zapobiegać solówkom i zachęcać nas do tego, żebyśmy nieporozumienia leżące u ich źródła rozwiązywali w zgoła inny sposób.

Przynajmniej dzisiaj stuprocentową rację. Z tym większą zatem konsternacją przyglądam się rozkwitowi swobodnego kultu solówki, który obserwujemy w ostatnich latach. Mam oczywiście na myśli rosnącą wykładniczo popularność freakowych walk MMA, których uczestniczki i uczestnicy, bardzo często radykalnie ze sobą skonfliktowani (w życiu i mediach społecznościowych), brutalną bijatykę przedstawiają jako coś, co owe konflikty ma rzekomo „wyjaśniać”, a nawet „rozwiązywać”. Z jeszcze większą jednak konsternacją śledzę losy solówki (w formule MMA), do której jakiś czas temu Elon Musk wyzwał na Twitterze Marka Zuckerberga. Czy naprawdę do niej dojdzie? W chwili, w której piszę ten felieton, nie wiadomo (ponoć miejscem akcji miało być Koloseum, ale nie mamy żadnych wiążących potwierdzeń, raczej *dementi*). Niezależnie od tego, okoliczność, że dwaj goście należący do ścisłej czołówki najbardziej wpływowych ludzi na świecie chcą w taki sposób „wyjaśniać” jakieś niesnaski i kłopoty komunikacyjne – świadczy o tym świecie, delikatnie mówiąc, nie najlepiej. Zwłaszcza że jeśli przyjdzie co do czego, żaden nauczyciel im w tym nie przeszkodzi. Przeciwnie – potężne siły medialne zrobią wszystko, żeby wycisnąć z tego widowiska ostatniego centa. Nawiasem mówiąc – może o to tak naprawdę tu chodzi? No ale przecież obaj ci solówowicze akurat na brak centów nie mogą narzekać. ©

WIARA



UWOLNIĆ DUSZE CZYŚĆCOWE

Opowieści o cierpieniach dusz czyśćcowych kojarzą się z horrorem. Tymczasem wiara we wspólnotę z nimi ma głęboki sens teologiczny.

JAREMA PIEKUTOWSKI



Hieronim Bosch, Ogród rozkoszy ziemskich (fragment), ok. 1490-1510 r.

WIDZIAŁAM TEŻ CZYŚCIEC, CZYLI Kościół cierpiący. Wyglądał on jak rozległe, posępne pomieszczenie, do którego wchodziły dusze wypuszczone ze swego więzienia. Widziałam czerwony blask świateł. Stało tam coś na kształt ołtarza. Widziałam też przechodzącego anioła, pokrzepiającego dusze swoimi darami” – tak swoją wizję referowała błogosławiona Anna Katarzyna Emmerich, niemiecka wizjonerka, na której relacjach opierała się między innymi „Pasa” Mela Gibsona. „32 672 osoby wspierają modli-

twą Dusze Czyścicow” – czytamy po wejściu na stronę internetową Czysty Czyścic, prowadzoną przez Centrum Pomocników Mariańskich przy warszawskim Zgromadzeniu Księża Marianów. Na popularnym kanale YouTube’a „Teobańkologia” prowadzona jest akcja o bliźniaczej nazwie: „Czyścimy Czyścic”. To nie pierwsza taka inicjatywa – do udziału w akcji „Z Maryją i Ojcem Pio czyścimy czyścic” namawiał kilka lat temu kapucyn brat Roman Rusek, krajowy koordynator Grup Modlitwy Ojca Pio.

Tysiąc dusz

Książka oparta na wizjach Emmerich, „Sekrety dusz czyścicow”, na YouTube odtwarzana była już 575 tys. razy. Pobożność związana z duszami czyścicowymi ma jednak specyficzną cechę, którą wyróżnia się na tle popularnych praktyk duchowych – wydaje się dużo bardziej bezinteresowna.

W przypadku nowenny pompejańskiej, modlitwy do św. Rity czy Judy Tadeusza w sprawach beznadziejnych podkreśla się przede wszystkim skuteczność – czyli mają to być modlitwy, które przyniosą konkretne owoce w naszym życiu. Tymczasem osoby opisujące i promujące modlitwę za dusze czyścicowe, choć nie raz także mówią o skuteczności, przede wszystkim skupiają się na akcie miłosierdzia, jaki osoba modląca się czyni dla dusz czyścicowych. Czasami w relacjach wizjonerów opisywane jest to w bardzo dosłowny sposób, nawet językiem liczb. Św. Gertruda Wielka mówiła o obietnicy Jezusa, który podyktował jej modlitwę za dusze w czyścicu cierpiące, obiecując, że za każdym razem, kiedy ją odmówi, z czyścica uwolnionych zostanie tysiąc dusz.

Bywa, że odmierzany jest czas. Austriacka mistyczka Maria Simma, której książka „Moje przeżycia z duszami czyścicowymi”, wydana w 1968 r., jest wciąż bardzo popularna, opowiadała o duszy czyścicowej, która prosiła ją wprost: „Czy mogłabyś za mnie cierpieć?” – i kontynuowała: „Przez trzy godziny będziesz miała ból w całym ciele, ale po upływie tego czasu będziesz mogła wstać i pracować, jak gdyby nic nie zaszło. Odbierzesz mi tym 20 lat czyścica”.

Pogańskie dziady

Dlaczego chcemy pomagać duszom czyścicowym? Dlaczego praktyka modlitwy za nie jest tak popularna właśnie w Polsce? Sebastian Duda, teolog, mówi, że tradycja bliskiego związku z duszami czyścicowymi jest szczególnie silna w polskiej kulturze: – To może być związane z reminiscencjami z czasów pogańskich. Jest na to mnóstwo przykładów. Najbardziej oczywistym są „Dziady” Mickiewicza.

W istocie sam Mickiewicz zwraca uwagę na połączenie elementu pogańskiego i chrześcijańskiego, pisząc we wstępie do części II „Dziadów”: „obrzędy

→ pogańskie pomieszane są z wyobrażeniami religii chrześcijańskiej; zwłaszcza iż dzień zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyscowym” (pisownia oryginalna). – Te dusze u Mickiewicza nawet nie są w jakimś konkretnym miejscu, tylko krążą po świecie i czasami można się z nimi spotkać – mówi Duda. – Są w stanie swego rodzaju zawieszenia – jednym z nich można pomóc, innym nie.

Do modlitwy za dusze czyścicowe popycha nas z pewnością także naturalna tęsknota za bliskimi zmarłymi, którzy mogą się tam znajdować, i odwieczna chęć przekroczenia granicy między światem żywych i umarłych. A także zwykła empatia – w wizjach wielu mistyków czyściec jest bowiem miejscem ogromnego cierpienia.

Cytowany na początku fragment wizji Katarzyny Emmerich, opowiadający o miejscu oświetlonym świecami i przypominającym kościół (miało tam się znajdować coś w rodzaju ołtarza), to najładniejszy element jej wizji. Czyściec jest w niej bowiem miejscem pozbawionym przyrody, bezbarwnym, przypominającym mroczne opowiadania Samuela Becketta. Jest pełen dusz zamkniętych w ciemnościach, jakby w osobnych izolatkach. W jego głębszych częściach dzieją się rzeczy przerażające.

Pewien wojskowy, którego ujrzała w swojej wizji Emmerich, w czyścicu „leżał często związany w różnych pozycjach – także rozciągnięty jak biała. Polewano go wrzącą krwią, która płynęła potem wszystkimi jego żyłami”. Nie mniej koszmarna jest wizja Glorii Polo, mistyczki, której orędzie kilkanaście lat temu było bardzo popularne w Polsce. Opowiada ona o swojej wizji samobójców, których zobaczyła w czyścicu: „W tym strasznym miejscu, w tym bagnie pełnym nienawiści i cierpienia zgrzytali zębami, i wydawali z siebie takie ryki i wrzaski z bólu, że przyprawiało mnie to o dreszcze”. W wielu wizjach czyścica (na przykład u Małgorzaty Marii Alacoque) dominuje ogień, w innych – jak właśnie u Emmerich czy nawet u św. Jana od Krzyża – szarość, bezbarwność i pustka.

Czyścicowy ogień

Oddziaływanie tych graniczących z horrorem wizji łągodzi oficjalne nauczanie Kościoła. Czyściec – pisze Joseph Ratzin-

ger w wydanej w 1981 r. książce „Śmierć i życie wieczne” – nie jest „jakimś obozem karnym w zaświatach, w którym człowiek musi odcierpieć kary wymierzone mu w mniej lub bardziej pozytywistyczny sposób. Czyściec jest procesem przemiany koniecznym wewnętrzzną koniecznością, procesem, w którym człowiek staje się zdolny do jedności z Chrystusem, z Bogiem, a przez to i z całą wspólnotą świętych”. Nauka o czyścicu opiera się na obecnym w Objawieniu i w tradycji Kościoła przeświadczeniu, że takie oczyszczenie jest potrzebne i możliwe.

W istocie, podobnie jak w wizji Małgorzaty Marii Alacoque, także Magisterium Kościoła, opisując czyściec, posługuje się symbolem ognia, to porównanie pochodzi bowiem z Pisma Świętego. Jedną z przesłanek do uznania przez Sobory istnienia czyścica są słowa św. Pawła z 1 Listu do Koryntian: „I tak jak ktoś na tym fundamencie buduje: ze złota, ze srebra, z drogich kamieni, z drzewa, z trawy lub ze słomy, tak też jawne się stanie dzieło każdego: odsłoni je dzień [Pański]; okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje, jakie jest. Ten, którego dzieło wzniesione na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę; ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień” (1 Kor 3, 12-15). Płomienie czyścicowego ognia nie mają więc zadawać bólu za karę, ale mają oczyszczać z tego, co niedoskonałe i schorowane, a zatem ratować tak, by zachowane zostało wszystko, co dobre.

Wizjonerzy wystrzegają często obrazy, które widzieli w prywatnych objawieniach, i stawiają sprawy na ostrzu noża, tak jak Maria Simma, mówiąc: „To, co tak wielu teologów dziś naucza, jest błędne, gdyż głoszą oni, że Niebo, Czyściec i Piekło są tylko stanami. To również miejsca”, czy twierdząc, że niektóre dusze są w czyścicu „pół godziny, a inne cały czas aż do ostatniego dnia. Przeciwnie, według dusz, jest to okres czterdziestu lat”. Jednak oficjalne nauczanie Kościoła jest dalekie od takiej jednoznaczności. Katechizm Kościoła Katolickiego mówi, że czyściec jest „końcowym oczyszczeniem wybranych”, jest więc raczej stanem lub zdarzeniem spotkania z Bogiem jako Oczyszczającym, niekoniecznie zaś miejscem rozumianym fizycznie.

Takie rozumienie jest wyraźne u Ratzingera, który kwestionuje opowieści

wizjonerów o „20 latach” czy „trzech tygodniach czyścica mniei”: „Wejście w obszar ujawnionej rzeczywistości Chrystusa przesądza ostatecznie los człowieka, jest zanurzeniem w ogniu eschatologicznym. Przemieniający »moment« tego spotkania wymyka się ziemskiemu miarom czasu. (...) Przeliczać ten czas egzystencji miarą czasu ziemskiego znaczy nie rozumieć szczególności ludzkiego ducha w jego odniesieniach do świata, jego wykraczania poza ten świat”.

Stan pośredni

Świecki badacz nauki o czyścicu i mediewista Jacques Le Goff twierdzi, że przekonanie o czyścicu jako o konkretnym miejscu rozwinęło się w XII wieku pod wpływem popularnych dzieł takich jak „Traktat o Czyścicu Świętego Patryka” (*Tractatus de Purgatorio Sancti Patricii*), napisany przez anonimowego mnicha. Opowiada o realnie istniejącym miejscu – zasypanej już dziś jaskini na irlandzkiej wyspie Station Island. Była ona miejscem pielgrzymek, a wejście do niej miało u penitentów powodować ogromne, pokutne, oczyszczające jednak cierpienia.

Nauka katolicka o czyścicu – o czym pisze też Ratzinger – ma jednak inne korzenie. Zbudowana jest na przekonaniu, że istnieje pewien stan pośredni między śmiercią a zmartwychwstaniem w dniu ostatecznym. Przekonanie to ma także swoje fundamenty w Biblii: skoro bowiem Chrystus mówi: „Jeśli ktoś powie słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone, lecz jeśli powie przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym” (Mt 12, 32), to logicznie z tych słów wynika, że niektóre winy mogą być odpuszczone także w życiu wiecznym, po śmierci.

Tradycja modlitwy za zmarłych jest opisana w 2 Księdze Machabejskiej – jej autor chwali Judę Machabeusza, który modlił się za zmarłych, poległych w wojnie przeciwko Gorgiaszowi. Okazuje się, że zmarli oddawali cześć pogańskim bóstwom, Juda zatem zachęcił lud do modlitwy za zmarłych: „[Juda] Bardzo pięknie i szlachetnie uczynił, myślał bowiem o zmartwychwstaniu. Gdyby bowiem nie był przekonany, że ci zabici zmartwychwstaną, to modlitwa za zmarłych byłaby czymś zbędnym i niedorzecznym, lecz jeśli uważał, że dla tych, którzy pobożnie

zasnęli, jest przygotowana najwspanialsza nagroda – była to myśl święta i pobożna” (2 Mch 12, 44-45).

Odpusty

Z jaką ostrożnością należy traktować interpretację Pisma Świętego – zwłaszcza gdy wchodzi w grę tematy budzące emocje, takie jak łączność ze zmarłymi i pieniądze – wskazuje późniejsza historia egzegezy tych fragmentów. Juda Machabeusz bowiem nie tylko nakazuje modlitwę, ale także składa ofiarę pieniężną za grzesznych zmarłych. Za czasów papieża Leona X (zm. 1521 r.) na ogromną skalę rozwinięto praktyki związane z odpustami.

Co do zasady odpust ma być darowaniem przez Boga kary doczesnej (w tym czyścicowej) za grzechy, które zostały już wyznane na spowiedzi. Jednak zwłaszcza na początku XVI wieku upowszechniło się „handlowe” rozumienie tego procesu – odpusty za zmarłych, uwalniające ich od cierpień czyścicowych, były dosłownie sprzedawane na masową skalę (co było częściowo związane ze zbieraniem środków na budowę bazyliki św. Piotra). Niemiecki dominikanin Johann Tetzel stworzył nawet taryfikator wskazujący, ile godzin, dni czy tygodni czyścica zostanie darowane duszy za daną opłatę, zachęcając do wpłat sloganem „Gdy pieniądz w garnku zadzwoni – duszę z czyścica do raju wygoni”.

Te właśnie wydarzenia były jednym z najsilniejszych impulsów dla Marcina Lutra, by ogłosić swoje 95 tez, które – według wzmianki Filipa Melanchtona – miał przybić do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze. Tak rozpoczęła się Reformacja. Luter ostatecznie odrzucił ideę czyścica, np. pisząc w Artykułach Szmalkaldzkich: „Czyścić i wszystko, cokolwiek z nim w zakresie uroczystości, kultu i zarobku się łączy, jest istną maską diabelską. Kłóci się bowiem z pierwszym artykułem, który uczy, że jedynie Chrystus wyzwala dusze, a nie ludzkie działanie. A wiadomo także, że co do umarłych nie mamy żadnego Boskiego polecenia”.

Dziś sprzedaż odpustów jest już przeszłością. Kościół nadal zachęca do ofiarowania odpustów za zmarłych, ale wiąże się to ze spowiedzią, pokutą, przyjęciem komunii i modlitwą, nie zaś wpłacaniem odpowiednich sum. Można powiedzieć, że to nauczanie oczyściło się przez mijające lata jak w ogniu. Pozostaje przeko-



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Płomienie czyścicowego ognia nie mają zadawać bólu za karę,
ale mają oczyszczać
z tego, co niedoskonałe.
Przygotowywać
do zjednoczenia z Bogiem.

nianie, będące u podstaw idei modlitwy za dusze czyścicowe, że istnieje swego rodzaju łączność między zmarłymi a żyjącymi, i że także im możemy pomóc w procesie oczyszczania się z niedoskonałości i zła.

Kontakt z duszami czyścicowymi nie jest natomiast seansem spirytystycznym, podczas którego w sposób dosłowny możemy rozmawiać ze zmarłymi – a takie obrazy pojawiają się często w wyobraźni wiernych. Wspomagane nieraz przez kaznodziejów-celebrytów takich jak ks. Dominik Chmielewski, popularyzujący wizję mistyczki Fulli Horak, mówiącej, że „Czyścić jest straszniejszy od wszystkiego, co się da o nim powiedzieć”, i że składa się on

z wielu kręgów, do których należy „Krań Głodu, Łęku, Grozy, Utrapien”.

Wspólnota z cierpiącymi

Przerażające obrazy obecne w objawieniach prywatnych skłaniają często do myślenia o czyścicu jako o miejscu kary. – Za szkodliwe uważam przede wszystkim obrazowanie, które przyjmuje się za pewnik – mówi Sebastian Duda. – Faktycznie, w idei czyścica zawarty jest element cierpienia. Nie jest ono jednak karą czy torturą, a wynika z jednoczesnej bliskości Boga (bo czyściec jest już prostą drogą do zjednoczenia z Nim) i niemożności pełnego zjednoczenia z Nim, póki nie zostanie dokonane oczyszczenie. Przeświadczenie, że dusze czyścicowe doświadczają cierpienia na sposób cielesny, są ranione, wystawiane na działanie diabłów – te mitologiczne elementy niszczą duchową wartość tej teologii.

A jej wartością jest przekonanie o możliwości współbycia z drugim człowiekiem w jego cierpieniu. Tę intuicję wspólnoty i jedności obejmującej umarłych i żywych podejmuje Ratzinger w swoich rozważaniach o czyścicu. Modlitwa za zmarłych jest uczestnictwem modlącego się w ich osobistym spotkaniu z Bogiem. Człowiek „przez miłość czy nienawiść zwraca się ku drugiemu, sięga w drugich”. Spotkanie z Bogiem nie jest nigdy całkowicie indywidualne. Miłość, wyrażona w modlitwie za zmarłych, jest formą takiego uczestnictwa.

– Tak jak możliwe jest współodczuwanie w naszym świecie, w byciu tu i teraz, gdzie możemy wspierać naszym działaniem osoby przechodzące trudne koleje losu, tak samo jest to możliwe w perspektywie wieczności – mówi Duda.

Jeżeli oczyścić tę naukę ze sztafażu rodem z horrorów i z błędnych „handlowych” przekonań, staje się ona bardzo ważnym przesłaniem na dzisiejsze czasy. Dla świata zatowizowanego, zindywidualizowanego, zachęcającego przede wszystkim do realizacji jednostkowych interesów. Nikt z nas nie jest monadą, samotną wyspą – to przekonanie chrześcijaństwo rozciąga także na świat zmarłych. Jesteśmy nawzajem od siebie zależni, mamy wybór, czy te zależności wykorzystywać dla naszego dobra, czy zrywać. Taką lekcję daje mądrze rozumiana modlitwa za dusze czyścicowe.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

Chrześcijanie na celowniku

MARCIN CHODUŃ

W Indiach narasta fala przemocy wobec wyznawców Jezusa. Wielu z nich wini za to rząd w Delhi, który ich zdaniem podsycia przemoc.

GDY PEWNEJ PAŹDZIERNIKOWEJ NIEDzieli w 2021 r. pastor Somu Avaradhi wszedł do swojego kościoła w mieście Hubballi w południowoindyjskim stanie Karnataka, ujrzał niecodzienny widok: w świątyni siedzieli ludzie śpiewający hinduistyczne pieśni i wykrzykujący nacjonalistyczne hasła. Duchowny natychmiast wezwał policję.

Po jej przyjeździe nieproszeni goście oskarżyli go o zmuszanie jednego z hinduskich mężczyzn do przejścia na chrześcijaństwo. W wyniku tego pastor trafił do więzienia pod zarzutem obrazy uczuć religijnych (został z niego ostatecznie zwolniony po dwunastu dniach za kaucją).

Nie jest to przypadek o osobniony. Raport Ewangelikalnej Wspólnoty Indii wymienia 39 przypadków gróźb lub przemocy wobec chrześcijan, które miały miejsce w stanie Karnataka tylko w jednym roku. W innych stanach zresztą nie jest lepiej. W lipcu tego roku sąd w stanie Madhia Pradeś skazał trzech chrześcijan, w tym pastora, na dwa lata więzienia za naruszenie stanowego prawa antykonwersyjnego (zostali oni ostatecznie zwolnieni za kaucją z możliwością odwołania się w ciągu miesiąca od wyroku do sądu najwyższego tego stanu).

Indie nie mają krajowego prawa ograniczającego konwersję religijną, a próby wprowadzenia takich ustaw w parlamencie w przeszłości zakończyły się niepowodzeniem. Jednak na przestrzeni lat dziewięć indyjskich stanów przyjęło przepisy regulujące kwestię religijnej konwersji. Przewidują one więzienie oraz grzywny dla osób, które zmuszają do przejścia



ARUN SANKAR / AFP / EAST NEWS

Demonstracja społeczności chrześcijańskiej przeciwko przemocy wobec chrześcijan. Indie, New Delhi, 19 lutego 2023 r.

z hinduizmu na inną religię. Co jednak dokładnie oznacza pojęcie „przymusowego nawrócenia” – tego już nie sprecyzowano.

Według indyjskiego jezuita o. Xaviera Bosco obowiązujące w tych stanach prawo antykonwersyjne stanowi w rękach hinduskich fundamentalistów potężny oręż w walce ideologicznej i politycznej. – Przecież każdą działalność re-

ligijną można interpretować jako aktywność mającą na celu nawrócenie – mówi duchowny „Tygodnikowi”. – Ustawy te są wykorzystywane przez wyznawców ideologii hindutwy do fałszywego oskarżania i prześladowania chrześcijan.

Jeden naród

Czym jest hindutwa? Mówiąc w skrócie, to nacjonalistyczna ideologia poli-

tyczna, stworzona przez pisarza i polityka Vinayaka Damodara Savarkara (w 1923 r. opublikował on książkę pt. „Hindutva: Who is a Hindu?”, czyli „Hinduizm: kto jest Hindusem?”), dążąca do konsolidacji narodu hinduskiego i przynajmniej hinduizmowi supremację nad innymi wyznaniemami obecnymi w Indiach. Wyznawcy hindutwy dążą do przekształcenia tego kraju, konstytucyjnie przecież świeckiego państwa, w jeden naród hinduski, określany mianem Hindu Rashtra.

Mówiąc o umocnieniu narodowej jedności, hinduscy nacjonaliści mają na myśli nie tylko jedność etniczną (wspólnotę krwi) czy terytorialną, ale przede wszystkim kulturową. I pomimo twierdzeń, że ideologia hindutwy jest otwarta i tolerancyjna, oraz określania jej mianem „kulturowego nacjonalizmu”, chodzi im rzecz jasna o jedyną akceptowaną kulturę, czyli hinduską. Istotą tej myśli ideologicznej jest więc po prostu nacjonalizm religijny.

Widać to zresztą wyraźnie w tym, kogo hindutwa określa jako wroga narodu hinduskiego. Termin ten obejmuje wszystkich, którzy wedle hinduskich fundamentalistów nie akceptują wyższości kultury hinduskiej – czyli komunistów, muzułmanów i chrześcijan (także na USA i zachodni styl życia spoglądają oni z wyraźną niechęcią). Ideologia hindutwy, rozwijana i propagowana przez kolejne dziesięciolecia przez indyjskie organizacje nacjonalistyczne, zdobyła popularność zwłaszcza w latach 90. XX wieku.

Jej zasady i wytyczne to najważniejszy element programu politycznego skrajnie prawicowej partii Bharatiya Janata Party (BJP), czyli Indyjskiej Partii Ludowej. Objęcie z ramienia tej partii stanowiska premiera przez Narendrę Modiego w 2014 r. wiązało się w ostatnich latach ze znacznym wzrostem liczby przejawów wrogości i przemocy wobec członków społeczności chrześcijańskiej. Na gorącą linię Zjednoczonego Forum Chrześcijan (UCF) zostały w 2015 r. zgłoszone 142 wrogi wobec chrześcijan incydenty, podczas gdy w 2021 r. było ich już 505, a w 2022 – 598. Przemoc i wrogość wobec chrześcijan koncentrowały się głównie w stanach Uttar Pradeś, Dżharkhand, Chattisgarh i Karnataka.

Organizacja Open Doors w swoim rankingu 2023 World Watch List umieściła

Indie na 11. miejscu wśród najgorszych krajów do życia dla chrześcijan. Natomiast Amerykańska Komisja ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej w 2020 r. ulokowała ten kraj na najwyższym poziomie prześladowań mniejszości wraz z takimi państwami, jak Chiny, Korea Północna, Pakistan i Arabia Saudyjska.

„Chrześcijanie są na celowniku grup hinduskich fundamentalistów, które pracują nad realizacją politycznego programu obecnego rządu” – mówi wprost Minakshi Singh, sekretarz generalna organizacji charytatywnej Unity in Compassion z siedzibą w Uttar Pradeś.

– Władze administracyjne albo przykrywają oczy, albo pomagają fundamentalistycznym bojownikom hinduskim w stosowaniu przemocy wobec chrześcijan, a także muzułmanów – dodaje o. Xavier Bosco.

Przemoc od dawna

Zdecydowanie najgorzej jest w Uttar Pradeś. Ten najludniejszy stan Indii (mieszka tu 220 mln ludzi) znajduje się na szczycie listy 28 indyjskich stanów pod względem nękania chrześcijan. Według Zjednoczonego Forum Chrześcijan z siedzibą w New Delhi w ciągu ostatnich sześciu miesięcy odnotowano w tym regionie 155 przypadków przemocy wobec chrześcijan i ich instytucji. Jeden z ostatnich przykładów to aresztowanie 17 lipca przez policję stanową pastora Bajranga Rawata, którego oskarżono o rzekome nawrócenie 230 rodzin dalitów na chrześcijaństwo. Duchowny miał im obiecywać wyleczenie ich dolegliwości fizycznych (został zwolniony 7 sierpnia 2023 r.).

Bywa zresztą znacznie gorzej – hinduistyczni bojownicy wdzierają się nie rzadko do kościołów lub sal modlitewnych i stosują wobec zgromadzonych wewnątrz ludzi przemoc fizyczną.

Zdaniem o. Xaviera Bosco, dzieje się tak dlatego, bo policja po prostu pomaga napastnikom. – Gdy pojawiają się fałszywe oskarżenia o nakłanianie wyznawców hinduizmu do przejścia na chrześcijaństwo, wówczas funkcjonariusze dokonują aresztowań – twierdzi duchowny. – Zjawisko to nasila się od chwili objęcia władzy w Indiach przez Indyjską Partię Ludową.

Dzieje się tak jego zdaniem pomimo faktu, że chrześcijanie przynieśli

do Indii koncepcję służby. – Dopiero po przybyciu chrześcijańskich misjonarzy rdzenna ludność Indii, dalic (dawniej niedotykalni) oraz ubodzy dostali szansę na edukację, otrzymali odpowiednią pomoc medyczną i mogli stać się pełnowartościowymi istotami ludzkimi – tłumaczy duchowny. – Dlatego chrześcijaństwo przyciąga coraz więcej biednych ludzi, którzy stają się chrześcijanami z własnej woli. Wyznawcy hindutwy, choć wielu z nich również korzysta z naszych usług, nie są w stanie tego zaakceptować.

Objęcie władzy przez Indyjską Partię Ludową stanowi wyraźną cezurę w najnowszej historii Indii, ale przypadki przemocy wobec chrześcijan zdarzały się również we wcześniejszych latach.

Do jednych z najtragiczniejszych zdarzeń doszło w dniach 25-28 sierpnia 2008 r., gdy tłumy hinduskich fundamentalistów zaatakowały społeczność chrześcijańską w okręgu Kandhamal w stanie Orisa w odwecie za zabicie hinduskiego mnicha Swamiego Lakshmanandy Saraswatiego i czterech innych osób. Pomimo wyraźnych przesłanek, że za tymi zabójstwami stali maoistowscy rebelianci, wiele chrześcijańskich osad ucierpiało wówczas w wyniku podpałów. Według rządowych raportów ponad 500 chrześcijan zabito (wielu spalono żywcem), a 50 tys. osób zostało bez dachu nad głową.

Podczas zamieszek spalono 395 kościołów i ponad 5600 domów oraz spłądowano ponad 600 wiosek. Tysiące chrześcijan zmuszono siłą do przejścia na hinduizm.

Podczas jednego z ataków katolicka zakonnica została zbiorowo zgwałcona przez tłum, który następnie włókł ją półnagą po okolicy, krzycząc „*Bharat Mata Ki Ja*” („Niechaj długo żyją Indie, nasza matka”).

Promień nadziei

Podobne obrazy można było zobaczyć w filmie, który w lipcu tego roku zaczął krążyć w mediach społecznościowych. Widać na nim, jak wzburzony tłum młodych mężczyzn pędzi przed sobą dwie młode kobiety, zupełnie nagie i przerażone, w dół drogi. Mężczyźni co rusz obmacują swoje ofiary i ciągną je w kierunku nieodległego pola. Tam młodszą z ofiar zbiorowo gwałcą.

→ Wszystko to wydarzyło się 4 maja tego roku w Manipurze – dzień po tym, jak w tym górzystym stanie w północno-wschodnich Indiach wybuchły walki pomiędzy dwiema zamieszkującymi go społecznościami – wyznającym w większości hinduizm ludem Meitei oraz należącymi do Kościołów protestanckich ludami Kuki (obie kobiety były Kukiskami). I choć konflikt w znacznej mierze wybuchł na tle etnicznym (jego bezpośrednią przyczyną było przyznanie ludowi Meitei statusu „plemiona pokrzywdzonego”, dającemu mu dodatkowe przywileje społeczne i ekonomiczne, choć Meitei i tak już dominują w gospodarce i polityce Manipuru), to jednak nie sposób jednocześnie nie dostrzec elementów wrogości z powodów religijnych.

W regularnych walkach pomiędzy obiema społecznościami nie tylko zginęło co najmniej 130 osób, a ponad 60 tys. zmuszonych zostało do opuszczenia swoich domów, ale zniszczeniu uległy także setki kościołów, w tym również wiele należących do ludu Meitei.

– Jeśli walki toczą się istotnie na tle etnicznym pomiędzy Meitei i Kukisami, to dlaczego spalono również ponad 50 chrześcijańskich kościołów, należących do Meitei? – zastanawia się o. Xavier Bosco. Odpowiedź jego zdaniem jest prosta: przemoc w Manipurze została zaplanowana i zorganizowana przez władze stanowe i centralne, a żądania Meitei dotyczące statusu „plemienia pokrzywdzonego”, który dałby im prawo do ziemi, zostały przez siły hindutwy przekształcone w kwestię społeczną.

Pomimo permanentnego stanu zagrożenia, w jakim żyją dziś chrześcijanie w Indiach, pojawiają się w ostatnim czasie zwiastuny zmiany ich sytuacji. W stanie Karnataka nowo wybrany rząd stanowy ogłosił w lipcu tego roku znaczące inwestycje finansowe na rzecz społeczności chrześcijańskiej oraz obiecał uchylić prawo antykonwersyjne. Chrześcijanie w Karnatace nadal pozostają czujni, wielu jednak odzyskało nadzieję na lepsze jutro.

© MARCIN CHODUŃ

Żydowska wyspa w morzu islamu

KAROL WILCZYŃSKI

Los potomków Abrahama na leżącej u wybrzeża Tunezji Dżerbie staje się coraz bardziej niepewny. Podobnie jak los Żydów w Afryce.

MA ZALEDWIE 514 KM KWADRATOWYCH, NIEMAL TYLE, ILE POWIERZCHNIĄ WARSZAWY. Zamieszkuje ją 163 tys. osób – czyli dokładnie tyle, ile żyje w Bytomiu. Mimo niewielkich rozmiarów wyspa u wybrzeży Morza Śródziemnego jest wyjątkowym miejscem w Afryce i właściwie na całym świecie. Należąca do Tunezji Dżerba jest domem dla jednej z najstarszych społeczności żydowskich na świecie – według tradycji Żydzi przybyli tu po zburzeniu świątyni Salomona w 586 roku p.n.e. Uchodźcy mieli przywieźć ze sobą fragmenty świątyni z Jerozolimy, m.in. miały to być szczątki muru oraz wspinała drzwi wejściowe, o których mówią źródła historyczne.

Enklawa

Dwadzieścia sześć wieków historii społeczności żydowskiej nie jest jedyną wyjątkową cechą tej wyspy. Synagoga Ghriba, zbudowana w XIX wieku na fundamentach wcześniejszego domu modlitwy, jest do dziś centrum tunezyjskiego życia żydowskiego. Poza Dżerbą bowiem niewielkie społeczności (ok. 100-200-osobowe) żyją w stolicy, Tunisie, i nadmorskich miastach, takich jak Nabeul. Spośród ok. 1500 tunezyjskich Żydów ponad 1000 nadal zamieszkuje Dżerbę. W Afryce jedynie marokańska Casablanca może pochwalić się większą liczbą osób pochodzenia żydowskiego (ok. 1800 osób).

Jak we wszystkich krajach arabskich i niemal wszystkich państwach z większością muzułmańską (poza Albanią), liczba Żydów na Dżerbie i w całej Tunezji od czasów II wojny światowej zdecydowanie się zmniejszyła. Na początku lat 50. zeszłego wieku w kraju mieszkało ok. 100 tys. Żydów (w tym 5 tys. na wyspie), jednak po

wstanie państwa Izrael, a następnie konflikty i wojny między państwem żydowskim a państwami arabskimi, uzyskanie niepodległości w 1956 r., wojna francusko-algierska i okupacja tunezyjskiego terytorium przez Francję do wczesnych lat 60., a wreszcie problemy polityczne i ekonomiczne sprzyjały emigracji.

Ciosem dla lokalnej społeczności żydowskiej było spalenie głównej synagogi w Tunisie w 1967 r. po wojnie sześciodniowej. Pomimo że Tunezja do dziś nie nawiązała formalnych stosunków dyplomatycznych z Izraelem, duża część spośród ok. 1500 jej żydowskich mieszkańców posiada również obywatelstwo Izraela lub Francji. – W Paryżu mieszkam od 1976 r. – mówi Monique Hayoun, pochodząca z Tunezji Żydówka. – Do rodzinnego Nabeul wracam tylko od czasu do czasu, na urlop.

Pielgrzymka

Monique, podobnie jak tysiące jej rodaków, wraca jednak na coroczną podróż do Dżerby, którą wszyscy – łącznie z przedstawicielami rządu – nazywają „pielgrzymką”. Tunezyjskie władze w tym celu zezwalają na wjazd nawet osobom posiadającym wyłącznie izraelskie paszporty. Tegoroczna pielgrzymka, która odbywa się co roku na przełomie kwietnia i maja w Dzień Liczenia Omeru (hebr. Lag ba-Omer), 33 dni po święcie Pesach, była dopiero drugą po pandemicznej przerwie.

– Nie ma znaczenia, czy odwiedzający są z Izraela czy z innego kraju. To nie nasza sprawa – mówi Perez Trabelsi, lider żydowskiej społeczności na Dżerbie i ojciec René Trabelsiego, ministra ds. mniejszości i turystyki w latach 2018-2020. – Nie mają znaczenia polityczne poglądy osób pielgrzymujących. Wszyscy mają



Żydzi z Tunezji podczas corocznej pielgrzymki do synagogi Ghriba. Dżerba, 9 maja 2023 r.

prawo odwiedzić Dżerbę i naszą synagogę – dodaje.

Od 2002 r. sytuacja na wyspie jest jednak dość napięta, a środki bezpieczeństwa wprowadzone przez władze przypominają te w Izraelu. W czasie pielgrzymki zamachowcy z Al-Kaidy przeprowadzili atak na synagogę, w wyniku którego zginęło 21 osób – w większości niemieckich turystów uczestniczących w zorganizowanej wycieczce. Jason Guberman z amerykańskiej Sephardi Federation podkreśla, że od tego czasu liczba pielgrzymujących nigdy nie przekroczyła już 10 tys. – Czynnikiem zniechęcającymi pielgrzymów były też pandemia COVID-19 i Arabska Wiosna – podkreśla Guberman. Sephardi Federation szacuje liczbę pielgrzymujących co roku na ok. 5000 osób.

Atak

Liczba ta jednak może się jeszcze zmniejszyć. Symbol religijnej tolerancji i pokojowego współżycia znowu został

zaatakowany. W czasie tegorocznej pielgrzymki, późnym wieczorem 9 maja napastnik – członek tunezyjskiej Narodowej Gwardii – zamordował z zimną krwią cztery osoby. Najpierw zastrzelił swojego kolegę w bazie marynarki w Aghir, zabierając jego broń i amunicję. W pełnym umundurowaniu dostał się na teren synagogi Ghriba, gdzie na parkingu przed budynkiem zamordował dwóch kuzynów – 42-letniego Benjamina Haddada, obywatela Francji, oraz 30-letniego Aviela Haddada, posiadającego podwójne obywatelstwo, Tunezji i Izraela – oraz dwóch tunezyjskich policjantów, którzy próbowali go zatrzymać. W trakcie strzelaniny ranił kolejne dziesięć osób, w tym czterech policjantów. Napastnik zginął postrzelony w głowę przez służby bezpieczeństwa.

– Nie wierzyłam, że coś takiego może się wydarzyć! Byłam na pielgrzymce kilka razy i widziałam, jak wielką ochronę organizowała tunezyjska policja na całej Dżerbie – mówi Monique Hayoun. – My-

śle, że dzięki poświęceniu policji uniknęliśmy rzezi.

Hassen Chalghoumi, pochodzący z Tunezji francuski imam (zwany przez swoją międzyreligijną działalność „imamem pokoju”), był jednym z uczestników tegorocznej pielgrzymki na Dżerbę. On również podkreśla rolę służb i poświęcenie policjantów. 11 maja na pogrzebie Abdela Majida Atika – jednego z dwóch członków służb, którzy zginęli w obronie pielgrzymów – pojawiły się tysiące osób. – To bardzo ważne, że władze od początku transparentnie mówiły o ataku oraz dbały o bezpieczeństwo – twierdzi Mehdi Elouati, aktywista z Dżerby. – Dla tego Żydzi nie obawiają się o swoje życie, większym problemem jest negatywny wpływ na turystykę.

Emigracja

Istotnie, nie jest łatwo sterroryzować Żydów na Dżerbie. Życie w synagodze wróciło już kolejnego dnia – rano odbył się tam rytuał *brit mila*, obrzezania. ➔

→ W radosnej atmosferze duża grupa dorosłych Żydów śpiewała wokół ośmiodniowego noworodka. Miesiąc później, 18 czerwca, na wyspie odbył się festiwal, na którym przed 25-tysięcznym tłumem występowali żydowski artyści.

Wiele mediów opisując tegoroczny zamach wskazuje na możliwość wyjazdu pozostałych członków społeczności żydowskiej. Pytam o to moich rozmówców. Jedynie Monique Hayoun stwierdziła, że wielu jej znajomych myśli o wyjeździe. Poza tym słyszałem raczej, że Żydzi czują się bezpieczniej w Tunezji niż w Tel Awiwie.

Czy zatem społeczność na Dżerbie przetrwa? W rozmowie z Deutsche Welle główny rabin Tunezji Haim Bittan podkreślił, że aktualnie nie ma konfliktów między żydowską mniejszością a muzułmańską większością. Jednym z ministrów był niedawno wspomniany już René Trabelsi, a żydowscy liderzy nie obawiają się krytykować niektórych tunezyjskich praw dyskryminujących mniejszości (np. według konstytucji Tunezji prezydentem kraju może być tylko muzułmanin). Perez Trabelsi podkreśla jednocześnie, że większość pracowników synagogi to muzułmanie, a wielu z nich pracuje na wspólny sukces turystyczny, jakim jest coroczna pielgrzymka. Podobnie członkowie społeczności żydowskiej pracują razem z muzułmanami. – Żyjemy obok siebie, chodzimy w kipach na targ i nigdy nikt nie ma z tym problemu – mówi Trabelsi.

„Ten atak to część zabiegów mających na celu wyrzucenie Żydów, którzy żyją na Dżerbie. Których przodkowie tu żyli od wieków” – powiedział w wywiadzie dla „Times of Israel” imam Hassen Chalghoumi. „Opieranie się tej próbie jest sposobem na życie Żydów z Dżerby” – dodał Chalghoumi.

Czynnikiem sprzyjającym emigracji Żydów nie musi być jednak konflikt z muzułmanami czy zagrożenie terrorystyczne. Jak mówi Rafram Chaddad, pochodzący z Dżerby żydowski artysta wizualny, po objęciu władzy przez aktualnego prezydenta, Kaisa Saieda, pogłębia się brak zaufania do władz i wzrasta polaryzacja społeczna. – Kraj nie funkcjonuje zbyt dobrze – mówi Chaddad. – Według mnie atak na synagogę Dżerba, dotyczył nie tylko społeczności żydowskiej, ale Dżerby, która jest symbolem pojednania narodowego.

Wezwanie

Rzeczywiście, kilka dni po ataku Kais Saied zaprosił na spotkanie rabina Tunezji. – Wiele osób usłyszało o tym spotkaniu – mówi Mehdi Elouati, który chwali to działanie prezydenta. – To nie terrorizm zatrzyma pokój i tolerancję na Dżerbie – podkreśla.

Elouati uważa, że podczas dotychczasowych rządów Saieda polityka tunezyjskich władz się nie zmieniła, a sytuacja Żydów na Dżerbie była gorsza w okolicach Arabskiej Wiosny, gdy pojawiło się zagrożenie ze strony muzułmańskich ra-

dykałów religijnych. Także w innych krajach arabskich istnienie reżimów często pozytywnie wpływa na bezpieczeństwo niegroźnych dla dyktatorów mniejszości. Jednak zdaniem Chaddada prezydent Saied po prostu nie przejmie się losem mniejszości, a jego działania wynikają z kalkulacji politycznych.

Warto przypomnieć, że Saied – jako polityk w dużej mierze populistyczny – karmi antysemickie sentymenty swoich wyborców. Podczas kampanii wyborczej w 2019 r. stwierdził w kontekście podpisanych przez Maroko i Izrael porozumień Abrahama, że „normalizacja to złe słowo na opisanie tego aktu – powinniśmy mówić o ogromnej zdradzie”. W 2022 r. Konferencja Europejskich Rabinów skrytykowała Saieda za oskarżanie Żydów o destabilizację kraju – na co odpowiedział, że rabini „propagują fałszywe informacje”.

Z drugiej strony Tunezja – jako jedno z zaledwie sześciu afrykańskich państw (obok Egiptu, Etiopii, Maroka, RPA i Republiki Zielonego Przylądka) – podpisała podczas drugiej w historii Jewish Africa Conference w 2022 r. dokument określany jako wezwanie z Rabatu, który zobowiązuje sygnatariuszy do troski o żydowskie dziedzictwo w Afryce. Dżerba jest jedynym w swoim rodzaju centrum życia żydowskiego, a jego przyszłość może zdecydowanie wpłynąć na losy nie tylko lokalnej społeczności czy Tunezji, ale w sposób symboliczny na dzieje regionu i całego kontynentu.

© KAROL WILCZYŃSKI

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.



zapisz się!

ZUZANNA

Radzik:

Mam marzenie



PŁONIE PARK NARODOWY TEIDE NA TENERYFIE – rzucam przy śniadaniu, jakby to był każdy inny news. Wypowiedzianą informację przetykam z kawą i jak wszystkie poprzednie staje się ona częścią zwykłego dnia. Spalona wyspa na Hawajach, płonące w lipcu południe Europy, lawiny błotne, które w Japonii zatrzymały niezawodne zwykle pociągi. Co to jest, że druga połowa sierpnia w ostatnich latach staje się podsumowaniem apokaliptycznych newsów letniego sezonu? Ten letni sezon zaczyna się zaś jakoś w kwietniu, gdy potężne upały zabijają w Indiach.

W zeszłym roku ponurym sierpniowym refleksjom sprzyjała aura: prawie 40 stopni, miejski piekarnik, uschnięte liście platanów przykrywające ulice koło domu. Teraz jest zwyczajnie, lato z katalogu. Przepisowa belgijska pogoda na lipiec i sierpień, czyli poniżej 20 stopni i chmury, a czasem rząd dni z siąpiącym leniwie deszczem. Idealna w sumie na powrót z urlopu, choć po paru tygodniach wymusza odszukanie w szafie swetrów. Ale i w tym pojawia się obawa: a jeśli faktycznie zaniknie Golfsztrom i zrobi się zimno na zawsze? Letnia nerwica.

Tymczasem brytyjskie gazety wykpiły związaną z upałami na południu Europy propozycję zmiany wakacyjnego kierunku wyspiarzy na plaże Belgii i Holandii. Pytano z przekąsem, czy ktokolwiek powiedział kiedyś: „Jestem podekscytowany, jadę na wakacje do Belgii!”. I rozodziły się nad tym, jak można spędzić wakacje w kraju znanym tylko z czekolady, frytek, piwa i smerfów. Nawet ja poczułam się dotknięta. Sami są nudni, jeśli nudzi ich choćby myśl o czasie spędzanym w tym spokojnym kraju. Wiadomo zresztą: turystyka jako przerzucenie ciała o kilka setek lub tysięcy kilometrów, bez otworzenia oczu na tych, którzy tam są, to okropne zjawisko. Nie chciałabym też, by Bruksela czy Brugia, a nawet brzydka, nadmorska Ostenda zmieniły się w jedno z tych miast Europy, których mieszkańcy marzą o zakazie wjazdu turystów, bo nie da się chodzić po ulicach. Jak Amsterdam, który jest zupełnie nie do wytrzymania i to przez cały rok.

Sierpień, więc zrządę, nowa reguła. Co roku rozważania o nowej wersji apokalipsy, jak nie takiej, to innej. A jak apokalipsa, to też myśl o nadziei, bo jednak w chrześcijańskiej tradycji katastrofa miała skończyć się boskim ładem. Czy ja to umiem, czy tylko wyławiam sygnały zagrożenia? Jak by mnie to miało zmobilizować do czegoś, kiedy otępia? A gdyby tak dla odmiany sformułować marzenie? Wypowiedzieć pragnienie, jak ma być?

Mam marzenie – mówił do ćwierćmilionowego marszu na Waszyngton pastor King, stojąc na trybunie pod pomnikiem Lincolna. Mam marzenia, mam marzenie – powtarzał jak refren w słynnym przemówieniu. King też wymieniał naj-

pierw wszystko, co jest nie tak, zgryzoty i opresję, nierówność i prześladowania. Teraz jest czas. Teraz jest czas, by to zmienić – powtarzał. Jakoś ta sytuacja może i zostanie zmieniona. Nie popadnijmy w zwątpienie. Wciąż mam marzenie... I mówił o zmianie, jakiej pragnie. O kraju, jakiego chce dla swoich czworga małych dzieci. Zadrzał mu głos: żebyśmy byli mierzni nie naszym kolorem skóry, ale jakością naszego charakteru. Mam dziś marzenie.

Też był wtedy koniec sierpnia, dokładnie 60 lat temu. Marsz zdesperowanych ludzi przyszedł do amerykańskiej stolicy, by oczekiwać spełnienia obietnicy, jaką miał być ten kraj. Czy przemówienie Martina Luthera Kinga było aż tak retorycznie wybitne, czy też słuchający rozpoznawali w jego słowach to, czego pragną? Czego bali się nazwać? Może wypowiedział również ich marzenie, którego nie śmieli wyrażać? Bo czy się spełni?

Może więc sierpień to miesiąc prorocki. Nazywania tego, co boli, przyglądania się niepokojom, szukania w sobie nadziei i marzenia, jak inaczej mogłoby być. Czy w dzieciństwie nie był to moment szykowania zeszytów i kredek, przygotowań na nowy początek, obiecywania sobie, że teraz będzie się pilnym uczniem? Że będzie lepiej? Taki mam pomysł na 28 sierpnia, okrągłą rocznicę opowieści Martina Luthera Kinga o jego marzeniu. Minirekolekcje z Kingiem. Obudzić w sobie nadzieję. Przejrzeć katalog wizji, co należy poprawić, zmienić.

To jakie masz marzenie o lepszym świecie?

©

POŻEGNANIE

9 sierpnia 2023 roku

zmarła w wieku 95 lat

Teresa Stankiewicz

Artystka, malarka, twórczyni polichromii i projektantka witraży. Jej prace były prezentowane na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych. Znajdują się w kolekcjach galerii w Polsce i za granicą. Absolwentka krakowskiej ASP.

Wybitna graficzka i ilustratorka, autorka licznych okładek i ilustracji do książek Wydawnictwa Znak, współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego”.

Żołnierz Armii Krajowej.

W latach 80. uczestniczka ruchu kultury niezależnej i jego filar w Krakowie.

Jesteśmy wdzięczni za jej przyjaźń i wieloletnią obecność wśród nas. Synowi, rodzinie i bliskim składamy najgłębsze wyrazy współczucia.

PRZYJACIELE ZE SPOŁECZNEGO INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO ZNAK

NIECH NIKT NIE MÓWI, ŻE O TYM NIE WIEDZIAŁ

CHRISTINA LAMB, REPORTERKA WOJENNA:

Kobiety, z którymi rozmawiałam, mówiły: chcemy, by nasze historie zostały opowiedziane, ale chcemy opowiedzieć je w nasz sposób, w miejscu, które nam odpowiada. A przede wszystkim się nie spieszyć.

PAWEŁ PIENIAŻEK: Kiedy pierwszy raz po ponownej inwazji rosyjskiej przyjechała Pani na Ukrainę, pojawiły się już informacje o przemocach seksualnych. Był kwiecień 2022 roku.

CHRISTINA LAMB: Jeszcze zanim przyjechałam, kontaktowało się ze mną kilka Ukrainek, w tym aktywistki ze Lwowa. Mówiły, że dochodzi do gwałtów. Szczególnie mówiąc, początkowo byłam sceptyczna.

Dlaczego?

Nie mogłam uwierzyć, że Rosjanie znowu dopuszczają się tego, co robili pod koniec II wojny światowej. Wydawało mi się też, że informacje o gwałtach pojawiły się zbyt szybko. Te wątpliwości zniknęły po pierwszym wywiadzie. Było to już po wyzwoleniu Buczy i Irpienia, więc tych historii było więcej.

Czasami ludziom zdaje się, że gwałt wojenny jest czymś, do czego dochodzi daleko, w „afrykańskich wsiach”. Nie znam jednak żadnego konfliktu, podczas którego do gwałtów by nie dochodziło.

Jaka jest skala tego zjawiska w Ukrainie?

Dość powszechna. Nie jest jasne, czy to coś systematycznego, z odgórnym przyzwoleniem, czy robili to żołnierze, którzy byli sfrustrowani, bo sprawy nie szły zbyt dobrze. W końcu wmawiano im, że Ukraińcy nie są do końca ludźmi, określano ich nazistami. Sprawcy gwałtów najpierw dehumanizują swoje ofiary. Tak było choćby w Rwandzie, gdzie Tutsich nazywano „karaluchami”.

W przypadku zgwałconych kobiet, z którymi rozmawiałam w Ukrainie, sprawcami byli młodzi, pijani żołnierze. Dowódca powiedział, że jego ludzie się napili, więc teraz chcą rozrywki. Żołnierze byli zwykle o połowę młodszy. Te kobiety mogły być ich matkami. Ale to ich nie ruszyło – zrobili to, co zrobili.

Relacjonuje Pani wojny od 35 lat. Kiedy zwróciła Pani uwagę na temat przemocy seksualnej?

Pierwszą wojną, którą relacjonowałam, była ta rosyjska w Afganistanie. Od początku skupiałam się na tym, jak wpływa





BEN CURTIS / AP / EAST NEWS

na kobiety. Może dlatego, że sama jestem kobietą, a wówczas nie było zbyt wielu korespondentek wojennych?

Ale czasami myślę, że może to dlatego, że nie jestem dostatecznie odważna. Nie chcę być w środku toczących się walk, więc skupiam się na tym, co się dzieje dookoła. Wydaje mi się, że oglądając wiadomości, widzimy często Syrię, Irak czy Afganistan jako jedno wielkie pole bitwy. A przecież są tam miliony ludzi chodzących do pracy, biorących śluby, decydujących się na dzieci. Interesowało mnie to, jak sobie radzą. Często kluczową rolę odgrywały w tym kobiety.

Na początku nie rozmawiałam z nimi o przemocy seksualnej. Nie wiem więc, czy wtedy o to nie pytałam, czy to się nie działo. W ciągu ostatnich dziesięciu lat dostrzegam jej znacznie więcej.

Dlaczego?

Częściowo może to być związane z tym, że ludzie stali się bardziej otwarci. Ale jest coś więcej. Pierwszy raz szczerze zdałam sobie sprawę, jak poważny jest to temat, w 2014 r. – z dwóch powodów. Pierwszy to porwane dziewczyny z Chibok w Nigerii.

Boko Haram porwało wtedy ze szkoły 276 nastoletnich uczennic. Niektórym udało się uciec lub uratowała je nigeryjska armia. Kilka zapewne zginęło, a losy ponad stu są wciąż nieznanne.

Pojechałam do północno-wschodniej Nigerii. Dzięki temu dowiedziałam się, że to tylko czubek góry lodowej. Że są dziesiątki tysięcy porwanych dziewczyn i kobiet.

Trafiłam też do obozów dla kobiet, które zostały uwolnione. Mówiły o tym, jak wykluczyły ich własne rodziny, a przez to kolejny raz stawały się ofiarami. Często były gwałcone przez nigeryjskie wojsko, które je ratowało. Wcześniej bojownikom Boko Haram mówiono, by brali te kobiety jako „żony z buszu”.

Jakie było drugie wydarzenie?

W tym czasie jeździłam też często do Iraku. Latem 2014 r. bojownicy Państwa Islamskiego porywali tam jeźdźki, czyniąc z nich niewolnice seksualne.

Tematem zajęłam się dopiero w kolejnym roku, gdy relacjonowałam kryzys uchodźczy. Byłam na Leros, małej greckiej wyspie, gdzie poznałam jeźdźki, które opuściły Irak. Nigdy nie widziałam oczu tak pozbawionych blasku. Było jasne, że stało się z nimi coś strasznego. Nie wiedziałam co, ale opowiedziały mi swoje historie. Wtedy zrozumiałam, jak duża jest skala tego zjawiska.

Kilka lat później byłam w Bangladeszu. Setki tysięcy Rohingów uciekało z Birmy. Każda kobieta, z którą rozmawiałam, miała tę samą historię: wyciągnięto ją z domu, przywiązano do bananowca i zazwyczaj dokonano na niej gwałtu zbiorowego na oczach jej dzieci.

Te kobiety mówiły o tym, co się im przydarzyło, mimo że jest to bardzo trudne, a nic się później nie działo. Wierzę, że dziennikarstwo może mieć wpływ na rzeczywistość – np. wtedy, gdy ujawni się jakąś niesprawiedliwość. Czułam jako dziennikarka →

Kula, 47-letnia ofiara gwałtu, w ośrodku dla kobiet, które doznały traumy wojennej. Obóz uchodźców w Monrovi, Liberia, 2003 r.

→ i kobieta wstyd, że po takich wydarzeniach nie ma reakcji. Jedna z jezydek, z którą rozmawiałam, wysłała mi kiedyś wiadomość: „Opowiedziałam swoją historię i co to zmienia?”. Nie wiedziałam, co jej odpisać. Jezydki złościły się, bo rozmawiały z wieloma dziennikarzami, a nic to nie zmieniało. Czuły, że wykrzystujemy je w naszych gazetach.

Jak często sprawcy przemocy seksualnej są skazywani?

To po prostu żalosne – po ponad 20 latach istnienia Międzynarodowy Trybunał Karny nie skazał ani jednego oskarżonego o gwałt wojenny. Jedyny wyrok skazujący został obalony po apelacji.

To właśnie wydarzenia z Nigerii, Iraku, Syrii i Mjanmy skłoniły Panią do napisania książki?

Na początku nie planowałam większej publikacji. Założyłam chyba, że to już jest opisane. Zaczęłam jednak zbierać te historie, a podczas kolejnych wyjazdów byłam dużo bardziej świadoma. Widząc, że to trwa, postanowiłam napisać książkę, żeby zebrać te świadectwa razem.

Ostatecznie jest ich dużo. Pochodzą z różnych części świata.

Chciałam pokazać skalę tego zjawiska. W końcu pojechałam do dwunastu krajów, ale mogłabym jeździć po całym świecie. Ciągłe dowiaduję się o kolejnych miejscach.

Napisałam dziesięć książek. Ta była najtrudniejsza. Nie mogłam pracować nad nią za długo w ciągu dnia. Napisać to, co miałam, i zająć się czymś innym. Trudne były rozmowy, bo to straszne historie, a jeszcze trudniej było je opowiedzieć. To, że ludzie się ze mną dzielili najbardziej osobistymi przeżyciami, trzymało mnie jakoś podczas pisania.

Pamiętam 16-letnią jezydkę, z którą rozmawiałam w Niemczech – sędzia Państwa Islamskiego gwałcił ją co noc. Z trudem o tym opowiadała, przerywała, płakała. Czułam się fatalnie, bo nie chciałam jej ponownie poddać traumie. Mówiłam, że możemy się zatrzymać i nie musi tego robić. Była nieugięta, powiedziała: „Nie chcę, by ktoś mógł powiedzieć, że o tym nie wiedział”. Zawsze o tym pamiętam.

Gwałt jest najbardziej skutecznym sposobem terroryzowania ludzi.

Kosztuje mniej niż nabój do kałasznikowa.

Napisała Pani: „Byłam rozdarta między dziennikarskim pragnieniem, by wiedzieć, strachem przed tym, co mogę od niej usłyszeć, i przede wszystkim obawą, że podzielenie się ze mną swoją historią przyniesie jej więcej bólu”.

Jako dziennikarze zajmujący się konfliktami często rozmawiamy z ludźmi z ciężkimi traumami i jesteśmy pierwszymi, którym opowiadają swoje historie. Tak było choćby w przypadku Rohingów przekraczających granicę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że możemy wyrządzić szkodę ludziom poprzez poddanie ich ponownej traumie, ale także w sensie prawnym. Jeśli rozmawiali z wieloma dziennikarzami i historia się różni (a zazwyczaj tak jest), to potem prawnik osoby oskarżonej łatwo może znaleźć luki. Nadia Murad, najbardziej znana jezydzka aktywistka, opowiadała swoją historię setki razy. Nigdy nie będzie w stanie pójść do sądu, bo w każdym wywiadzie są jakieś różnice. Choć mogło to wynikać z niewłaściwego zacytowania.

Już po skończeniu książki poznałam Leslie Thomas, amerykańską reżyserkę, która nakręciła film „The Prosecutors” o ludziach ścigających sprawców przemocy seksualnej. Dużo czasu spędziłyśmy z ocalałymi. W rezultacie przygotowałyśmy opracowanie ze wskazówkami dla tych, którzy mają rozmawiać z ofiarami przemocy seksualnej.

Na co trzeba zwrócić uwagę?

Wszystkie kobiety, z którymi rozmawiałyśmy, mówiły: chcemy, by nasze historie były opowiedziane, ale chcemy opowiedzieć je w nasz sposób, w miejscu, które nam odpowiada, a przede wszystkim się nie spieszyć. Dlatego staram się pokazywać je jako naprawdę odważne osoby, którym zniszczono życie, ale nadal chcą realizować swoje marzenia, tak jak każdy z nas.

Mam to szczęście, że pracuję dla tygodnika i piszę książki, więc mam więcej czasu. Mogę spędzić dni z tymi kobietami, a historia powstaje stopniowo – większość dziennikarzy takiego komfortu nie ma. Myślę, że musimy bardzo ostrożnie do tego podchodzić. Ktoś może się zgodzić, nie rozumiejąc konsekwencji. Choćby tego, że każdy będzie mógł je wygooglować, jeśli podadzą prawdziwe imię. Ja nie widzę potrzeby, by podawać takie dane, bo dla mnie ważniejsza jest historia, ale spotykałam kobiety, które nalegały: „Nie, chcę, żeby ludzie wiedzieli”.

W przypadku książki nigdy też nie trafiłam do przypadkowych osób. Zawsze robiłam to poprzez organizacje. Pytałam o to, czy mają klientki, które chciałyby porozmawiać, więc to była decyzja tych osób. Oczywiście one podejmowały działania prawne, a zatem chciały, by ich historie były opowiedziane.

Rozumiem, że nie wszyscy dziennikarze stosują takie zasady?

Niektórzy są bardzo nieodpowiedzialni. Kobieta, z którą rozmawiałam w Ukrainie, znalazłam przez prawniczkę. Zgodziła się rozmawiać pod warunkiem, że opowie ją tylko raz. Koniecznie chciała podać swoje imię. Nie podaliśmy jednak miejsca.

Po publikacji mnóstwo ludzi próbowało ją znaleźć. Dzwonili do mnie i prosili o kontakt. Mówiłam, że ona nie chce rozmawiać. Nie szanowali tego. Szukali jej na własną rękę i poczułam się źle, że to przeze mnie. Może później żałowała rozmowy ze mną, bo nie spodziewała się takich konsekwencji.

Napisała Pani, że w ciągu ostatnich ośmiu lat widziała więcej przemocy skierowanej przeciwko kobietom niż przez ponad trzy dekady przepracowane w zawodzie korespondentki.

Jakie są tego powody?

Po pierwsze: skuteczność. Jeśli chcesz pozbyć się ludzi z jakiegoś obszaru czy przejąć go, to gwałcenie kobiet, dzieci, a czasami też mężczyźni jest najskuteczniejszym sposobem terroryzowania ludzi. Po drugie: cena. Gwałt kosztuje mniej niż nabój do kałasznikowa. Po trzecie: bezkarność. Nikt nie staje z tego powodu przed sądem.

Zdarzają się też inne motywacje, np. religijne. Bojownikom Państwa Islam-

skiego powiedziano, że jeździ to czcicie diabła i wzięcie ich do niewoli jest religijnym obowiązkiem. W przypadku Rwandy i Rohingów były powody etniczne. Bywają też ekonomiczne, jak w przypadku Demokratycznej Republiki Konga. W Argentynie miały one podłoże polityczne.

Niezależnie od motywów środki były te same. W każdym z tych przypadków były one systematyczne. Bojownicy Państwa Islamskiego mieli nawet broszury na temat tego, jak traktować niewolnice seksualne, w których dosłownie mówiono im, że to ich obowiązek. Boko Haram było do tego bardzo zachęcane, ale ponieważ wielu z bojowników to młodzi mężczyźni, których nie stać na dary ślubne, więc był to dla nich najlepszy rodzaj „zapłaty”. W większości pochodzili również ze społeczności, które próbowali terroryzować.

To też niszczy samą społeczność.

Nawet na ulicy, o której pisałam w Ukrainie, wszyscy wiedzą, kim są zgwałcone kobiety, a także kto nic nie zrobił, by im pomóc tej nocy, gdy uciekały. Wszyscy patrzą na siebie podejrzliwym wzrokiem. Skoro ktoś ich nie przyjął, to może współpracował z Rosjanami? Wobec tych kobiet padały komentarze: że się same prosiły, źle się ubierały czy nie tak zachowywały. Mimo że Rosjan już tam nie ma, rany w społeczności pozostały.

A im bardziej konserwatywna jest społeczność, tym większe wyrządza szkody.

Do obrażeń fizycznych, psychicznych tortur i traum dochodzą jeszcze ludzie, którzy potem nie chcą przyjąć tych kobiet. Po tym, co przeszły, powinny być uważane za bohaterki – tymczasem są przez swoich poddawane ostracyzmowi. Czasami, jak w przypadku Nigerii, są to bardzo młode osoby – miały po 12-13 lat – a całe ich życie zostało zniszczone.

Podkreśla Pani, że gwałt wojenny to broń. Jest więc zawsze stosowana na czyjś rozkaz?

W większości przypadków, którymi się zajmowałam, tak. W Państwie Islamskim szło to z samej góry. W Birnie była to polityka państwa mająca na celu eksterminację Rohingów. Podobnie



CHRISTINA LAMB jest dziennikarką „The Sunday Times” relacjonującą konflikty zbrojne. Autorka dziesięciu książek, w tym „Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom”, za którą otrzymała nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Pięciokrotnie uhonorowana nagrodą British Press dla najlepszego zagranicznego korespondenta roku. Królowa Elżbieta II odznaczyła ją Orderem Imperium Brytyjskiego.

w Rwandzie, gdzie znęcano się nie tylko nad Tutsi, ale też kobietami, które za nich wyszły.

Z tego, co Pani mówi, odnoszę wrażenie, że warunki, jakie stwarza wojna, mogą zmienić każdego z nas w coś strasznego.

To jest rzecz, nad którą zaczynasz się zastanawiać, kiedy piszesz taką książkę. Historyk Antony Beevor po napisaniu książki o upadku Berlina, gdzie zgwałcono dwa miliony kobiet, nabawił się syndromu stresu pourazowego. Powiedział, że bez końca zastanawiał się, czy każdy z nas w takiej sytuacji może się tego dopuścić. Ja tego nie wiem.

Na pewno moja książka nie jest wymierzona w mężczyzn. To oni zresztą są jej największymi bohaterami, jak doktor Denis Mukwege czy pszczelarz z Aleppo. Oni naprawdę narażają swoje życie, by pomóc kobietom.

Widzi Pani jakieś pozytywne zmiany?

Dobrze, że o gwałtach wojennych mówi się znacznie więcej. Jeszcze kilka lat temu, gdy chciałam napisać o tym

w mojej gazecie, mój redaktor powiedział, że nikt nie chce o tym czytać. Na szczęście mamy też magazyn. Pracująca w nim redaktorka od razu opublikowała tekst. Nie sądzę, by dzisiaj ktoś powiedział, że nie jest to ważny temat.

Czasami myślę o porzuceniu dziennikarstwa na rzecz prowadzenia kampanii społecznych o gwałtach wojennych – czuję, że ktoś musi to zrobić, a niestety niewiele jest takich, które się na tym naprawdę skupiają. Na szczęście z reguły są bardzo dobre – choć małe – jak Medica Zenica w Bośni czy Miasto Radości w Demokratycznej Republice Konga. Miasto Radości po dziesięciu latach zobaczyło, że uprawa i hodowla mają terapeutyczny wpływ na kobiety, z którymi pracują. Od dawna działają w ten sposób w Bośni, gdzie sadzą róże, potem je sprzedają, ale część zachowują, bo lubią się nimi otaczać. Gdyby te organizacje komunikowały się ze sobą i dzieliły doświadczeniem, mogłyby działać dużo skuteczniej.

Czyli nie jest Pani zadowolona ze zmian, jakie zaszły?

Jesteśmy świadkami regresu praw kobiet w wielu krajach, w tym w Stanach Zjednoczonych. Kobiety poniosły największy ciężar podczas pandemii, a dziewczynki częściej traciły możliwość edukacji.

Jako dziennikarka czuję się źle, że tak długo o tym nie pisaliśmy i nie udawało się nam przekonać ludzi do powagi tej sprawy. Czuję wstyd, że wciąż pytamy, co zmienia nasza praca.

To zabawne, bo kiedy zaczynałam jako dziennikarka, nie było internetu ani telefonów komórkowych, więc nie utrzymywałam kontaktu z ludźmi, z którymi przeprowadzałam wywiady, ponieważ było to trudne. Jedyny sposób, w jaki mogłam pozostać z nimi w kontakcie, to wysłanie listów, co byłoby dziwne.

Teraz z każdym, z kim przeprowadzam wywiady, pozostaję w kontakcie na WhatsAppie, a oni potem widzą moje teksty. Zawsze powinniśmy czuć odpowiedzialność, ale dzisiaj znacznie bardziej, bo bohater może do nas z łatwością napisać czy zadzwonić. Chciałabym po publikacji materiału móc powiedzieć kobietom, z którymi rozmawiałam, że sprawcy zostali postawieni przed sądem.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIAŻEK



AP / EAST NEWS

Tamtego Chartumu już nie będzie

WOJCIECH JAGIELSKI

Spór dwóch generałów o władzę wywołał nad Nilem wojnę domową. Trwa już piąty miesiąc i jej końca nie widać. Sudan – przed secesją Południa największy kraj Afryki – stracił stolicę. Teraz jest ona polem bitwy.

CHARTUM, STOLICA SUDANU, NIE SPODZIEWAŁ SIĘ WOJNY, KTÓRA SPADŁA NAŃ W POŁOWIE KWIECZNIA. WŁAŚNIE SZYKOWAŁ SIĘ WTEDY DO TRZYDNIOWEGO ŚWIĘTA, WYPRAWIANEGO PRZEZ MUŻULMANÓW NA KONIEC RAMADANU.

Choć w dziejach niepodległego od 1956 r. Sudanu wojny trwały niemal nieprzerwanie, toczyły się dotąd w dalekich prowincjach, na obrzeżach państwa. Na południu – w latach 1955-1972 i 1983-2005; zginęło wtedy ponad półtora mi-

liona ludzi – oraz w położonym na zachodzie kraju Darfurze, w latach 2003-2020, ponad ćwierć miliona ofiar śmiertelnych. W Chartumie tak naprawdę ledwie o nich pamiętano. Miasto, w którym dwa Nile, Biały i Błękitny, łączą się ze sobą, żyło swoimi sprawami i kłopotami. Tych ostatnich nigdy tu nie brakowało.

Inaczej niż wszędzie

Największymi bólaczkami Chartumu byli zawsze rządzący, zmieniający się zazwy-

czaj na skutek wojskowych przewrotów i poprzedzających je ulicznych rewolucji. Żaden z byłych przywódców – zarówno tych w mundurach, jak i w galabijach, czyli luźnym ubraniu noszonym przez arabskich mężczyzn – nie potrafił zapewnić Sudanowi dostatku ani spokoju. Kraj cierpiał tyranie i biedę, choć w Chartumie i tak żyło się lepiej niż gdzie indziej.

Było tak nawet pod panowaniem najgorszego z dyktatorów – samozwańczego marszałka polnego Omara al-Basziira. Rządził całe trzy dekady, w latach 1989-2019. Wprowadził surowe prawo szariatu, nie miał litości dla tych, którzy się z nim nie zgadzali, toczył krwawe wojny w południowych i zachodnich prowincjach.

Ale w tym samym czasie Chartum bogacił się na ropie naftowej oraz dzięki pieniądзом przesyłanym przez uchodźców politycznych i imigrantów z Europy Zachodniej i państw Zatoki Perskiej. To wtedy, na przełomie XX i XXI wieku, miasto (a raczej trójmiasto: Chartum – stolica polityczna, Omdurman – stolica duchowa i kulturowa, oraz Bahri – stolica gospodarcza, wszystkie rozdzielone wodami Nilów) rozrosło się do rozmiarów pięciomilionowej metropolii. Mó-

Ewakuacje z Chartumu: cywilnej ludności miasta (po lewej, 19 czerwca 2023 r.) oraz obywateli brytyjskich (po prawej, 26 kwietnia 2023 r.)

wiło się wręcz, że wraz z przedmieściami w sudańskiej stolicy żyło nawet 10 mln ludzi – jedna piąta ludności kraju.

Pozostała część Sudanu była nękana przez wojny, biedę oraz susze. Ale w Chartumie, jeśli trzymało się z dala od polityki, można było żyć dobrze (choć nie każdego było na to stać), bezpiecznie (policijny reżim powodował, że w porównaniu z Addis Abebą czy Nairobi pospolita przestępczość nie była zagrożeniem), cieszyć się wielkomiejskim gwarem, dobrymi akademiami, pełnymi towarów galeriami handlowymi, muzeami, parkami, restauracjami czy modnymi klubami na nadzecznych bulwarach.

Miasto, jako jedno z nielicznych w Afryce, dochowało się własnej elity duchowej, intelektualnej i artystycznej, a także sławnej z przedsiębiorczości klasy średniej. Wszyscy oni, z politykami i generałami na czele, wywodzili się spośród stanowiących ponad połowę ludności Arabów znad Nilu, mieszkających na terenach od Chartumu do dawnej Nubii na północy kraju. W niepodległym Sudanie rządzący wyłącznie oni.

Wojna na ulicach

Po przejęciu władzy w państwie sudańscy generałowie – podobnie jak ich odpowiednicy z Pakistanu czy Birmy – szybko przywłaszczyli sobie państwo, któremu mieli służyć. Przejęli urzędy i niemal całą gospodarkę. Rozsmakowali się w bogactwie, wygodach i przywilejach, zapomnieli o wojaczce i ani myśleli toczyć wojny w dalekich prowincjach.

Na zbuntowanym południu – w 2011 r. ogłosiło niepodległość jako Sudan Południowy – w Kordofanie i Darfurze generałowie woleli wyręczać się pospolitym ruszeniem i opłacanymi przez rząd zbrojnymi milicjami. To im zostawiano walki i pacyfikacje. Rządowe wojsko tylko wydawało rozkazy i dostarczało broń. A od czasu do czasu, w razie potrzeby, posyłało do walki lotnictwo.



MOD CROWN / GETTY IMAGES

Kiedy więc wiosną tego roku do gardeł skoczyli sobie: głównodowodzący armii gen. Abdel Fattah Burhan oraz dowódca arabskiego pospolitego ruszenia z Darfuru gen. Mohammed Hamdan „Hemedti” Dagalo – podległe im oddziały podjęły walkę tak, jak umiały. Pospolite ruszenie – ogniem i mieczem podbijając nieprzyjacielskie ziemie, rządowe wojsko – bombardując wroga z powietrza. Tym razem jednak polem bitwy były nie sawanny czy skaliste pustynie Darfuru, nie mokradła nad Nilem czy przepastne wąwozy w Górach Nubijskich – lecz wielomilionowe miasto, stołeczny Chartum.

Ćwierć wieku temu na własne oczy widziałem, jak wojnę w wielkim mieście toczyli inni partyzanci z gór – afgańscy mudżahedini, którzy wykrwawiwszy i zmusiwszy do rejerady Armie Czerwonej, zajęli bez walki Kabul, a nie umieli podzielić się władzą, wszczęli bratobójczą wojnę o wojenne łupy. Nie znając miasta – większość z nich nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziała – walczyli w nim tak, jak potrafili, jak robili to na pustyniach i w górach. Po roku pół afgańskiej stolicy legło w gruzach, a druga połowa ginęła, ostrzeliwana z dział z otaczających ją wzgórz.

Parę lat później przyglądałem się, jak zburzony Kabul przejmują we władanie kolejni partyzanci – talibowie, zwycięzcy wojny domowej wywodzący się z pustkowi na afgańsko-pakistańskim pograniczu. Wkraczali do miasta nieufnie, jakby z odrazą, a dowodzący nimi mułlowie nauczali, że jest ono siedliskiem zepsucia i upadku, zła i wszelkiego grzechu. I że

sprawiedliwie zostało ukarane zniszczeniem.

Teraz los afgańskiego Kabulu dzieli Chartum.

Jeźdźcy z Darfuru

Topiąc we krwi w Darfurze powstanie czarnoskórych braci w mużułmańskiej wierze – Messalitów, Furów i Zaghawów, uskarżających się na dyskryminację ze strony rządzących w Chartumie – bojówki „Hemedtiego”, dowódcy wywodzącego się z darfurskich Arabów, dopuścili się pierwszej w XXI wieku zbrodni ludobójstwa. Mordy i gwałty miały nie tylko zastraszyć buntowników, ale też pomóc w przejęciu ziemi dla arabskich pasterzy, utrzymujących się z hodowli bydła (Baggarowie) i wielbłądów (Abbalowie). Podległe „Hemedtiemu” bojówki nazywano „dżandżawidami”, czyli konnicą. Zaciągali się do nich darfurscy Arabowie, ale także ich kuzyni z Czadu, Nigru i Republiki Środkowoafrykańskiej, wiedzeni nadzieją na wojenne łupy.

Chartumskie elity zawsze uważały darfurskich Arabów za nieokrzesanych prowincjuszy i gwałtowników. Szykując się do rozgrywki o władzę ich przywódca „Hemedti” – awansowany w nagrodę za zasługi z Darfuru na generała – ściągał ich do Chartumu od dawna. Zazdrośni o wpływy Burhan i jego generałowie nie oddawali im na kwatery wojskowych koszar, więc Darfurscy rozkładali obozowiska w dzielnicach mieszkaniowych, pośród cywilów, w domach kupowanych przez ich dowódców za wojenne łupy. →

→ Kiedy ich wódz wydał rozkaz ataku, ruszyli do boju jak kiedyś w Darfurze – tyle że z koni i wielbłądów przesiedli się do terenowych samochodów z karabinami maszynowymi zamiast dachów. Błyskawicznie zajęli większą część miasta, główne ulice, mosty i urzędy – w tym pałac prezydencki – a także położone w samym śródmieściu lotnisko. Nie zdobyli jednak podchartumskich baz i lotnisk wojskowych, nie wytrącili więc armii najważniejszego oręża – lotnictwa właśnie.

W rezultacie w ulicznej wojnie nastąpił pat. Burhan, nie mając do dyspozycji sprawdzonej w boju piechoty, już piąty miesiąc posyła przeciwko Darfurczykom czołgi, artylerię i samoloty, które bombardują własną stolicę. Dżandżawidzi zaś, nie mogąc sięgnąć przeciwnika, przystąpili do łupienia miasta.

Wojenne zdobycze

Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło w ostatnich miesiącach w Chartumie. Sudańskie ministerstwo zdrowia mówi o czterech tysiącach, ale według pracowników organizacji dobroczynnych nawet dwukrotnie wyższa liczba może okazać się zawyżona.

Połowa mieszkańców uciekła z miasta (to również jedynie przybliżone szacunki). Chartum sprawia dziś wrażenie miejsca bezludnego, wymarłego. Tę martwość codziennie przerywają odgłosy walk. Za dnia niebo spowijają dymy pożarów, a noce rozświetlają ich łuny.

Ci, którzy nie uciekli – bo nie było ich stać, nie mieli dokąd lub przegapili odpowiedni moment – wychodzą z domów, gdy milknie kanonada. Wyruszają wtedy w miasto w poszukiwaniu drożącej z dnia na dzień żywności, brakujących lekarstw i wody. Odkąd w Chartumie zaczęła się wojna, przestało działać niemal wszystko: zamknięto fabryki, urzędy, sklepy, banki, szkoły. Z ulic zniknęła policja, nie pracują sądy, nikt nie sprząta śmieci. Brakuje prądu, coraz gorzej działają telefony. Na stacjach benzynowych nie ma paliwa.

Zakładając w nich obozowiska, partyzanci zajęli trzy czwarte stołecznych szpitali wraz z ich sprzętem medycznym i magazynami lekarstw. W ten sposób Darfurczycy ściągają na ludność cywilną ogień tropiącego ich w mieście rządowego lotnictwa. Armia posyła też przeciwko dżandżawidom czołgi i w mieście codziennie dochodzi do ulicznych poty-

Dopóki trwa wojna,
stołeczne obowiązki
Chartumu pełni Port Sudan
nad Morzem Czerwonym.

**Tu jest jedyne czynne
międzynarodowe lotnisko.**

czek, w których giną przypadkowi cywile. Ciało zabitych często się nie zbiera ani ich nie grzebie.

Patrole dżandżawidów aresztują na ulicach Chartumu zwłaszcza młodych mężczyzn, którzy wydają im się podejrzani. Polują też na kobiety, które – tak jak w Darfurze – traktują jak wojenne łupy. Chartumscy lekarze alarmują o coraz częstszych gwałtach i porwaniach kobiet i dziewcząt.

Mieszkańcy Chartumu opowiadają, że początkowo ze strony Darfurczyków nie spotykało ich nic złego, ale już w maju, w trzecim tygodniu miejskiej wojny, dżandżawidzi zaczęli płądrować sklepy i domy. Zrazu chodziło im o prowiant – zarówno dowódcy wojska rządowego, jak i arabskich milicji byli przekonani, że odniosą zwycięstwo błyskawiczne i błyskotliwe. Kiedy wojna zaczęła się przedłużać, ruszyli rabować, jak niegdyś w Darfurze, dla łupów.

Zaczęli od bankomatów i banków, potem przyszła kolej na sklepy i magazyny żywności, opustoszałe zagraniczne ambasady, biura ONZ i zagranicznych organizacji dobroczynnych (rozejmów w sudańskiej wojnie dotrzymywano jedynie, gdy chodziło o wywiezienie z Chartumu i Sudanu cudzoziemców). Wkrótce kradli też prywatne samochody i zajmowali na kwatery domy, wyrzucając z nich właścicieli i zabijając tych, którzy wynieść się nie chcieli. Wciąż domagają się gotówki i złota.

„Wy egipskie psy i psie syny” – lżą chartumczyków, jakby wypominając im wygody i dostatek, gdy oni nadstawiali za nich karku, tłumiąc bunt w prowincjach.

Śmierć stolicy

Końca wojny nie widać, a o układach żaden z generałów nie chce nawet słyszeć.

Każdy z nich wciąż wierzy, że uda mu się pokonać przeciwnika i zdobyć władzę.

Chartum, poharatany w ulicznych strzelaninach i bombardowaniach, umiera po kawałku i z każdym tygodniem traci atrybuty stolicy. Poza stolicą sudańska wojna toczy się jeszcze w Darfurze i Kordofanie, ale we wschodnich prowincjach, zwłaszcza na żyznych ziemiach między Nilami, rolnicy chcieliby uprawiać rolę, żeby w przyszłym roku doczekać się plonów. Śmierć sudańskiej stolicy sprawia jednak, że nie dostają kredytów ze spładowanych chartumskich banków ani nawozów sztucznych z rozkradzionych magazynów.

Wojna wygoniła też z Chartumu stołeczne elity, z których miasto było tak dumne. Im dłużej trwają walki, tym bardziej zmniejsza się prawdopodobieństwo, że wszyscy, którzy uciekli, wrócą i wskrzeszą dawny Chartum, sprawia, że wszystko będzie jak dawniej.

Dopóki trwa wojna, stołeczne obowiązki Chartumu pełni Port Sudan nad Morzem Czerwonym, gdzie znajduje się dziś jedyne czynne w Sudanie międzynarodowe lotnisko. Trzydzieści lat temu w upadłej Somalii, pogrążone w wojnie wszystkich ze wszystkimi Mogadyszuszu ustąpiło rolę stolicy portowemu Kismaju, a rolę państwa przejęły na siebie, jak dziś w Chartumie, sąsiedzkie wspólnoty. To one, na własną rękę, zapewniały ludziom bezpieczeństwo, zaopatrzenie, pomoc medyczną – albo godny pochówek.

W Somalii z wojennej zawieruchy wyrosli miejscowi talibowie, nauczający, że tylko zaprowadzenie pod ich przywództwem Królestwa Bożego na ziemi zapewni pokój, spokój i dostatek. W Sudanie słowa te głosić będą Bracia Muzułmanie. W latach 90. XX wieku, rządząc w przymierzu z ówczesnym Omarem al-Baszirem ogłosili oni Sudan republiką muzułmańską, rządzącą się prawami szarijatu, i przygarnęli w Chartumie saudyjskiego banitę Osamę ibn Ladina, który tu właśnie zaczął swoją złowrogą karierę dżihadysty.

„Tamtego Chartumu sprzed 15 kwietnia już więcej nie będzie – powiedział chartumski uczony Magdi El-Gizouli dziennikarce „Guardiana” Nesrine Malik, z pochodzenia Sudance. – Wojna zabrała wszystko, co było coś warte”.

©© WOJCIECH JAGIELSKI



JUANCHO TORRES / AFP / EAST NEWS

Matki z Soacha podczas spotkania pojednawczego z dowódcami żołnierzy, którzy dokonywali zbrodni.
Soacha, Kolumbia, 10 maja 2022 r.

Wszystko dzięki matkom

DOMA MATEJKO

Kolumbijskie wojsko przebierało ich w partyzanckie mundury, a następnie zabijało. Ukrywana przez lata prawda o morderstwach tysięcy cywilów wychodzi na jaw dopiero teraz.

EDUARDA ZAKOPIAŁ W DWÓCH LEWYCH butach. Ana rysuje je z pamięci: ciężkie, wojskowe, rozwiązane. Tak je zapamiętała w chwili, kiedy zobaczyła odkopane ciało swojego syna. Trzy miesiące po jego śmierci.

Chłopak był jednym z tysięcy Kolumbijczyków zamordowanych przez wojsko. Bez motywu, bez echa.

Trwała wojna domowa, która pozornie usprawiedliwiała wszystko. Aż 80 proc. jej ofiar było cywilami. Jedni ginęli przez przypadek, drudzy – jak Eduardo – byli mordowani przez żołnierzy i figurowali w statystykach wojennych jako zabici partyzanci.

Nikt nie zadawał pytań. Nikt prócz najbliższych nie szukał ciał. Oficjalnie mówiono o nich „zaginieni”, łudząc się, że o tysiącach śmierci niewinnych nikt się nie dowie.

Premia za morderstwo

8 kwietnia 1948 r. był ostatnim dniem, w którym Kolumbijczykom wydawało się, że będą żyć normalnie. Następnego popołudnia w Bogocie, na rogu alei Jiménez i siódmej przecznicy, o godzinie 13.05 ktoś oddał trzy strzały z rewolweru w kierunku Jorgego Gaitána.

Znany polityk, przywódca socjalistów, zginął na miejscu. W ten sposób rozpo-

czął się największy zbrojny konflikt wewnętrzny w historii Ameryki Łacińskiej i jeden z najdłuższych w historii współczesnego świata.

Od 1964 r. grupa partyzantów z FARC – największej w tamtym okresie partyzantki – systematycznie zajmowała kolejne rejony Kolumbii, nad którymi oficjalna władza traciła kontrolę na lata. Dekady później, w 2002 r., prezydentem kraju został ultrapravicowy Álvaro Uribe, który za swój największy polityczny i życiowy cel obrał sobie eliminację wroga, czyli partyzantów. Kreował się na przywódcę, który twardą ręką zakończy panujący od dziesięcioleci chaos. Wojskowi zostali zmotywowani do walki. Za każdą „głowę” dostawali premię lub dodatkowe dni wolnego.

Oddziały wojskowe zaczęły prześcigać się w liczbie zabitych partyzantów FARC. Statystyki wyglądały imponująco. Wydawało się, że partyzanci giną masowo, a Uribe wygrywa wojnę, co później pomogło mu w zdobyciu drugiej kadencji – pierwszej od stu lat w historii Kolumbii.

Ale oddziały wojskowe zaczęły też porywać cywilów. Wywozili ich w góryste, opustoszałe tereny, przebierali w mundury →

→ i kazali zakładać buty – takie jak nosili członkowie FARC – i biec. Potem strzelali, najczęściej w tył głowy. Nazwiska rolników, uczniów, przypadkowych chłopaków i dziewczyn, którzy jeszcze kilkanaście godzin wcześniej siedzieli w parku lub szli do sklepu, nagle pojawiały się na listach zabitych partyzantów. Porywano ludzi biednych, sądząc, że rodzinom wystarczy powszechne przekonanie o tym, że w Kolumbii ludzie znikają i już.

Myślano, że nikt nie będzie ich szukać.

Kobiety z Soacha

W 2008 r. z małej miejscowości Soacha zniknęło dziewiętnastu młodych mężczyzn. Każdy z nich spotkał na ulicy kogoś, kto powiedział, że w stolicy czeka na niego praca.

Chłopcy stawili się na umówione miejsce w najlepszych ubraniach i w świeżo wypastowanych butach. Mieli jechać do Bogoty, ale ślad po nich zaginął. Wojskowi wywieźli ich w okolice miejscowości Ocaña, położonej w północnej części departamentu Santander. Tam ich rozstrzelano.

– Mój syn Julian zaginął drugiego marca. Dzień później już nie żył – mówi „Tygodnikowi” Blanca Marroy. Przez pierwsze 72 godziny po zaginięciu liczyła, że zaraz zadzwoni. Zastanawiała się, gdzie jest i czy jest głodny. Po trzech dniach postanowili z mężem zgłosić zaginięcie na policję, a sami wzięli latarki i poszli szukać śladów w pobliskim lesie, myśląc, że może Julian tamtędy poszedł w stronę centrum Soacha.

Blanca wspomina, jak po kilku godzinach poszukiwań jej mąż nagle zatrzymał się i powiedział do niej: „Wracajmy, trzeba zapalić świeczkę za Juliana i odmówić »Ojcze nasz«, bo jego już nie ma wśród żywych”.

Swoją historię Blanca opowiada, rysując trawy i las, które stały się dla niej symbolem ostatniej nadziei na odnalezienie Juliana żywego. Blanca szybko dowiedziała się, że nie była sama. Kobiety z Soacha, które szukały swoich synów, było więcej. Kiedy wiadomo było, że zarówno Julian jak i reszta mężczyzn została zamordowana, media nagłośniły sprawę, a kobiety zaczęły się spotykać wierząc, że razem uda im się odkryć prawdę o tym, kto zamordował ich dzieci.

Media nazwały je „Matkami z Soacha”. Szybko stały się największym wrogiem

Swoją historię Blanca opowiada, rysując trawy i las, które stały się dla niej symbolem ostatniej nadziei na odnalezienie syna.

państwa. Dostawały pogróżki. Zapewniano je, że jeżeli nie zaprzestaną poszukiwań, skończą jak ich synowie.

One jednak się uparły. Często szukały ciał swoich bliskich na własną rękę. Ana Paez, jedna z Matek z Soacha, sama z lekarzami udała się w góry, aby wykopać ciało syna. Kiedy byli już prawie na miejscu, usiadła pod drzewem. Brakowało jej powietrza. – Znaleźliśmy go z rękoma do góry. Wyglądał, jakby błagał o sprawiedliwość – wspomina Ana. – Nie mogę powiedzieć, że znalezienie Eduarda sprawiło mi radość, ale poczułam ulgę na sercu, bo go zobaczyłam. Najważniejsze było to, że go znalazłam i zobaczyłam, że rzeczywiście nie żyje.

Niezidentyfikowani

Jaqueline Castillo na miejsce rozmowy wybiera niepozorną piekarnię z krzesłami w kontrastowych kolorach, w której kawę serwuje się w plastikowych kubkach. Takich miejsc w Bogocie są tysiące, więc Jacqueline czuje się tu bezpiecznie.

Jest luty 2022 r. i mówienie o zbrodniach, jakich dopuszczali się wojskowi, nadal balansuje na granicy tabu.

– W czasie poszukiwań Jaimego zobaczyłam w telewizji wiadomości o chłopakach z Soacha. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że Jaime mógł zginąć w podobny sposób. W przeciwieństwie do nich miał 42 lata, no i byliśmy z Bogoty – opowiada Castillo. Jej brat zaginął 10 sierpnia 2008 r. w dzielnicy Alamos.

Zgodnie z sugestią śledczych z Cuerpo Técnico de Investigación Criminal y Judicial (Technicznego Korpusu Śledczego Kryminalnego i Sądowego) Jacqueline postanowiła poszukać brata wśród ciał znalezionych w Ocaña. Dostała listę z nazwiskami mężczyzn, których tam znaleziono. Jedenaście ciał w dalszym ciągu pozostawało nierozpoznanych. Każde z nich miało numer identyfikacyjny i przybliżony wiek. Jeden z mężczyzn mógł mieć między 40 a 45 lat.

Do Ocaña Jacqueline jechała autobusem ponad dobę. Myślała, że na miejscu zobaczy cmentarz, tymczasem powiedziano jej, że ciała zakopano w prywatnych ogródkach działkowych. Nie miała pieniędzy na nocleg. Położyła się na ławce w parku. Czekala kolejny dzień na przedstawicieli medycyny sądowej. Przyszli o 19.00. Ruszyli w stronę pochówku po ciemku.

– Zaczęliśmy ekshumacje. Zobaczyłam brata. Był cały – Jacqueline opowiada o tych wydarzeniach tak, jakby widok rozkładającego się ciała nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Opowiadała tę historię setki razy. Zdążyła oczyścić ją z emocji.

Jednak kiedy kontynuuje, jej gardło się zaciska: – Gdy zapytali mnie o dane, moje zdziwienie było spore. Powiedziano mi, że mój brat należał do partyzantki. Zapytałam, jak to możliwe. Odpowiedzieli mi, że ciało figuruje na liście jako partyzant zabity w walce – wspomina Jacqueline. Wtedy znowu przypomniała sobie o Matkach z Soacha. Później dowiedziała się, że Jaime został znaleziony koło syna Zoraidy, jednej z matek.

Jaqueline zabrała ciało brata do Bogoty. Dołączyła do Matek z Soacha. Dzisiaj jest rzecznikzką założonej przez nie organizacji MAFAPO (Matki Fałszywie Potwierdzonych).

Fałszywie potwierdzeni

Sierżant Carlos Eduardo Mora wie, że prawdopodobnie niedługo umrze. Ci, którzy mają wiele na sumieniu, nazywają go „szpiegiem”, „kapusiem” i „partyzantem”. Wiele razy grozono mu śmiercią.

Mora jako jeden z pierwszych, jeszcze w 2008 r., zaczął współpracować z kolumbijskim wymiarem sprawiedliwości. Zaniepokojony szybkimi wynikami w „zwalczaniu wroga”, przekazał dokumenty dotyczące masowych egzekucji ówczesnemu generałowi wywiadu wojskowego Ricardowi Hernando Díaz Torresowi. Ten zadzwonił do ministra sprawiedliwości Manuela Santosa, późniejszego laureata pokojowej Nagrody Nobla, który nakazał zgłoszenie sprawy do prokuratury.

Zeznania Eduarda Mory potwierdziły to, co Matki z Soacha wiedziały od dawna – zabójstw dokonywało wojsko. Eduardo pomógł we wskazaniu pułkowników, niższych oficerów i żołnierzy zaangażowanych bezpośrednio w egzekucje niewin-

nych, o których zaczęto mówić „falszywie potwierdzeni”. Z czasem kolejni wojskowi trapieni wyrzutami sumienia sami zaczęli zgłaszać morderstwa, jakich dokonowali, a napis „Kto wydał rozkaz?” coraz częściej pojawiał się na murach większych i mniejszych miast Kolumbii.

W 2012 r. prezydent Manuel Santos rozpoczął negocjacje pokojowe z największą partyzantką FARC-EP. Rozmowy między rządem a najważniejszymi przedstawicielami partyzantki trwały cztery lata i odbywały się w Hawanie na Kubie. Jednym z kluczowych punktów negocjacji było utworzenie tymczasowego organu sprawiedliwości, JEP (*Jurisdicción Especial para la Paz* – Specjalny Trybunał dla Pokoju), który zajął się badaniem zbrodni wojennych popełnionych w czasie konfliktu z FARC-EP.

Według przygotowanego przez tę instytucję raportu między 2002 a 2008 r. w kraju zamordowano 6402 tzw. falszywie potwierdzonych. JEP podała tę liczbę na podstawie zeznań świadków i zebranej dokumentacji. W rzeczywistości ofiar może być nawet o jedną czwartą więcej.

Ale to właśnie liczba 6402 stała się w Kolumbii symbolem. Dla rodzin ofiar dochodzenie Specjalnego Trybunału dla Pokoju stało się pewną formą nadziei i ulgi. Ale nie oznacza to, że postawienie przed sąd winnych zadośćuczyniło ofiarom i ich rodzinom.

– Mogę zapomnieć, co miałam kupić, gdzie coś położyłam, ale nigdy nie zapomnę tego, co się stało z moim synem – mówi „Tygodnikowi” Ana Paez. JEP wskazała na 59 wojskowych wysokiego szczebla odpowiedzialnych za tzw. falszywie potwierdzonych. Niektórzy przyznają się do zbrodni, inni wypierają fakty z pamięci. Niektórzy zeznają przed sądem, że nie zrobili wystarczająco dużo,

aby zapobiec mordowaniu niewinnych ludzi. Inni potwierdzają, że „ofiary” były mordowane bez litości, z zimną krwią. Albo przyznają, że fałszowali raporty wywiadu, aby zalegalizować zbrodnie i przedstawić je jako wynik skutecznej walki z wrogiem.

– Dla mnie największym dramatem jest to, że ci, którzy mieli nas bronić, nas mordowali – twierdzi Jaqueline. Kolumbijczycy wiedzą, że ogrom zbrodni nigdy nie zostanie do końca poznany. Często muszą wystarczyć domysły rodzin i półprawdy zbrodniarzy.

Kto wydał rozkaz?

Kolumbia liczy 50 mln obywateli. Tylko w latach 1985-2018 w czasie wojny domowej zginęło 450 664 osób. Na okres między 2002 a 2008 r. przypada 78 proc. zarejestrowanych egzekucji na tzw. falszywie potwierdzonych.

Dane o liczbie ofiar konfliktu ukazały się w raporcie końcowym utworzonej w 2017 r. Komisji Prawdy. Jego treść stała się dla Kolumbijczyków lekturą obowiązkową i punktem zwrotnym w historii kraju. Na 10 tys. stron komisja zebrała zeznania świadków i opublikowała główne ustalenia dotyczące wcielenia w życie postanowień paktu pokojowego z FARC-EP z 2016 r.

To jednak nie koniec poznawania prawdy. Matki z Soacha i miliony Kolumbijczyków nadal potrzebują odpowiedzi na pytanie „Kto wydał rozkaz?”. Po pięciu latach śledztwa w sprawie tzw. falszywie potwierdzonych 17 lipca tego roku JEP wydała komunikat o kolejnym etapie postępowania śledczego. Specjalny Trybunał dla Pokoju przesłucha najwyższych rangą dowódców, szukając osób będących bezpośrednio i pośrednio odpowiedzialnych za wydanie rozkazów zabijania.

Jeden z sędziów JEP, Óscar Parra, zapewnia, że nowy etap śledztwa pomoże ustalić, czy dowódcy „byli świadomi systematyczności i powszechności przestępstw”. Przełomowym faktem w śledztwie jest to, że tym razem na świadków w dochodzeniu zostaną wezwani byli prezydenci Kolumbii: Álvaro Uribe i Juan Manuel Santos. Jak podaje Óscar Parra, przesłuchanie byłych prezydentów ma na celu sprawdzenie, czy mieli dostęp do informacji o popełnianych przestępstwach i o środkach, jakie podjęli, aby zapobiec masakrom. W czasie gdy dochodziło do egzekucji na ludności cywilnej, prezydentem kraju był Álvaro Uribe, a ministrem obrony Juan Manuel Santos, który za podpisanie paktu pokojowego z FARC-EP dostał pokojową Nagrodę Nobla.

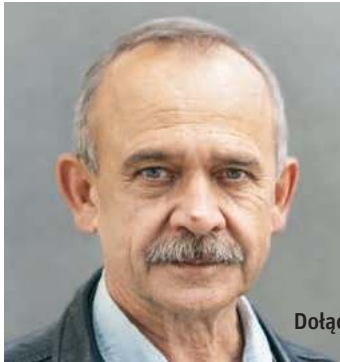
■ ■ ■

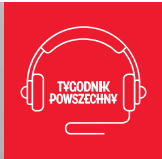
Jaqueline wchodzi w jedną z bram w dzielnicy Teusaquillo w Bogocie. Obraca się kilka razy. Zamyka za sobą kraty, sprawdzając, czy kłódka jest zapięta.

Wchodzi po schodach do pomieszczenia będącego czymś na kształt ogromnego warsztatu artystycznego. Czekają na nią Matki z Soacha i inne osoby należące do MAFAPO. Malują swoje wspomnienia z poszukiwań bliskich. Na pracach powtarzają się wojskowe buty, liczba 6402 i drzewa. Mimo że od wydarzeń, które malują, minęło już ponad 14 lat, one opowiadają o nich tak, jakby miały miejsce wczoraj.

Blanca i Ana, kiedy opowiadają o swoich rysunkach, płaczą. Jaqueline głaszcze kobiety po głowach. Matki z Soacha żyją w zawieszeniu. W stanie nieustannej żałoby. Ani pakt pokojowy, ani Komisja Prawdy nie usmierzą ich bólu. Mogą go tylko usprawiedliwić.

© DOMA MATEJKO





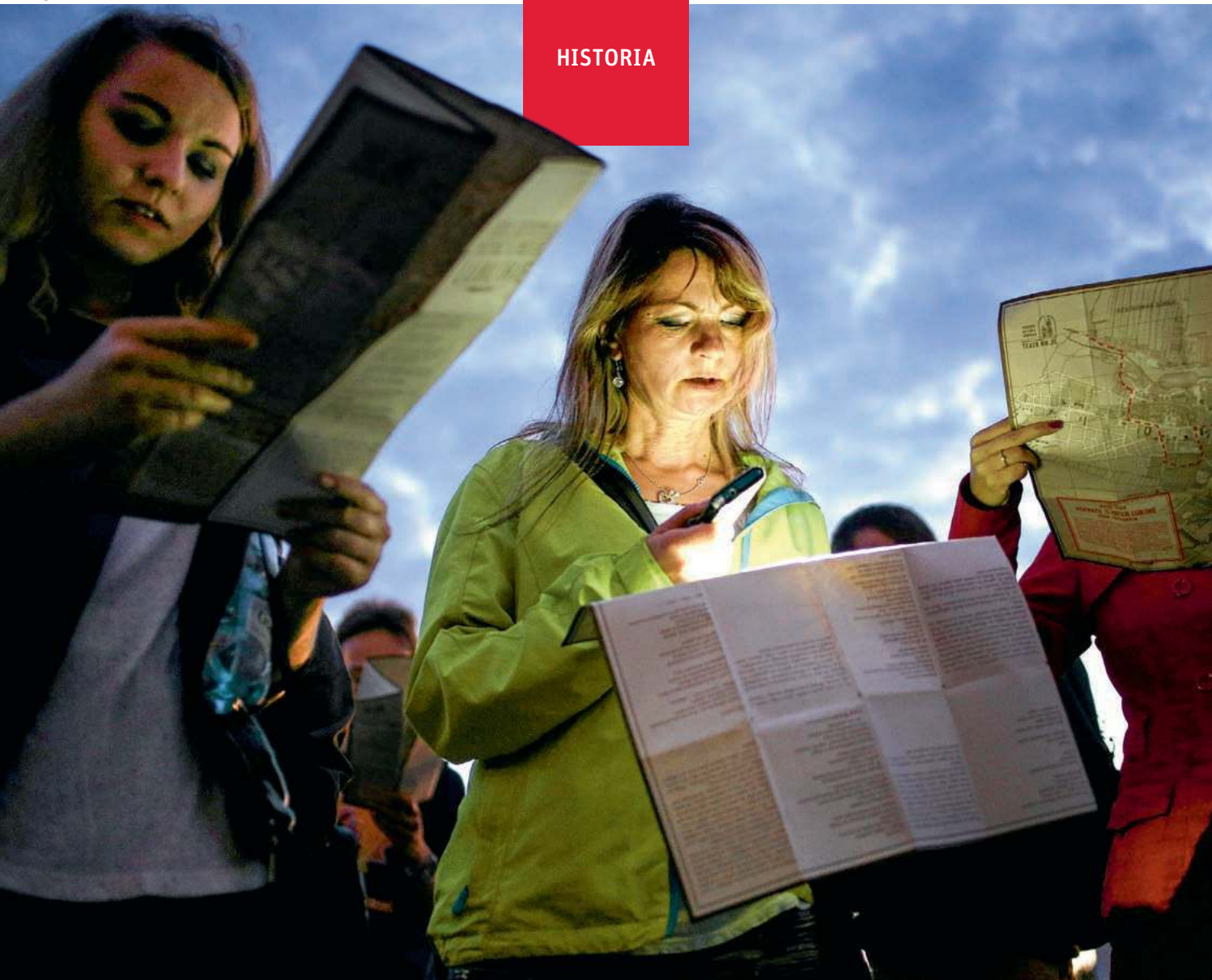
**Wszystkie strony świata – podcast naszych reporterów
Wojciecha Jagielskiego i Krzysztofa Storego**
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności Patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego





OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA



Spacer trasą „Poematu o mieście Lublinie” organizowany przez Ośrodek „Brama Grodzka” – Teatr NN, Lublin, lipiec 2016 r.

JAK W BAŚNI: SOWA I LIS RZĄDZĄ

„Miasto, które nie pamięta o swoim poecie – przemija”,
mówił nad jego grobem Miłosz. Do dziś w każdą pierwszą pełnię lipca
lublinianie wędrują ścieżkami Józefa Czechowicza.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

LUBELSKI CMENTARZ PRZY ULICY LIPOwej był dla znawcy polskich nekropoli, niezjącego już prof. Jacka Kolbuszewskiego, najpiękniejszym w kraju. Na pewno zgodziliby się z nim literaci, którzy przed stuleciem przychodzili tu w poszukiwaniu inspiracji.

To wtedy – w latach 20. i 30. XX wieku – Lublin stał się prawdziwym „miastem poetów”, którzy skupili się wokół swojej najjaśniejszej gwiazdy, Józefa Czechowicza. I to on właśnie, w towarzystwie Wacława Gralewskiego i Konrada Bielskiego, jakoś w 1927 r. postanowił udać się na cmentarz. Był „zamyślony i zasępiony”. Jeden z towarzyszy dla żartu zawołał: „Józiu, nie odwracaj się. Bo jeśli głowę odwrócisz, to ja tupnę w ścieżkę, a wtedy ukryta dźwignia poruszy się i wyrzuci w górę nieboszczyka, który spadnie ci na plecy!”.

Czechowicz, zapamiętał Gralewski, „krzyknął przeraźliwie, upadł na ziemię i uległ poważnemu atakowi nerwowemu”.

Następnego dnia, gdy towarzysze odwiedzili poetę, już spokojnie wyjaśnił: „W momencie gdy się odwróciłem, zobaczyłem poza cerkwią w stronie miasta jakby jakiś wybuch: widziałem w górę strzelające płomienie i kłęby dymu, a ze środka tej eksplozji jakby jakieś widmo wyciągało ku mnie długie, kościste ręce – jedną usiłowało złapać mnie za gardło, a drugą pokazywało na ziemię pod moimi nogami”.

Dziś niektórzy widzą w tym proroctwo, a owe 12 lat, jakie dzieliły te wydarzenia od września 1939 r., nazywają „kroniką zapowiedzianej śmierci”. Na pewno jest tak, że cierpienia mieszkańców Lublina mające nadejść wraz z II wojną światową można zrozumieć pełniej, gdy spojrzysz na nie właśnie z perspektywy biografii Czechowicza.

Fryzjerna zwana wiecznością

Józef Czechowicz i Lublin – miasto, w którym poeta się urodził (w 1903 r.) i w latach 20. XX w. objawił jako awangardowy twórca – to para doskonała, świetnie się uzupełniająca. Choć dzieje, jakie opowiada, nie są wesołe. Finał tej historii wpisuje się w wydarzenia września 1939 r. To od nich właściwie należałoby zacząć.

W pierwszych dniach niemieckiego ataku na Polskę Czechowicz był w War-

szawie, gdzie od niemal dwóch lat pracował w dziale literackim Polskiego Radia. W stolicy mieszkał od 1933 r. i współprowadził kilka pism, w tym, z Wandą Wasilewską, „Płomyczek” i młodzieżowy „Płomyk”.

Mimo to rodzinne miasto pozostawało dla niego najważniejsze. Wielokrotnie tu przyjeżdżał, organizował wydarzenia literackie. Także w pierwszych dniach wojny postanowił wracać nad Bystrzycę, choć nie znamy dokładnej daty, kiedy opuścił Warszawę. Wiadomo za to, że od lat obawiał się o swoje życie, ostatnie pół roku przed wybuchem wojny spędził wręcz w chronicznym lęku. Historycy literatury mówią o wątkach katastroficznych w jego twórczości, ale Czesław Miłosz, który się z nim przyjaźnił, widział tu po prostu człowieka „obsesję rychłej śmierci”.

Do dziś jest niejasne, kiedy i jak w początkach września Czechowicz dotarł do Lublina. Z obszernej noty Tomasza Pietrasiewicza, szefa Ośrodka „Brama Grodzka” Teatru NN, który organizuje lubelskie spacer-y poświęcone poecie oraz rekonstruuje jego biografię, dowiadujemy się, że są świadkowie, którzy widzieli go w Lublinie już wieczorem w piątek 8 września. Inni twierdzą, że przyjechał albo też pieszo przybył do miasta następnego dnia rano. Według różnych relacji, m.in. fotografa Edwarda Hartwiga, tuż przed bombardowaniem postanowił pójść do fryzjera i ogolić się.

Jeszcze w 1932 r., jako redaktor naczelný „Kuriera Lubelskiego” Czechowicz publikował w swojej gazecie reklamę tego miejsca: „Pierwszorządny Zakład Fryzjerski Męsko-Damski Ostrowskiej. Lublin Krak.-Przedm. 46 tel. 9-69. Wykonuje najmodniejsze fryzury podług najświeższych paryskich żurnali oraz wykwintne manicure dla Pana i Pani. Przyjemnia brwi i rzęsy na stałe w przeciagu 5 minut. Wykonanie solidne. Ceny najniższe”.

To właśnie tu zakończyła się ziemska historia Czechowicza.

A więc... uciekamy

Jeszcze w marcu 1939 r. premier Felicjan Sławoj Składkowski zdecydował, że w przypadku wybuchu wojny i zagrożenia dla Warszawy Lublin stanie się siedzibą rządu, a w okolicznych miasteczkach, „w promieniu do 100 km”, uloko-

wane zostaną ministerstwa. Nie zakładano zatem, że atak Niemców może być aż tak gwałtowny. Niemniej w pierwszych dniach wojny przystąpiono do realizacji wiosennych planów i do Lublina ruszyły masy przedstawicieli administracji oraz wojska. I kiedy drogi były już zakorkowane, panował na nich chaos i tyśiące ludzi gnało na Lublin, miejscowa prasa 1 września pisała: „Bez skutku pozostają wysiłki niemieckiej propagandy wszczęcia zamętu i załamania gospodarczego Polski. Wieś lubelska organizuje dożynki, pracując z całym spokojem i sumiennością”.

Jeszcze przez kilka dni miasto nad Bystrzycą żyło w świecie wyobrażonym. Z materiałów zebranych przez Ośrodek „Brama Grodzka” wynika, że 3 września na ulicach „pojawily się flagi, panował podniosły nastrój”. „Ekspress Lubelski” informował: „Lublin ma nadmiar artykułów spożywczych”, cukru jest „pod dostatkiem, a mąki aż za dużo”. Podobnie miało być z mięsem, bo „wstrzymane zostały dostawy eksportowe do Niemiec”. Zapewne szczytem myślenia życzeniowego stały się informacje z 8 września, kiedy „Głos Lubelski” pisał: „Berlin wali się w gruzy. Sześćset angielskich bombowców nad stolicą Rzeszy. Zakłady Kruppa... ruina”.

Mieszkańcy wiedzieli jednak, że sytuacja coraz bardziej się pogarsza. 2 września na Lublin spadły pierwsze bomby. Celem Niemców była Lubelska Wytwórnia Samolotów, gdzie pracowano nad egzemplarzami nowoczesnych maszyn rozpoznawczych LWS-3 „Mewa”. Zniszczone zostało również lotnisko w Świdniku. Szacuje się, że tego dnia zginęło bądź zostało rannych 200 osób.

Mniej więcej nazajutrz zaczęli docierać uchodźcy, a 7 września Zygmunt Klukowski, lekarz oraz kronikarz Lubelszczyzny i Roztocza, pisał, że miasto „wygląda wręcz przygnębiająco”. Z jego relacji wiemy też, że przybyli tu warszawscy „dygnitarze z rodzinami, ministrowie, wyżsi wojskowi, korpus dyplomatyczny [i] wszyscy pędzą na wschód i na południe”. Przy niejednym aucie można było dostrzec „chorągiewki państwowe”.

Klukowski konkludował: „Ucieka elita, wnosząc niesłychane zamieszanie graniczące z paniką, udzielającą się coraz szerszym warstwom społeczeństwa”. →

Bomba trach!

→ Z „Ognistych kół”, opowiadania o cechach reportażu autorstwa Wacława Gralewskiego, można wywnioskować, że Czechowicz wyruszył z Warszawy pieszo w towarzystwie literatów, Henryka Domińskiego, Kazimierza Wójcika i Stefana Górskiego. Po drodze zabrał ich samochód Polskiego Radia i do Lublina wjechali autem. Mężczyźni towarzyszyli Czechowiczowi także podczas wizyty u fryzjera.

Domiński wspominał: w zakładzie „bomba trach!”, wpadła do środka, wszyscy skoczyli w przeciwną stronę, a „Józef tymczasem rzucił się wprost na bombę, jakby go ciągnęła magnesem”. „Poszarpała, że nic z niego nie zostało”, a pozostali pod zwalami gruzu przeżyli. Domiński podkreślił też niekonsekwencję Czechowicza, który wcześniej się „bał tych bomb” i jeszcze podczas wychodzenia z Warszawy krył się przed każdym atakiem. „Co tylko samoloty wylecą, on już w rowie leży”, a w ostatniej chwili życia, paradoksalnie, sam ruszył ku niebezpieczeństwu.

Przez witrynę Józefa Czechowicza dostrzegł również inny pisarz, Stanisław Maria Saliński. Obaj się rozpoznali, Czechowicz przywoływał go nawet, ale wtedy spadły bomby.

Odgruzowywanie trwało około godziny. Z fryzjerni wyciągnięto śmiertelną ofiarę. Saliński twierdził, że zwłoki – jak uznał, Czechowicza – były „zupełnie zmiażdżone, jedynie nietknięty był znaleziony w kieszeni jego poszarpanej marynarki mały słownik polsko-niemiecki”. Byłby to potężny symbol, niczym Biblia, która w dziesiątkach podobnych opowieści jest jedynym artefaktem, uratowanym bez uszczerbku z pożogi czy zgliszczy.

Mimo to historia nie jest oczywista. Pietrasiewicz, który pozbierał różne wersje, pisze: „nie ma (...) pewności co do tego, kiedy (...) ciało [Czechowicza] zostało wydobyte spod gruzów, jak zostało zidentyfikowane i gdzie je pochowano”. Nie potwierdza też wersji ze słownikiem polsko-niemieckim i podaje alternatywną, jakoby miał w kieszeni słownik polsko-angielski. Dzieli włos na czworo i nie tai relacji, zgodnie z którą poetę wydobyto spod gruzów dopiero w październiku. Argumentem za tym byłby m.in. akt zgonu, który 26 października, już wobec niemieckich władz, podpisali „świad-

kowie śmierci” Czechowicza, Wójcik i Górski.

Istniały też świadectwa, jakoby poeta zginął nie w centrum, a na przedmieściach Lublina. „Nie mamy też pewności, czy został pochowany w zbiorowej mogile, czy też w pojedynczym grobie – konstatuje Pietrasiewicz i w ostatnim zdaniu noty pyta – Może pochówku nie było?”.

Dni trudne

Wydarzenia te, choć ważne, były epizodem w tym tragicznym dla Lublina dniu. Nikt się nie spodziewał tak masowego ataku. Obrona przeciwlotnicza w praktyce nie istniała, w efekcie niemieccy piloci po zrzuceniu bomb schodzili na niższy pułap i, niezagrożeni, atakowali miasto z broni maszynowej.

Tym razem ich głównym celem było samo serce Lublina, w tym siedziba władz oraz koszarzy przy ulicy Kraśnickiej.

Inny poeta, który uciekał z Warszawy i 9 września znalazł się w Lublinie, Aleksander Maliszewski, pisał, że ze wzgórz dzielnicy Sławinek nad rzeką Czechówką patrzył, jak na miasto spadają pierwsze bomby „po dwie, po trzy, migotliwym ukosem”, następują detonacje i „powoli rosną wysokie, białe kolumny; wygląda to jak wiraz starogreckich ruin”. Według jednej z wersji był to atak rozpoznawczy i z Maliszewskim obserwował go Czechowicz, który potem miał udać się do Śródmieścia.

Właściwe uderzenie nadeszło niebawem. Najprawdopodobniej było naprowadzane radiowo przez znajdującego się w Lublinie zdrajcę, Niemca Hansa Grabowsky'ego. To dzięki niemu hitlerowcy wiedzieli o obecności w mieście warszawskich tuzów i nawet podejrzewali, że kolumna samochodów, która ustawiła się koło magistratu, może należeć do naczelnych władz kraju. Stąd frontalny atak na Śródmieście i Stare Miasto.

Tamtego feralnego dnia, w efekcie największego bombardowania w historii miasta, zginęło, według różnych źródeł, od 600 do tysiąca mieszkańców oraz kilkudziesięciu przybyszów, w tym wóldarz Torunia, Leon Raszeja. Zniszczonych zostały dziesiątki budynków, głównie reprezentacyjnych i o walorach historycznych.

Ale najtrudniejsze psychologicznie chwile dla 120-tysięcznego Lublina nastały wieczorem, kiedy władze miasta, z prezydentem Bolesławem Liszkow-



skim na czele, postanowiły się ewakuować. Wraz z nimi Lublin opuściła policja oraz – co po bombardowaniu wydaje się szczególnie dotkliwe – zawodowa straż pożarna. Wymaszerowało też wojsko. Miasto w obliczu nieuniknionego szturmego pozostało samo.

Dowództwo cywilne przejął wówczas sędzia Sądu Apelacyjnego w Lublinie Stefan Lelek-Sowa, a wojskowe rotmistrz rezerwy Stanisław Lis-Błoński. Z rannych i ochotników sformowano na szybko dwutysięczny batalion, który bronił Lublina przez kolejne osiem dni. W tym czasie udało się odeprzeć kilka ataków Niemców, zestrzelić samolot, a także co najmniej raz przejść do kontrofensywy i przegonić rowerowy oddział rozpoznawczy Wehrmachtu.

Niestety szansa na pokonanie Niemców nie było. Bezcelowe było też tzw. wiązanie ich sił, bo nikt nie przyszedłby obrońcom z pomocą. Wieczorem 17 września po raz drugi władze opuściły miasto – choć tym razem było to prawdziwe wycofanie się, a nie ucieczka.

Chrońcie grób Józka

Po bombardowaniu lublinianie chcieli jak najszybciej pogrzebać swych bliskich.



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Powyżej: Spacer trasą „Poematu o mieście Lublinie”, lipiec 2016 r.

Po prawej: Józef Czechowicz, zdjęcie niedatowane

Po mieście zapewne jeździła zbierająca zwłoki furmanka. Jeśli tak, jakiś „strzęp ciała” Czechowicza został przywieziony „na [lubelski] cmentarz przy ulicy Lipowej – zakłada Pietrasiewicz – i tam pochowano [go] w szybko przygotowanej mogile, w której spoczywa 9 osób, w tym dwie anonimowo”.

Następnie, w dniu, gdy podpisano akt zgonu – 26 października – najprawdopodobniej odnaleziono inny fragment ciała i złożono go na tym samym cmentarzu, ale w innej kwaterze, i tę mogiłę do dziś uznaje się za oficjalne miejsce pochówku poety.

Później nad śmiercią i grobem Czechowicza rozmyślał Miłosz. W „Traktacie poetyckim”, opublikowanym w 1956 r., prosił ptaki: „Od czasu chrońcie grób Józka w Lublinie”, bo on sam nie mógł się stawić. W końcu w 1981 r. przyjechał do Lublina odebrać honorowy doktorat i, a jakże, poszedł na



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

cmentarz, bo obiecał sobie zapalić „Józefowi świeczkę”. Wrócił jeszcze do miasta nad Bystrzycą w 1999 r. i również udał się na Lipową. Towarzyszył mu wtedy prof. Władysław Panas i to on zakarbował sobie, że Miłosz powiedział wówczas: „pamiętajcie o grobie Józka, bo miasto, które nie pamięta o swoim poecie – przemija”.

Panasowi słowa te nie dawały spokoju i w 2003 r. wcielił w życie *idée fixe* upa-

miętnienia lubelskiego poety oraz jego miasta. Wtedy też pierwszy raz wyruszył na spacer trasą „Poematu o mieście Lublinie” Czechowicza.

Do dziś w każdą lipcową pełnię lublinianie i przybyli z całego świata lublinierzy wędrują przez swoje miasto. Pamięć wydreptana, mury zachowane – można by powiedzieć – i życie trwa.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

JAK SIĘ BRONIĆ PRZED SEPSĄ

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, ANESTEZJOLOG:

Układ odpornościowy ratuje nas niezliczoną ilość razy. Ale kiedy dojdzie do błędów w jego działaniu, następuje kaskada zdarzeń zagrażających życiu.

MACIEJ MÜLLER: Sama nazwa budzi lęk.

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK: Dawna nazwa brzmiała chyba jeszcze gorzej: posocznica.

Profesorowie medycyny utyskują, że nawet lekarzom zdarza się za pomocą tego słowa wprowadzić odbiorców w błąd. Wcześniej tak bywało, kiedy do obiegu publicznego trafiały „tracheotomia” albo „śpiączka farmakologiczna”.

Stosowanie pojęć medycznych bez wyjaśnienia ich znaczeń i pozwolenie na kształtowanie się w opinii publicznej wyobrażeń, co się za nimi kryje – może być szkodliwe, np. budzić nieuzasadniony lęk. Podczas pandemii niefachowe wypowiedzi na temat mechanicznej wentylacji i leczenia respiratorem wytworzyły przekonanie, że mają one coś wspólnego z nieuchronną śmiercią pacjenta.

A jeśli chodzi o sepsę, to z niezrozumieniem tego pojęcia spotykam się także wśród personelu medycznego. W przekazie medialnym na ogół słyszymy o stanach fachowo zwanymi ciężką sepsą czy wstrząsem septycznym, czyli rodzajami sepsy poważnie zagrażającymi życiu. Słyszymy np., że żołnierze w koszarach albo dzieci w przedszkolu „zarażają się

sepsą”. Chodzi wtedy na ogół o łatwo rozprzestrzeniające się w zamkniętych przestrzeniach infekcje meningokokowe albo pneumokokowe.

A więc pierwszym krokiem do sepsy jest infekcja. Czyli?

Czyli każde przedostanie się drobnoustroju do organizmu człowieka, które powoduje reakcję układu odporności. Zakażenie górnych dróg oddechowych skutkuje kaszlem, układu pokarmowego – nudnościami lub biegunką. Tym objawom towarzyszą zmęczenie, ból głowy, osłabienie, gorączka. Wszystko to dzieje się dlatego, że nasz organizm zaczyna się bronić przed zakażeniem – i w znacznej większości przypadków udaje mu się patogenu pozbyć, np. po tygodniowej walce.

Co dokładnie się dzieje podczas tej walki?

Działanie układu immunologicznego jest bardzo złożone. Żeby reakcja była prawidłowa, ogromna liczba skomplikowanych mechanizmów musi działać harmonijnie: część uruchamia się natychmiast, część z opóźnieniem. Komórki odpornościowe, które jako



Oddział covidowy w szpitalu wojewódzkim w Lublinie. 9 stycznia 2021 r.



→ pierwsze znajdą się na miejscu zdarzenia, sygnalizując pozostałym, co się stało i jaki patogen wniknął do organizmu. Wtedy nadciągają posiłki.

Co musi się zdarzyć, żeby doszło do sepsy?

W komunikacji między komórkami odpornościowymi może dojść do zaburzeń. W rezultacie np. może przybyć za dużo posiłków. Ten nadmiar zaczyna się odkładać, powstaje ziarnina, a narząd, o który toczy się walka, zaczyna ulegać uszkodzeniu. Działanie układu odporności, które miało zlikwidować infekcję, napędza stan zapalny – co z kolei organizm rozpoznaje jako czynnik zagrożenia i wysyła tam kolejne siły. Dochodzi do trudnej do zatrzymania kaskady nieprawidłowych reakcji. Stan zapalny ogarnia kolejne narządy – płuca, ośrodkowy układ nerwowy, nerki, układ krążenia – i zaczyna je uszkadzać. Wtedy mówimy o sepsie. Fachowo rzecz ujmując, jest to zagrażająca życiu dysfunkcja narządów spowodowana nieadekwatną reakcją organizmu na zakażenie.

Do sepsy często dochodziło w przebiegu covidu: reakcja organizmu na wniknięcie koronawirusa bywała niezwykle gwałtowna. Można powiedzieć, że wirus był mniej groźny niż odpowiedź organizmu mająca go zlikwidować.

A wydawało się, że nasz układ immunologiczny jest genialnym wynalazkiem ewolucji.

Bo jest i w ciągu całego życia ratuje nas niezliczoną ilość razy! Tutaj mówimy o błędach w jego działaniu. Dochodzi do nich, kiedy patogen jest szczególnie zjadliwy (czyli bardzo skutecznie się mnoży), kiedy organizm styka się z zagrożeniem do tej pory nieznanym (jak SARS-CoV-2), albo kiedy układ odpornościowy jest osłabiony przez niektóre leki, choroby przewlekłe (cukrzycę, choroby serca, płuc itp.), nadmiar stresu, podeszły wiek. Albo – jeśli infekcji doznaje niemowlę, którego układ immunologiczny jeszcze się nie wykształcił.

Jaka jest śmiertelność?

W ciężkiej sepsie sięga 30-40 proc., ale jeśli dojdzie do niewydolności układu krążenia, przekracza 50 proc. Rocznie na całym świecie sepsa zabija ponad 11 milionów ludzi w każdym wieku.



GRAZYNA MAKARA

PROF. WOJCIECH SZCZELIKI jest kierownikiem Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie. Ma specjalizacje z chorób wewnętrznych, anestezjologii i intensywnej terapii oraz immunologii klinicznej.

Czy na Pana oddziale często leżą pacjenci z sepsą?

Nieustannie. Na intensywnej terapii stanowią jakąś połowę pacjentów – i tak jest w każdym szpitalu.

Skoro sepsa to „część wspólna” różnych infekcji, to czy ma znaczenie, jaki patogen do niej doprowadził?

Kluczowe! Od wykrycia tego zależą szanse na wyleczenie.

Jak wygląda śledztwo?

Wiele informacji przynosi wywiad – np. że u chorego pojawił się kaszel, płwocina podbarwiona krwią albo ropnie. Jeżeli mamy podejrzenie zakażenia, a równocześnie obserwujemy objawy niewydolności narządowej – istnieją poważne przesłanki do rozpoznania sepsy. Jeśli doszło do uszkodzenia któregoś z kluczowych narządów i do zajęcia układu sercowo-naczyniowego, mówimy o wstrząsie septycznym.

Da się z niego wyjść?

To jest właśnie ten przypadek, kiedy śmiertelność sięga 50-60 proc.

Co lekarze mogą zrobić?

Leczenie odbywa się dwutorowo: po pierwsze, stabilizujemy układ krążenia,

podajemy płyny i leki podtrzymujące pracę serca. Po drugie, diagnozujemy źródło infekcji, pobieramy posiewy z krwi, z dróg oddechowych albo z rany, jeśli pacjent jest np. po wypadku. Gdu pacjent ma wkłucie centralne albo inne kaniule założone w szpitalu, usuwamy je, bo one też mogą być źródłem zakażenia. Nie czekając na wyniki, bo każda godzina jest cenna, włączamy antybiotyki o szerokim spektrum i inne leki przeciwdrobnoustrojowe: to daje jakąś szansę, że trafimy w patogen od razu. Ale dopóki posiewy nie przyniosą odpowiedzi, musimy zgadywać. Ważne jest też to, z jakiego oddziału czy szpitala pacjent do nas trafił, jakim zabiegom był poddawany, czy wcześniej się na coś leczył. Kiedy spłyną wyniki testów diagnostycznych, modyfikujemy stosowane antybiotyki, wybierając te bardziej „celowane”.

Wtedy sepsa ustąpi?

Szanse na wyjście z niej są tym większe, im szybciej trafimy z leczeniem. Im więcej narządów stało się niewydolnych, tym trudniejsze jest zatrzymanie tej samonapędzającej się maszyny. Łatwiej zlikwidować bodziec, który do tego wszystkiego doprowadził, czyli np. bakterię, niż powstrzymać układ immunologiczny przed dalszą destrukcją organizmu. Staramy się to robić za pomocą leków przeciwzapalnych i modyfikujących odpowiedź immunologiczną. Ważnymi lekami stosowanymi w sepsie, ale nie w każdym jej rodzaju, są kortykosteroidy, popularnie zwane sterydami.

Czy pacjent może całkowicie wrócić do zdrowia?

Absolutnie tak. Ale znowu: im szybsza będzie diagnostyka i wdrożenie leczenia, tym mniejsze ryzyko, że dojdzie do nieodwracalnego uszkodzenia nerek czy płuc, co mogłoby prowadzić do niepełnosprawności.

Ile czasu mają lekarze, tzn. jak szybko może zabić sepsa?

To zależy od rodzaju patogenu i sprawności funkcjonowania układu immunologicznego. Dla przykładu ciężkie zakażenie meningokokowe lub paciorkowcowe, o których wspomnieliśmy na wstępie, są w stanie doprowadzić do śmierci w ciągu 12-24 godzin od wystąpienia objawów.

Dlatego tak ważna jest w sepsie wczesna diagnostyka – na którą w tym roku zbierała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Z tych funduszy zakupiono maszyny do bardzo nowoczesnej diagnostyki w oparciu o identyfikację materiału genetycznego patogenu. Nie trzeba wtedy z wdrożeniem odpowiedniego leczenia czekać na posiew i zyskujemy bezcenne godziny. Taki zastrzyk sprzętowy jest potrzebny zwłaszcza mniejszym placówkom.

Anestezjolog prof. Andrzej Kübler, prezes Stowarzyszenia „Pokonać Sepsę” i wieloletni kierownik Katedry i Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, wielokrotnie wzywał do stworzenia Narodowego Programu Walki z Sepsą.

Prof. Kübler jest chyba pierwszą osobą, która zwróciła uwagę polskiej opinii publicznej na problem sepsy. Przez długi czas prowadził lokalny rejestr przypadków sepsy, który dostarczał wielu informacji o jej przypadkach w województwie dolnośląskim. Był to jednak rejestr nieobowiązkowy, a więc obarczony pewnym ryzykiem błędu, a po pewnym czasie przestał funkcjonować.

Trudno się walczyć z czymś, o czym niewiele wiadomo. A brak ogólnopolskiego rejestru przypadków sepsy, który zawierałby informacje o objawach, podjętym leczeniu i wynikach, sprawia, że nie mamy wglądu w sytuację epidemiologiczną w Polsce. Żeby mieć wyobrażenie o jej skali, musimy np. ekstrapolować dane brytyjskie. Brak rejestru utrudnia też postępowanie z konkretnym pacjentem: jeśli zostaje on przeniesiony na intensywną terapię z któregoś z innych oddziałów mojego szpitala, to wiem, w kierunku jakich patogenów go przebadać, bo znam rozkład częstości zakażeń występujących w naszej placówce. Ale jeśli przyjedzie z innego szpitala – będziemy poruszać się po omacku. Dzięki rejestrowi znałbym sytuację epidemiologiczną w skali każdego szpitala, miasta i województwa. A tak, to nie wiemy nawet, ile osób w Polsce umiera rocznie z powodu sepsy. Podawana często liczba 50 tys. opiera się na szacunkach.

W Polsce brakuje krajowego rejestru przypadków sepsy, z informacjami o objawach, podjętym leczeniu i wynikach.

Nie wiemy nawet, ilu pacjentów rocznie umiera.

Stworzenie rejestru to takie wielkie wyzwanie dla państwa?

Nie, bo dobrze zaprojektowany algorytm potrafiłby ściągać i porządkować dane z systemów informatycznych szpitali. Danych nie brakuje, bo każda placówka szczegółowo raportuje świadczenia do NFZ. Trzeba wydzielić zakres potrzebnych informacji, przetestować system w kilku placówkach, a potem wdrożyć go w skali Polski. Ale tak się nie dzieje. Od lat brakuje woli politycznej – bez względu na to, kto jest u władzy. Rządzący mają najwyraźniej opór przed tworzeniem systemu, który pokazywałby czarno na białym, jak poważne jest zagrożenie ze strony sepsy.

W wielu szpitalach działają za to zespoły wczesnego reagowania.

Czym one są?

Pierwsze zespoły wczesnego reagowania wprowadzaliśmy wraz z prof. Romanem Jaeschke z Kanady i z grupą entuzjastów przed kilku laty na wzór zachodni. Obecnie funkcjonują w wielu szpitalach w Polsce. Są to wielospecjalistyczne zespoły złożone z osób doświadczonych w leczeniu stanów nagłych, których głównym zadaniem jest identyfikacja oraz pomoc pacjentom szpitalnym, których stan gwałtownie się pogarsza – najczęstszym wezwaniem jest właśnie sepsa. Nie jest to wcale proste, przecież bardzo wielu pacjentów leczonych w szpitalu ma gorączkę, szybszą akcję serca albo problemy z oddychaniem, a trzeba zidentyfikować tych, u których faktycznie postępuje niekontrolowany stan zapalny i rozwija się sepsa. Wtedy liczy się każda minuta i szybsza interwencja niejednokrotnie ratuje życie chorych.

A czy osobą, która najwcześniej dostrzeże niepokojące objawy, nie jest pielęgniarka?

Zdecydowanie tak, najwięcej wezwań pochodzi właśnie od pielęgniarek, które zauważyły coś niepokojącego, np. że kontakt z chorym się pogorszył, wystąpiły drgawki, utrata przytomności, spowolnienie albo przyspieszenie akcji serca, które nie reaguje na leczenie, itp. Jeśli personel oddziału nie jest w stanie odpowiednio zareagować – bo np. pacjent leży na neurologii, a doszło do niewydolności oddechowej, z którą personel nie ma na co dzień do czynienia – wtedy do akcji wchodzi zespół wczesnego reagowania.

Wspomniał Pan, że zna listę bakterii występujących w Pana szpitalu. Czy chodzi tu o problem zakażeń wewnątrzszpitalnych?

Tak. Są to zakażenia szczególnie niebezpieczne dla zdrowia, z kilku względów. Po pierwsze, stosowanie w szpitalu antybiotyków sprzyja mutowaniu bakterii w kierunku odporności na nie. W efekcie powstają szczepy niewrażliwe na jakiekolwiek znane nam leczenie. Po drugie, na oddziałach nie leżą ludzie zdrowi, tylko z różnych powodów osłabieni; ich układ odpornościowy nie funkcjonuje optymalnie. Infekcja takimi patogenami może być dla nich bardzo niebezpieczna.

Głównym powodem powstawania tych tzw. lekoopornych szczepów bakterii jest nadużywanie antybiotyków. Na przykład wielu pacjentom chorym na covid lekarze POZ aplikowali antybiotyki, mimo że to była choroba wirusowa; to samo zdarza się w przypadku grypy czy zapalenia gardła. Antybiotyki są też często błędnie stosowane w szpitalach: np. nieadekwatnie do schorzenia włącza się antybiotyki „z najwyższej półki”, takie do stosowania w szczególnych przypadkach. Gdy dochodzi do zakażenia „wyhodowanymi” w ten sposób bakteriami, jesteśmy w zasadzie bezbronni. Oczywiście nie poddajemy się, staramy się ustabilizować stan chorego i nierzadko udaje się w końcu zwalczyć infekcję.

Prof. Kübler zwraca uwagę, że polskie szpitale zrezygnowały z utrzymywania oddziałów opieki pooperacyjnej. W rezultacie pacjent po pobycie na doskonale wyposażonej

⇒ **intensywnej terapii trafia na zwykłe łóżko szpitalne.**

Tutaj chodzi o oddziały wzmożonego nadzoru, coś pośredniego między interną a intensywną terapią. Nie powiedziałbym jednak, że z nich zrezygnowaliśmy: one tak naprawdę nigdy w naszym systemie nie funkcjonowały. W niektórych szpitalach część łóżek oddziałów internistycznych czy chirurgicznych jest wyposażona w sprzęt potrzebny do wzmożonego nadzoru: pacjent jest dokładniej monitorowany, jest do niego przypisana większa liczba lekarzy i pielęgniarek. Liczba takich miejsc jest jednak zdecydowanie za mała.

A liczba miejsc na intensywnej terapii jest w skali Polski wystarczająca?

Mamy ich nieco mniej, niż wynoszą standardy, czyli 2 proc. łóżek w szpitalu. Ale nie upatruję w tym problemu, pandemia pokazała, że w razie potrzeby jesteśmy w stanie dosyć sprawnie zwiększyć ich liczbę. Myślę, podobnie jak prof. Kübler, że brakuje nam nie tyle miejsc intensywnej terapii, co właśnie dobrze monitorowanych miejsc na innych oddziałach.

A co Pan myśli o promowanym od kilku lat projekcie, żeby wykształ-

Rządzący mają najwyraźniej opór przed tworzeniem systemu, który pokazywałby czarno na białym, **jak poważne jest zagrożenie ze strony sepsy.**

cić lekarzy intensywiści, którzy by nie byli anestezjologami? Pytam o to w kontekście leczenia sepsy – w szpitalach przybyłoby specjalistów od jej leczenia.

To drażliwy temat, który mocno podzielił środowisko. W niektórych krajach europejskich istnieje możliwość szkolenia się w intensywnej terapii po specjalizacjach innych niż anestezjologia. W Polsce też powstała taka możliwość, choć w zasadzie tylko teoretycznie, bo nigdy nie sprecyzowano programu, a miejsc szkoleniowych jest niewiele.

Poza tym sepsa nie jest schorzeniem przypisanym do specjalistów intensywnej terapii. Potrzebny zasób umiejętności do diagnozy i leczenia mają interniści czy chirurdzy. A tak naprawdę to w dzisiejszych czasach każdy pracownik szpitala powinien orientować się w tematyce sepsy.

A co powinni o niej wiedzieć zwykli ludzie; czy da się w ogóle ocenić poziom zagrożenia w warunkach domowych?

Na pewno da się zauważyć „czerwone flagi”, które wskazują, że infekcja staje się potencjalnie groźna dla życia bliskiej nam osoby. Powinno nas zaniepokoić, jeśli występuje bardzo wysoka i nieustępująca gorączka, problemy z oddychaniem – przyspieszony, ciężki oddech (więcej niż 22 na minutę), przyspieszona akcja serca (więcej niż 100 uderzeń na minutę, słabo wyczuwalny puls) czy zaburzenia świadomości. Obrazowo rzecz ujmując, chory „leci nam przez ręce”, nie ma na nic siły. W takiej sytuacji należy wezwać pomoc medyczną. Jeśli układ odpornościowy chorego jest osłabiony ze względu na przyjmowane leki albo upośledzony z powodu np. choroby nowotworowej, nasze wyuczulenie na niepokojące objawy powinno być tym bardziej nasilone. W takim przy-

padku być może warto skorzystać z porady lekarza od razu po pierwszych objawach infekcji.

Chcę też powtórzyć coś, co podkreślałem podczas pandemii: kluczowy dla naszego zdrowia, a także dla przebiegu zakażeń, jest styl życia. Sport, dobre odżywianie, wysypianie się, ograniczanie stresu, porzucenie palenia, zminimalizowanie ilości spożywanego alkoholu – to są czynniki, które wpływają na skuteczność działania układu immunologicznego, a więc i ograniczają możliwość wystąpienia sepsy. Ogromne znaczenie ma po prostu codzienne dbanie o siebie.

XVIII-wieczny chirurg John Hunter pisał, że „zapalenia samego w sobie nie uznaje się za chorobę, lecz za działanie pożyteczne. Gdy jednak nie osiąga pożytecznego celu, wyrządza krzywdę”. Najwyraźniej opisał coś, co dzisiaj nazywamy sepsą – czyli ona nie jest nowym zjawiskiem. Kilka lat temu WHO umieściło walkę z sepsą na szczycie listy globalnych priorytetów. Czy należy z tego wnioskować, że współcześnie ten problem zdrowotny się nasila?

Sepsa jest stara jak świat, ale faktycznie przypadków sepsy w ostatnich latach zdecydowanie przybywa, co można powiązać ze starzejącym się społeczeństwem w wielu krajach zachodnich, jak również ze słabszą odpornością. Pandemia i związane z przejściem covidu powikłania dodatkowo pogorszyły sytuację.

Czy jest szansa na postęp technologiczny w leczeniu sepsy?

Wątpię w wynalezienie jeszcze lepszych antybiotyków. Na tym froncie od wielu lat nic się spektakularnego nie dzieje. Liczę natomiast na postępy w opisywaniu nieprawidłowej odpowiedzi immunologicznej i hamowaniu postępów sepsy. Druga rzecz to kwestia coraz szybszego wykrywania sepsy – na tym polu osiągnięcia w ostatnich latach są spore. Być może wkrótce większość testów będzie można przeprowadzić przy łóżku chorego, np. z nakłucia palca. Kluczowa jest też świadomość, jakim zagrożeniem jest sepsa, i myślę tu zarówno o opinii publicznej, jak i o wszystkich medykach.

© P Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIE



ŁÓDŹ: Jesteśmy pierwszym Klubem „Tygodnika Powszechnego” powstałym 16 lat temu! Chcesz stać się częścią naszej historii, dołącz do Klubu „TP” w Łodzi.

Koordynator
Piotr Białkowski
lodz@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP” na klubtygodnika.pl



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

ELIZA

Kacka:

Życie bez odkrywania



AUTOBUS 180, PARA STARUSZKÓW. ON: „ŚNIŁ mi się prezes. napisała do niego daleka wyspa, że chce wprowadzić u siebie Polskę”. „wprowadzić?”. „no, że chcą Polski u siebie”. „Polska jest jedna!”. „przysłali po niego samolot”. „samolot?! nie daj Boże”. „z samolotu wyszli do prezesa Indianie w kwiatkach i owocach. z darami, wiesz, jak dla naszego papieża”. „ale że co, miałby ich nawracać? w najlepszych swoich latach?”. „w moim śnie to byli Indianie wierzący. pewnie po pielgrzymce papieskiej”. „aha”. „i ten ich król złożył dużą ofiarę za ubiór prezesa”. „?!”. „chciał Polsce dać surowce za garnitur”. „niech nosi liście! nasz prezes prawie nic nie ma!”. „dawał górę złota. i całe skrzynie diamentów za nasze rozwiązania”. „no ja myślę”. „prezes kazał im zacząć od naszego referendum, dostali w kopertach”. „dobrze”. „kazał im uczyć się hymnu”. „wiesz co, Włodziu: jak się raz rozmrozi mięso, to trzeba szybko zjeść, a nie znowu mrozić. mogłeś kotu dać”.

I odziarnia w Lidzbarku Warmińskim. przy sąsiednim stole dwie, starsza w białej bluzce, z bukietowietchciem – jak to na Matki Bożej Zielnej. „mamaaa, a skąd ty masz bukiet?”. „muszę mieć! zawsze mam do święcenia”. „dobra, ale to chyba są mieczyki z ogrodu pana Romka?”. „a bo wystawały po naszej stronie płota”. „mamaaa, to jest trochę kradzież?”. „nie, bo ja zrobiłam dobrze!”. „i co teraz z tym?”. „a wrzucę panu Romkowi z powrotem na ogródek”. „mama!!!”. „no co? pomidory mu nie idą, ogórek karłowaty. Zielna pomoże”. „tak to sobie wymyśliłaś... to chociaż wstążkę zdejm”. „nie!”. „bo co?”. „jak święcone naruszę, to mi ogród szczieńnie”.

Wycieczka sentymentalna z Rudą na stary plac zabaw w LW. przy piaskownicy młodzi z dwójką dzieci, opodal pani w średnim wieku. wyciągamy notesik. młoda: „Maciek, weź coś powiedz!”. „bo?”. starsza: „a co? spokojnie siedzi”. młoda: „bo on się ze sobą bawi”. „też się ze sobą bawiłaś, nie chciałaś z koleżanką?”. „nie, mama, chodzi o brzydką zabawę”. „ukradł coś?”. „nie, on się dotyka ostatnio”. „a to niedobrze!”. młody: „dobradobra, chłopcy zawsze tak mieli”. starsza: „to dziecko! nie powinien wiedzieć w ogóle, że coś tam ma”. młody: „ta, do ślubu”. starsza: „do pełnoletniości. potem powinienesz z nim porozmawiać”. młoda: „teraz się wcześniej, mama, odkrywa ciało”. starsza: „dobry katolik

przeżyje życie bez odkrywania. przekazałam wam nasz obraz Świętej Rodziny”. młody: „tak trzeba żyć”. starsza: „a żebyś wiedział. odkrywają niech sobie ateści”. młoda: „Krzyś ma anioła stróża nad łóżkiem”. starsza: „powierzajcie mu dziecko. i niech się aniołkowi przygląda, od razu mu przejdzie”.

Półnowieczorny spacer w LW, okolice rynku. od Góry Krzyżowej, od południa miasto naciąga na siebie ciemną płachtę, powoli, leniwie, ale i tak całun niedługo pokryje domy w dolince. stoję na stabilnej osi deptaku i obracam się, by złapać kontrast. idą po kolei: bloki od północy z tłem brudnym z błękitnym zaciekiem, ciemny masyw kamienic jak wklejony na matowoszary lity papier, zamek lewitujący w dyskretnej iluminacji, zarazem wyolbrzymiony grą cieni i ezoterycznie lekki, dryfujący nad fosą. i dalej: zielonkawa poświata od Łyny, czarniawa plama kamienic podchodzących pod farę potężniejącą na tle mrocznych wzgórz i czarno-rudawego nieba z nitkami złota. patrzę w ten horyzont jak w obraz tasujący faktury na ciężkim, oleistym jak lawa z ognistymi pęknięciami tle. „dobry ten mrok, prawda?”. na ławce przy klombach siedzi starszy pan, nie dostrzegłam. mówię: „ano”. „zawsze nocą wychodzę, w dzień tylko zakupy”. „aha”. „ale wyjścia robię nocne. bo to nocne miasto”. „a to ciekawe”. „tak, pochodzę z Gdańska. jest piękny za dnia, ale nocą mnie nie zadowalała, zacząłem szukać. Lidzbark był dla mnie martwym punktem, ale kilka lat temu zatrzymałem się tu u dalekich krewnych. i wyszedłem w miasto. i zostałem”. „nie lubiłam tego miasta jako dziecko, ale nie wychodziłam nocą”. „a, to pani nic nie wie. Lidzbark ożywa jak ćma wokół lampy, nocą. ożywa jakąś tajemnicą. nie znam się na tym, ale zawsze chciałem to robić na emeryturze”. „co?”. „no, obserwować, wie pani, taką ciemność, która żyje. organizm miasta. w Gdańsku tego nie było, tylko ładność. a tu ja się czuję ciągle jak ktoś, kto wywabia zwierzę z nory. co noc wychodzę i sprawdzam, czy wyszło”.

Sklep w LW, dwie w wieku średnim w kolejce do kasy. „idziesz na zamek?”. „a co dają?”. „jubileusz miasta ogólnie. i jakieś wręczenia”. „będzie bufet?”. „nie napisali. koleżanka mówiła, że będzie koncert”. „długo?”. „pewno nie”. „a nie wiesz, czy sama muzyka, czy będą śpiewać?”. „chyba będą”. „ale nie opera, co nie, tylko wykonawcy?”. „słuchaj, chyba wykonawcy, ale ci nie dam gwarancji”. „dobra, będę”. „też nie lubisz opery?”. „wiesz, Jola, ja nie lubię muzyki bez tekstu, bo się męczę”. „Boże, ja też”. „a opera ma niby tekst, ale ja ci powiem...”. „no...”. „ja się nie znam, ale oni udają, że tam jest tekst”. „taaaak???”. „no weź raz posłuchaj. przecież to jest udawane. pamiętasz, jak się bawiliśmy w przedszkolu, że mówimy po francusku?”. „tak!!!”. „no to opera tak udaje”. „Boże, jej, to smutne”. „spoko, nie będziemy tego rozgłaszać. jeszcze pociągną”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nowość!

PEŁNE DOŚWIADCZENIE TYGODNIKA W DOBREJ CENIE

Najlepsza opcja!

Papierowy premium + cyfrowy roczny



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Gwarancja szybkiej dostawy
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

729,99 zł

Papierowy + cyfrowy



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
 - Natychmiastowy dostęp
 - Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

599,99 zł

Prenumerata roczna



- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Nie musisz szukać w kiosku

550,00 zł

Prenumeratę papierową + cyfrową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY

SALESi||manago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



www.nagrodaliterackagdynia.pl

18. Nagroda Literacka GDYNIA

JERZY JARNIEWICZ

**W ciągu osiemnastu lat udało się Gdyni wyłowić
niejedną książkę intrygującą czy wręcz znakomitą.
To cieszy, ale i niepokoi, bo takim odkryciom
towarzyszy świadomość, że mało brakowało,
a książka ta mogłaby przepaść w jednej z czarnych dziur rynku.**

To już osiemnasta odsłona Nagrody Literackiej GDYNIA. Powołana do życia w 2006 roku, osiągnęła pełnoletność, ma już za sobą burzę hormonów, trądzik młodzieńczy i maturę, jesienią będzie głosować.

Gdy powstawała, była jedyną ogólnopolską literacką nagrodą samorządową. Od tego czasu zagęściła się od nagród literacka mapa Polski, a mimo to NLG jest nadal jedyną nagrodą przyznawaną w czterech kategoriach; jedyną też, która honoruje pracę tłumaczy na równi

z twórcami literatury rodzimej (w tym roku nie bez kozery wśród jej partnerów znalazło się nieocenione Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury).

Nagrodę Literacką GDYNIA wyróżnia wypracowywany przez lata – we wcale nie metaforycznym pocie czoł – sposób ↗

→ wyłaniania książek nominowanych i nagradzanych. Zanim ogłoszona zostaje lista dwudziestu nominacji, siedmioosobowa kapituła spotyka się cztery, pięć razy na długich, zazwyczaj sześciogodzinnych posiedzeniach, wyborów dokonując poprzez dochodzenie do konsensusu.

Wzajemne przekonywanie się wymaga gruntownej znajomości omawianych książek i gotowości do weryfikowania własnych opinii, to zrozumiałe, ale jeszcze bardziej tego, co nazwałbym krótko „żarem”. Jak to się udaje, przy tak zróżnicowanym zespole jurorów, sam często zachodzę w głowę. Co roku boję się, że tym razem do zgody dojść się nam nie uda, że trzeba będzie po prostaku głosować, oddać władzę matematyce, ze skutkiem takim, że część z nas musiałaby podpisać się pod werdyktem, z którym się zdecydowanie nie zgadza.

Co roku dostajemy około pół tysiąca tytułów do oceny. W Gdyni nie ma preselekcji, sami to wszystko czytamy, maile jurorów krążą setkami, donosząc, że coś zachwyca, coś innego wzbudza uczucia mieszane, coś wreszcie wygląda na wydawniczą pomyłkę. W ciągu osiemnastu lat udało się NLG wyłowić niejedną książkę intrygującą, czy wręcz znakomitą, ale przeoczoną przez recenzentów i krytyków, faktycznie nieobecną w czytelnicznym obiegu. To cieszy. Cieszy, ale i niepokoi, bo takim odkryciom towarzyszy świadomość, że mało brakowało, a książka ta mogłaby przepaść w jednej z czarnych dziur rynku.

Ponieważ pamiętam lata, kiedy na książki się „polowało”, bo były cenne jak cebulki rzadkich odmian tulipanów, nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę mówił o ich nadprodukcji. A jednak kiedy dowiaduję się, że w Polsce w 2021 r. ukazało się 31 tysięcy – premierowych! – tytułów, co przekłada się na 85 tytułów dziennie, popadam w podszyte bezradnością zwątpienie: czy ktokolwiek zdoła to przeniknąć i przesiać? Jak wielu skarbowi pozwalamy zaginać? Czy możliwy jest powrót raz przeoczonej książki?

W Gdyni nie wykluczamy tytułów już głośnych, którymi przez miniony rok żywiły się media, są wśród naszych laureatów, ale, być może, podważany ostatnio lekką ręką sens istnienia nagród literackich kryje się w tym, że rolę przypadku w losach książek potrafią skutecznie ograniczyć.

© JERZY JARNIEWICZ

Przewodniczący Kapituły NLG

Atrapy życia i wieczny stream

JAKUB SKURTYS

Niełatwo znaleźć wspólny mianownik dla nominowanej w tym roku piątki poetek i poetów.

I nie chodzi tylko o to, że etykiety szkodzą wierszom. To dojrzałe, okrzepłe i zupełnie odrębne poetyki. Jeśli coś je łączy, to świadomość performatywności języka.

W stosunku do innych dużych nagród poetyckich w Gdyni jest zawsze trochę pod prąd, a trochę burtą o falochron. W zeszłym roku nominacje w kategorii „poezja” wyraźnie wskazały na późne roczniki 80. i 90., wysyłając delikatny sygnał o kolejnej zmianie warty (Bira, Honek, Konwerska, Kosenda i Kulikowska jako laureatka). Czy został on nadany pochopnie, skoro teraz aż cztery z pięciu książek to przykłady twórczości nieco starszej (zarówno rocznikowo, jak i estetycznie)?

Chyba nie. Po prostu jury lubi trochę namieszać i jak żadne inne poczuwa się do swojej krytycznoliterackiej roli: nominuje, nagradza, ale też wskazuje kierunki, dowartościowuje estetyki i wyznacza czytelnikom prace domowe. Starsza nie znaczy w tym wypadku starcza – ta przypadłość omija NLG szerokim łukiem. W kulturze natychmiastowego dostępu to raczej: mniej modna, rzadziej omawiana, wymagająca wnikliwszej lektury, osadzonej w kontekście kilku lub czasem kilkunastu książek. Mamy więc w tym roku tomy stosunkowo obszerne, zrywające z formatem „dwudziestu wierszy do tramwaju”, ale też takie, które – jak to się mówi – „przeszły bokiem”, prawie bez recepcji.

Może poza osobą autorską Anouk Herman, której inicjacyjny debiut „right into pod tramwaj” (Instytut Literatury, SPP w Łodzi), traktujący z grubszą o queerowym dojrzewaniu na Śląsku, bezceremonialnie wjechał w środek salonowych rozdań, niczym legenda założycielska naszego futuryzmu – „Tram-

wopszek ulicy”. Tu decydował właśnie impuls i językowa dynamika. Sporo się o tej różowej książeczce mówiło: o jej młodzieżowym stylu, o buńczucznej i słusznej, choć przejęskrawionej wrażliwości pokolenia Z, o miejskiej szamotaninie i narracyjnym tempie, o neutralizacji i zmaganiach z opresyjną cielesnością, a Anouk zdążyło w tym czasie jeszcze zadebiutować w prozie.

NIEŁATWO ZNALEĆ WSPÓLNY MIANOWNIK dla nominowanej w tym roku piątki i nie chodzi tylko o to, że etykiety szkodzą wierszom. To po prostu dojrzałe, okrzepłe i zupełnie odrębne poetyki. Adam Wiedemann jest laureatem NLG sprzed piętnastu lat za tom „Pensum” i autorem kilkunastu książek różnych rodzajów i gatunków. „Odżywkami i suplementami” (PIW) kontynuuje swój artystyczny dialog z codziennością i ostatecznością, korzeniami sięgający czasów estetyk banalizmu i schyłku „bruLionu”. Gdyby szukać tematycznych uproszczeń, trzeba by powtórzyć, że jego najnowsza książka jest o zwyczajności i o tym, jak wyradza się z niej niezwykłość, nie fantastyczna, lecz eschatologiczna – sprawy ostateczne, filozofia pierwsza. Wyróżnia ją jednak ironiczny, kuglarski kunszt autora, wybrzmiewający choćby w umiejętności odwinienia się w dialogu. Nie pamiętałem, że w jego tomie jest mucha, a właściwie kilka – wydzielają graficznie środkową część, tę, w której poeta prowadzi wierszową korespondencję z młodszym od siebie o kilka dekad Filipem Matwiejczukiem.

Ta musza obecność to upierdliwe *memento mori*. Bo jakoś nagle, bez za-

powiedzi, obu poetom zaczyna iść o życie, śmierć i „nieżycie”. Na zaczepkę rodem z memów: „Adamie! Żyjemy w czasach, w jakich się / Kiedyś jeszcze nie żyło”, Wiedemann odpowiada zrecznie: „Gdyby nie śmierć, żylibyśmy / wszyscy. Ostatnio zaczynam / rozumieć nieżycie”. I jak tu nie docenić przeczutni? Przejścia od tautologicznego banału, skrojonego na wzór złotej myśli, do kwestii ostatecznych?

„Nieżycie” to taki Leśmianowski negatyw światów Wiedemanna – pisarza nader towarzyskiego, przez lata obsesyjnie skupionego na tym „jak się żyje?” i „co tam słychać?”, a dziś głównie uciekiniera (to tytuł najobszerniejszego poematu w książce), bywalca pogrzebów i kularowych schadzek przyjaciół. Kuglarz boży? Salonowy mizantrop? Ostatni poeta dworski? Lubię wymyślać te etykiety, bo – jak wiadomo – zawsze rozmiągają się z życiem. Zupełnie jak tytułowe odżywki, które Wiedemann poddaje powtarzalnej semantyzacji: to odżywki, odpadki od żywego i zarazem odżywki, nasze „nie” wypowiedziane sparciałemu światu z nadzieją na rozmowę ponad i poza pokoleniowymi granicami.

Również Joanna Operek [w tym numerze publikujemy rozmowę z poetką – red.], tomów wydała znacznie mniej, ale jeszcze w tym roku doczeka się przekrojowego wyboru wierszy z ostatnich 20 lat w poznańskim WBPiCAK, w którym ukazały się też nominowane „Małe powinności”. Tutaj również mamy do czynienia z konsekwentną opowieścią i rozpoznawalnym od dawna stylem. Krakowska autorka niemalże reportażowo, niczym Ulrich Seidl polskiej poezji, w rozpisany na prawie sto stron poemacie-seriale telewizyjnym zgłębia istotę patriarchalnej przemocy wobec kobiet, stawia pytania o źródła zła i sposoby jego przejawiania się w historii i jej medialnych reprezentacjach.

WIERSZ TO W TYM UJĘCIU NOWOCZESNE LABORATORIUM i scena zbrodni – nad wyraz komunikatywna i trochę perwersyjna, wymierzona w nasze mieszczańskie poczucie komfortu i wszechobecną ślepotę. Bo nawet jeśli nikt nie patrzy, co ukrywamy w szafach i piwnicach, i nawet „jeśli Boga nie ma / gdzieś jest dog” – jego gnostyckie odbicie, strażnik i kat w jednym.

NOMINOWANI W KATEGORII POEZJA

Debiut **ANOUK HERMAN**

bezceremonialnie wjechał w środek salonowych rozdań. Weteranem, a ponadto laureatem NLG sprzed piętnastu lat za tom „Pensum” jest **ADAM WIEDEMANN**.

JOANNA OPAREK, rówieśniczka Wiedemanna, jeszcze w tym roku doczeka się przekrojowego wyboru wierszy z ostatnich dwudziestu lat w poznańskim WBPiCAK, w którym ukazały się też jej „Małe powinności”.

MARCIN CZERKASOW to także autor dojrzały i ceniony, zwłaszcza w gronie miłośników lirycznych narracji. Z kolei **PIOTR PRZYBYŁA**, ukryty za maską kobiecej podmiotki pyta, czy istnieje językowa specyfika doświadczania płci.



■ Marcin Czerkasow
MOUNTAIN VIEW
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna i Centrum
Animacji Kultury,
Poznań 2022



■ Anouk Herman
**RIGHT INTO
POD TRAMWAJ**
Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział w Łodzi,
Instytut Literatury, Łódź-Kraków 2022



■ Joanna Operek
MAŁE POWINNOŚCI
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna i Centrum
Animacji Kultury,
Poznań 2022



■ Piotr Przybyła
ANALFABETA
Galeria Sztuki
Współczesnej Biuro
Wystaw Artystycznych,
Olkusz 2022



■ Adam Wiedemann
**ODŻYWKI
I SUPLEMENTY**
Państwowy Instytut
Wydawniczy,
Warszawa 2022

MARCIN CZERKASOW TO TEŻ AUTOR DOJRZAŁY i ceniony, choć raczej w wąskim środowisku specjalistów od wiersza intelektualnego, miłośników ironii Andrzeja Sosnowskiego, eseizowanych traktatów Johna Ashbery'ego i prozy Thomasa Pynchona. Jego „Mountain View” (WBPiCAK), śnieżnobiała książeczka z niewielkim napisem tytułowym, to powrót po ośmiu latach, który odsyła nas do wszystkiego, czym Czerkasow zasłynął.

Dużo u tego poety gier, ironicznych ruchów, kampaowej subwersji i wewnętrznej konwersacyjności wiersza. Czerkasow wciąż siłuje się jednak z platformowym kapitalizmem, w którym nie sposób namierzyć centrum władzy czy nawet wstrzymać przepływ danych (takim pozornym centrum byłoby właśnie tytułowe miasto, w którym ulokowane są siedziby największych potentatów Doliny Krzemowej). Ale wykonuje też fascynujący ruch w stronę największego toposu zachodniej liryki – *ut pictura poesis*.

Co jeszcze? Widoki gór i nieba, krajobraz i jego porządek, kontemplowany jakby wbrew całej dromologii i duchologii późnego kapitalizmu. Romantyzowana potęga natury okazuje się jednak tylko częścią wielkiej teorii spiskowej, Spektaklem. Po niebie snują się widma, satelity wykonują coraz dokładniejsze mapy, ludzie patrzą bezradnie w górę, w ciemność, a indeks giełdowy pracuje jak kardiogram. Świat jest ponownie utekstowany i zmieniony w ciąg obrazów, ale „zerwał się łańcuch natury”. Nowe zbitki słów próbują więc ustanowić nowe sekwencje zdarzeń, wznieść inną „architekturę dnia” i znaleźć inny schemat DNA... jakby powolny upadek był od zawsze wpisany w świat.

ZOSTAJE NAM JESZCZE PIOTR PRZYBYŁA ze swoją trzecią książką. A może drugą, po świetnie przyjętym debiucie z 2015 r. „Apokalipsa. After party”, bo ta środkowa – „Wspólny” – okazała się tak konceptualna i eksperymentalna, że prawie nikt nie poświęcił jej należytej uwagi (z porzucanych na stronach literki karkołomnie składało się bardziej lub mniej pozbawione sensu zdania jednego wiersza, problematyzujące własność języka i prawo do słów). Czytelnik czuje się przy nim jak dziecko lub wtórny analfabeta, który musi od nowa nauczyć się abecadła. →

→ Po dwóch latach Przybyła daje nam więc tytułowego „Analfabetę” (Galeria BWA w Olkuszu) – kolejny „refren czy remiks”, tym razem ukryty za maską kobiecej podmiotki, wprost wywołujący inne współczesne poetki i pytający, czy istnieje specyfika doświadczania płci w języku? Wracamy tu do wszystkiego, co czytelnicy pokochali w debiucie – jest *flow*, nieoczywiste skojarzenia i rekwizyty, fragmenty życia rodzinnego oraz nieprzystające do świata, wyobcowane „ja”, które w obrębie jednego wiersza podlegają czasem kilku przemianom.

WIEDEMANN, CZERKASOW I PRZYBYŁA preferują wewnętrzny ruch wiersza – liryczne narracje, teksty wielopoziomowe, inteligentnie dowcipne, ale też na różne sposoby gadatliwe, konwersacyjne lub konwersujące (czasem wprost). Mają one udratyzowaną formę, wypełniają je dialogi i wielogłosowość. U autora „Odzywek i suplementów” są to – przechwycmy tytuł – odzywki i korespondencje, odpryski rozmów z drugim człowiekiem, niby skierowane w wieczność i niebyt, ale jednak ściśle związane z poszukiwaniem kontaktu i bliskości. U Przybyły rządzi nieujarzmiony pęd języka – zdawkowy, przeskakujący od tematu do tematu, potykający się i poprawiający, pastiszujący i zjadający cudzy słowy, ale gdzieś pomiędzy *serioso* i *buffo* wybrzmiewa też: „szukam kogoś, kto mnie pokocha, / w wierszu, który nie jest na to gotowy”.

Możliwość bliskich spotkań trzeciego stopnia wydaje się tu dziwnie naturalna i jakoś pokrewna samej istocie wiersza jako „obcego bytu”. U Czerkasowa eszizująca nostalgia rodem ze *slow cinema* wymusza z kolei rozmowę wewnętrzną – słowa leniwie poganiają słowa, a potem wykołują je, żeby odsonić się jako mowa utowarowiona, nieautentyczna, opakowana i sprzedana bezradnym bożkom IT.

BARDZO ODLEGŁA OD MINIMALIZMU czy jakiegokolwiek wstrzemięźliwości, prawie

Całą piątkę
nominowanych
do nagrody poetek
i poetów interesuje pozór
i jego rola wobec życia,
tak jednostkowego,
jak i zbiorowego.

że teatralna, jest też poezja Oparek. Autorka potrafi świetnie spuentować, ściągnąć wers, ale na ogół pozwala mu na niemal prozatorski rozbieg. Inscenizuje w ten sposób niekomfortową dla nas rozmowę, w której kamera zwraca się w stronę widowni i pyta: jak wam się podoba?

Ten spektakl jest o śmierci i cierpieniu, jest oparty na faktach, zimny i precyzyjny. Wiersz przygląda się ofierze i korzysta z tego, że opowiada za nią historię, ale też – jak ofiara – tkwi w tej historii, w piwnicy, często spętany i bezradny, zdany na fabularną logikę *show must go on*.

Głosu nie wstrzymuje i nie ścisza też Anouk. Próby wypowiedzenia kolejnych zderzeń nastoletniego „klira” z polską rzeczywistością przybierają narracyjną formę, przyspieszają i hamują, mierzą się z konwencjami literatury i kina *young adult* oraz z powszechnym pragnieniem opowiadania. Niby to wiersze, ale prawie poemat, pyskujący, zawadiacki i bardzo rozmowny, zwłaszcza w linii żeńskiej (dedykacja całości „moim mamom” mówi sporo), bo to wzdłuż niej odbywa się inicjacja i wypowiadanie posłuszeństwa ojcowskiemu prawu.

Patriarchalna przemoc tworzy ciekawą konstelację dla Oparek, Herman i Przybyły. Bliskość niewidocznej śmierci oraz banał codzienności zbliżają do nich Wiedemanna, a nowe cyfrowe media i ich wszechwładza nad językiem łączą całą

piątkę („atrapa albo wieczny stream” – to Przybyła, „maszyny pragnące to maszyny binarne / (...) tego co poza granicami kodu / można tylko pożądać” – piśse Anouk).

Herman i Przybyła pozwalają sobie na podobnie odjechany *drift* z poezją konfesyjną, choć służący różnym celom („ja: /transmarnotrawny/” kontra zaprzeczenie jakiegokolwiek tożsamości), a Czerkasow i Oparek precyzyjnie studiują ekonomiczne i społeczne warunki istnienia Spektaklu. Całą piątkę interesuje pozór i jego rola wobec życia, tak jednostkowego, jak i zbiorowego. Tego samego życia, które odjeżdża powoli Wiedemannowi, w które wskakuje na gapę Herman i które celebrytuje Przybyła, krążący hen ponad naszymi głowami. Oparek sadystycznie podtrzymuje je uwieszone w piwnicy i przed kamerami, a Czerkasow, cóż, dziwi się jego widmowemu trwaniu po końcu.

TO PIĘĆ ZUPEŁNIE OSOBNYCH GŁOSÓW, ale łączy je świadomość performatywności języka. Anouk dopiero wytwarza niebiarność i ustanawia w tym siebie jako przeciekający między zaimkami fluid. Oparek zdanie po zdaniu inscenizuje przemoc i rani słowami, poezja Wiedemanna ma w sobie coś dandysowskiego – pięknie i wbrew wszystkim stroi się w rymy i strofy, a Przybyła to kosmiczny DJ, wyglądający zza lingwistycznej konsoly kryptocytatów i freudowskich pomylek.

Jeśli dodamy do tego romantyczne przebieranki i wielopoziomowe, pod rządnie złożone zdania Czerkasowa o „zerwany łańcuch natury”, otrzymamy wspólną wszystkim świadomość retorycznego potencjału wiersza – burzącego światy i ustanawiającego inne porządki, ale też wewnętrznie skłóconego, kłócego się z samym sobą i jakże odległego od modernistycznych koncepcji „czystego głosu”. Te utwory mówią głosami, na wiele głosów, polifonicznie, naraz.

© JAKUB SKURTYS

Biała Gdynia, czarna Gdynia

BEATA CHOMĄTOWSKA

**Dziś, kiedy Gdynia
zrosła się z Gdańskiem
i Sopotem w jedną
wielkomiejską
aglomerację, coraz
trudniej wskazywać na jej
odrębność. Najnowsza
historia tego miejsca
wciąż czeka na opisanie.**

Pisanie książek o Gdyni może здаwać się proste jak geometria jej ulic ciągnących się nad morze. Zbiór motywów: słoneczny kurort, portowe miasto przyszłości, witalność, światowość, postęp. Ta estetyczna atrakcyjność stanowi pułapkę, bo scenaria rodem z Bauhausu sprawdza się, owszem, na plakatach, pocztówkach i w rozkładówkach kolorowych pism, ewentualnie w przeznaczonych dla dzieci historyjce o Nowoczesnych, o której wspomina w ostatnim rozdziale „Gdyni obiecanej” Grzegorz Piątek, lecz niekoniecznie w literaturze.

„Na pocztówkach główną rolę grają budynki i krajobrazy. Ludzie nie mają znaczenia. Na obrazkach z Gdyni widać więc anonimowe ciała na plaży i generyczne postaci panów w kapeluszach i pań w krótkich fryzurkach” – pisze Piątek. Domy w higienicznej bieli (po rewitalizacji, z początku były raczej kremowe, szare albo blad różowe) udatnie prezentują się w reklamach. Trudniej wyobrazić sobie rozgrywające się w ich racjonalnie rozplanowanych wnętrzach ludzkie napiętności i dramaty, a tym bardziej ironię.

Trzeba by tu wprowadzić Gombrowicza. Szkoda, że umieścił Ziutę Młodzikównę w jednej z kolonii na warszawskiej Ochocie, a nie w Gdyni, gdzie tak pa-

sowałyby do siebie Młodość i Nowoczesność do kwadratu: „wyprostowana, swobodna, gładka, gibka, giętka i bezczelna”.

WŚRÓD KSIĄŻEK Z GDYNIA W TLE najliczniej reprezentowane są dwie kategorie: literatura gatunkowa oraz eseistyka miejska. Widać sporą przewagę pozycji wydanych w dwudziestolecie międzywojennym, z silną reprezentacją literatury młodzieżowej, która – podobnie jak pozycje przeznaczone dla dorosłych – odgrywała przede wszystkim rolę propagandową, sławiąc polski port nad Bałtykiem.

Za gdyńską „świętą księgę”, zbiór mitów założycielskich, można w tym kontekście uznać „Wiatr od morza” Stefana Żerom-

skiego, kanoniczną zaś lekturą dla młodego czytelnika byłaby „Wielka brama”, w której Kornel Makuszyński wyprawia z Warszawy do Gdyni piętnastoletniego sierotę Piotra. Chłopak, zamiłowany czytelnik książek o morzu, chce zostać marynarzem. Szansę na to daje mu spotkanie z kapitanem Barenem, wilkiem morskim o złotym sercu, który bierze Piotra pod opiekę, zapewnia mu studia w szkole morskiej i zapisuje w testamencie skarb. A w międzyczasie obwozi przybysza po gdyńskim porcie, pokazując poszczególne budynki i objaśniając ich znaczenie.

Ma też Gdynia własną sagę, w dodatku czytana chętnie przez kolejne pokolenia gdyńian. Ta powstała jednak dopiero →



Pasażerowie na jednym ze statków białej floty – „Jadwidze”, 1933 r.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

→ w czasach PRL-u, a jej pierwsza część doczekała się ekranizacji. Mowa o „Tak trzymać!”, trzytomowej powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat, wydanej w połowie lat 70. XX w., obejmującej historię Gdyni od jej początków do 1945 r., daty granicznej dla samej autorki. Właśnie wtedy, jako dziennikarka „Dziennika Bałtyckiego”, przeniosła się na Wybrzeże, by mieszkać kolejno w Gdyni i Sopocie.

SIĘGAM WIĘC PO FLESZAROWĄ-MUSKAT, nie-rzadko lekceważoną przez krytyków, a oprócz niej po dwie nowsze książki: wspomnianą już „Gdynię obiecaną” Piątka i „Chodź ze mną” Łukasza Orbitowskiego. Ta ostatnia to powieść z elementami thrilleru i kryminału, którą jednak trudno przypisać do jednego gatunku.

Saga Fleszarowej-Muskat przynależy do literatury popularnej, z całym jej ciężarem, na który wielokrotnie wskazywali recenzenci. Zestawienie w jednym szeregu tych trzech książek może wydawać się osobliwe – stylistycznie wszystko je różni, łączą jedynie Gdynia jako główna lub równorzędna względem fabuły bohaterka. Jeśli jednak powstrzymać się od jakichkolwiek ocen literaturoznawczych, okazuje się, że dialog jest możliwy; nie-rzadko nawet jego uczestnicy mówią jednym głosem. A to, co mnie najbardziej interesuje, to odbijający się w tej prozie obraz miasta i jego mieszkańców.

Nie wiem, czy Grzegorz Piątek, pisząc „Gdynię obiecaną”, też miał za sobą lekturę „Tak trzymać!”, ale wydaje się znaczne, że dwaj główni bohaterowie sagi Fleszarowej-Muskat, czyli Krzysztof Grabień, chłopak ze wsi pod Przeworskiem, oraz przybyły z Kijowa Wołodia Jazowiecki, to przyjezdni, rozpoczynający życie w Gdyni od zera, jako pracownicy zatrudnieni przy budowie portu.

Okradziony podczas podróży Grabień trafia tam z jedną walizką, bez grosza przy duszy, by nocować z przypadkowymi kompanami w pustej łodzi na plaży i rozmawiać się do spółki z dopiero co poznanym Wołodią do każdego zajęcia, jakie się nawinie, bez względu na to, czy będzie to pokątny handel alkoholem, czy kąpiel w dokach. To właśnie życie w środowisku przybyłych z całej ówczesnej Polski gdyńskich robotników okaże się dla obu doświadczeniem liminalnym, bramą do powstającego na ich oczach portowego miasta.

Choć Krzysztof zostanie później prawą ręką samego głównego projektanta gdyńskiego portu, inżyniera Wendy, a także (za sprawą kaszubskiej żony, Łucki z Konków, posiadaczki pola pod Kamienną Górą, który przeobraża się w centrum Gdyni) kamienicznikiem, współwłaścicielem nowiutkiego, modernistycznego domu, będzie wciąż odwiedzał Grabówek, Witomino, Chylonię, Leszczynki i Obłuże. Wraz z ich robotniczymi koloniami i dzielnicami nędzy o egzotycznych nazwach: „Pekiny”, „Meksyk” czy „Budapeszt”, miejsce zamieszkania dawnych kolegów, którym w gdyńskiej ziemi obiecaną powiodło się gorzej.

Właśnie na tę część miasta, jako na jego esencję, wskazuje z założenia rewizjonistyczny w stosunku do mitu „białej Gdyni” esej Piątka, przypominający pod wieloma względami „Białe miasto, czarne miasto” Sharony Rotbarda. Przeciwwstawia on starszej, arabskiej Jaffie izraelski Tel Awiw, uchodzący za kwintesencję architektury Bauhausu, obnażając krok po kroku metody, jakimi preparowano tę mitologię. Piątek przypomina z kolei, że „czarna” Gdynia, niewidoczna na plakatach i pocztówkach, była nie tylko liczniejsza, ale bardziej reprezentatywna dla tożsamości miasta niż modernistyczne, eleganckie śródmieście, skądinąd do dziś chętnie zestawiane w jednym rzędzie z Tel-Awiwem (choćby na niedawnej wystawie w Muzeum Polin).

Również bohater powieści Orbitowskiego, urodzony już w latach 70., Dustin Barski, po ojcu pół-Rosjanin, po kądzieli wywodzi się z rodziny zamieszkującej robotnicze osiedle Pagedu na Oksywiu, co i tak – w kontekście warunków, w jakich przyszło żyć wielu gdyńszanom z tej klasy społecznej, można uznać za los wygrany na loterii. „Przedsiónek raj” z jednym pokojem przedzielonym kocem zawieszonym na karniszu, ale z ogrzewaniem, wodą i prądem. Dziadek Dustina pracuje w stoczni, babka w hotelu robotniczym, matka-dentystka reprezentuje pierwsze pokolenie po studiach.

GDYNIA – PRZYPOMINA PIĄTEK – MIAŁA BYĆ „BIAŁA” także w innym sensie: jednolitości etnicznej i kulturowej, w przeciwieństwie do kosmopolitycznego Gdańska. Endecy liczyli, że stanie się miastem wzorcowym pod kątem narodowościowym, czyli bez Żydów. Stołeczni publi-

cyści chcieli widzieć w niej miejsce, gdzie ziemianie i chłopci cudownie przeistoczyli się w dynamicznych, zorganizowanych mieszczan. Jak się to powiodło, wiadać właśnie na kartach „Tak trzymać!”, powieści osadzonej mocno na faktach i wspomnieniach mieszkańców.

Istny ludzki kalejdoskop, w którym mieszają się style życia i języki, ukazuje się już na pierwszych stronach powieści: oprócz ściągających z całej Polski do pracy przy budowie portu i stoczni robotników mamy tutaj spolszczonego Ormianina Wołodię, syna „grafta” Jazowieckiego, Kaszubów, a nawet Francuzów z firmy wznoszącej port i uczących Polaków sztuki inżynierskiej.

PEŁEN PRZEKRÓJ PRZYNOSI TEŻ SPIS LOKATORÓW śródmiejskiej kamienicy Grabieniów: jest tu przybyła z Gdańska Żydówka, panna Loewe, pracująca jako stenotypistka; jest dyrektor Słubicki, szef firmy Carbol, po matce wiedeńczyk von Schabenbach, młode małżeństwo Arciszewskich z Warszawy oraz barman ukrywający pod pseudonimem Joe-mikser. Nic też nie jest tu oczywiste, choćby wydawało się takim przybyszom z wiosek Małopolski, Mazowsza czy Kielecczyzny. Truda Plischke, ciotka Łucki, żona syna handlarza ryb, uważa się za Niemkę. Gerard Schulz, kompan Krzysztofa z czasów budowy portu, za Polaka. Hitlerowską flagę po wejściu Niemców do Gdyni wywiesza jeden tylko lokator, celnik o polskim nazwisku Rosochacki, barman Joe donosi zaś do gestapo na przedstawicielkę wiedeńskiej arystokracji.

We wrześniu 1939 r. ulicami Gdyni wędrują „jacyś marynarze, Holendrzy albo Anglicy, nie można było zrozumieć, w jakim języku śpiewają”, a za nimi grupka Chińczyków. Ucieleśnieniem wyobrażeń o jednorodnej Gdyni wydaje się w tym gronie jedynie panna Halszka, nauczycielka przysposobienia wojskowego, „dziewczyna o tak polskiej urodzie, że wizerunek jej powinien stanowić reklamę wakacji w Kazimierzu czy wycieczek po Warszawie”, choć o jej pochodzeniu czytelnik nie wie nic – i dobrze, bo też mógłby się zdziwić. Różnorodność gdyńską widać też w biografii bohatera Orbitowskiego, choć akurat po 1945 r. Ruscy – co podkreśla autor – nie byli mile wśród gdyńszan widziani; skutek związku z kapitanem Kolą nie tylko matkę bohatera,



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Kamienna Góra, 1930 r.

ale i całą jej rodzinę spotyka na robotniczym Grabówku ostracyzm.

RODOWÓD GDYNI, W POŁOWIE PROLETARIACKI, znajduje też odzwierciedlenie w literackiej topografii. Punktem wyjścia i głównym miejscem akcji pierwszego tomu trylogii „Tak trzymać!” nieprzypadkowo jest morze, kaszubska wieś i miejsce pod port; to on powstawał najpierw, miasto potem, dlatego też nie rozplanowano go tak metodycznie, jak zyczyliby sobie wszyscy miłośnicy stylu okrętowego.

Oprócz Grabówka na pierwszy plan u Orbitowskiego wysuwa się inne z robotniczych osiedli, dziś mieszkanka PRL-owskich bloków i skromnych domów z międzywojnia – Witomino. Tam właśnie mieszka Dustin, realizujący własne marzenie o sukcesie, uosabiane przez własne lokum w bloku, w którym dorastał, oraz własną knajpę. Ta jednak nie mieści się na osiedlu, lecz w ścisłym centrum „białej Gdyni” – przy Świętojańskiej.

„Pierwsze moje morze oglądałam z Kamiennej Góry podczas spędzanych u wuja wakacji” – wspominała Fleszarowa-Muskat. Przyznawała później, że pierwszy tom epopei był „książką, którą spłaciłam niejako dług Gdyni, miejscu, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam morze”. Kamienna Góra jest jednak czymś jeszcze – symboliczną enklawą dobrobytu, nieosiągalną dla zwykłych śmiertelników. Każde miasto ma taką; w moim rodzinnym Krakowie podobną rolę odgrywa też położony na wzgórzu Salwator z jego starymi willami, których rzekomo nie można kupić, a jedynie odziedziczyć.

Wyniesiona nad zatoką Kamienna Góra z najlepszym widokiem na morze, dobrze rozplanowane ustronie dla najlepiej sytuowanych, któremu Piątek poświęca osobny rozdział, kojarzy mu się z Los Angeles. A że mieszkanie tutaj to symbol awansu, posiadaczkami willi na Kamiennej Górze są obie piękne Heleny, powieściowe łamaczki męskich serc: Helena Tereszkowa z „Tak trzymać!”, wdowa po legionście, która by się utrzymać, prowadzi knajpę, oraz Helena Barska, dentystka, matka Dustina. Tereszkowej willę zafundował drugi mąż-przedsiębiorca, przybysz z gorlickiego zagłębia ropy naftowej, Barskiej zaś – rosyjski kochanek.

W powieści Orbitowskiego peregrinacje tych dwojga stanowią gotowy scenariusz do sentymentalnej przechadzki szlakiem gdyńskiego PRL-u. Mija się podczas niej zarówno działający do dziś hotel w Domu Marynarza, jak i słynne swego czasu lokale, na czele z ekskluzywnym Inter-Clubem w miejscu po dawnej kawiarni Europa.

WRACAJĄC ZAŚ DO GDYŃSKICH MITÓW, swoją ilustrację do wątku z „Gdyni obiecaanej” o spekulacyjnych, realizowanych nierzadko na chybcika gdyńskich inwestycjach stanowią obszerne fragmenty dotyczące kamienicy Grabieniów w drugim tomie „Tak trzymać!”. Kamienica w Śródmieściu, pod Kamienną Górą, wyposażona w mieszkania o różnym standardzie i windę, którą z upodobaniem jeździ stara Konkowa, teściowa Krzysztofa, zachwycając się tym cudem techniki, ma piwnice o cementowym, nie żelbetowym sklepieniu, co zdradza, że była budowana może

efektownie, ale po tanioci. Dlatego, gdy przyjdzie do urządzania schronu, mieszkańcy będą zmuszeni wymurować go własnymi siłami pośrodku podwórza.

„Diamentem wyłupionym z polskiej korony” nazwał w „Wielkiej bramie” Makuszyński Gdańsk, w którego miejsce wprawiono w dwudziestoleciu perłę – Gdynię. Być może stąd bierze się paradygmat, że najmłodsze miasto z bałtyckiej trójcy zasługuje na osobną literaturę. Od tamtego czasu wiele się jednak zmieniło, co widać dziś też w biografii kilku pokoleń gdyńian, gdzie w różnych konfiguracjach przeplatają się wątki urodzenia w Gdyni, zamieszkiwania w Sopocie, potem Gdańsku, pracy w Gdyni lub na odwrót, z licznymi przeprowadzkami pomiędzy. Burzy to kolejny mit – odrębności Gdyni, aktualny w czasach, gdy powstawała.

Dziś, gdy zrosła się z Gdańskiem i Sopotem w jedną wielkomiejską aglomerację, coraz trudniej tę odrębność wydestylować. Może więc zamiast przeciwstawiania sobie tych miast i ambicji stworzenia dla każdego z nich odrębnego miejsca na literackiej półce, bardziej adekwatnym wyzwaniem dla kolejnych autorów byłaby współczesna fabuła nie tyle z Gdynią, co z całym Trójmiastem w tle? Tym bardziej że trylogia „Tak trzymać!” kończy się na 1945 r., esej Piątka – wraz z wybuchem II wojny światowej, a większość książki Orbitowskiego stanowią retrospekcje z kolejnych PRL-owskich dekad, przeplatane zresztą obrazami ze Szwecji i Ameryki. Najnowsza część historii czeka wciąż na swego Żeromskiego – albo co najmniej Fleszarową. © BEATA CHOMĄTOWSKA



LISTA ZAMKNIĘTA

Tak, to muzyka wyznacza granice pokoleń, a „Strażnicy Galaktyki” materializują i stawiają nam przed uszami owo wielkie doświadczenie. Uświadomienie sobie tej wspólnoty ma wyzwalającą moc.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

SMUTNY SZOP SIEDZI NA SCHODACH. W małych łapkach trzyma duży odtwórca MP3 i niespiesznie przewija listę oznaczoną kolejnymi dekadami. Lata 60., 70., 80., 90. Coś ciekawego dzieje się teraz w kulturze popularnej, a ostatnia scena trzeciej części „Strażników Galaktyki” (właśnie udostępniona na platformie Disney+) doskonale ilustruje ten moment przełomu.

Szop zatrzymuje się na latach 2000. i wciska „play”. Owinięci kocami, zmęczeni, niepewni jutra mieszkańcy kosmicznego azylu podnoszą głowy zaskoczeni. Z zawieszonych pod sufitem głośników płyną łagodne dźwięki ukulele. Brzmienie charakterystyczne dla pewnej muzycznej epoki, choć jeszcze niedawno nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Nie wyróżniamy stylów, epok i gatunków, dopóki są po prostu wszechobecna teraźniejszością.

Ktoś zaczyna tańczyć. Dołączają kolejni. Ktoś wyje jak kot. Ktoś płacze, ktoś śmieje się w głos, a ktoś inny uśmiecha się tylko trochę, odrobine, kącikiem ust. Na razie tyle wystarczy.

Bohaterowie znajdują spokój. Godzą się z tym, kim są, i rozumieją, kim już nigdy nie będą. Wracają do domu albo nareszcie decydują się odejść. Znajdują to, czego szukali, lub uświadamiają sobie, że nigdy tego nie potrzebowali. Coś się skończyło. Zapewne zacznie się coś nowego, ale już niekoniecznie dla nich. Nawet jeśli ich historia rozpocznie się na nowo, to nie będą już głównymi bohaterami. Będą mentorami, rodzicami albo budowniczymi

statków, które nowe pokolenie odkrywców zaniosą w odległe rejony galaktyki.

„*The dog days are over*” („Pse dni już za nami”) – śpiewa Florence Welch. Jej dźwięczny głos przynosi nadzieję i kosmiczni awanturnicy uświadamiają sobie, że się zmienili. A wraz z nimi ich publiczność – ludzie, tak jak ja, urodzeni w latach 80. lub 90. ubiegłego stulecia. Millenialsi, dla których właśnie zamknęło się magiczne okienko, okres pokoleniowej autodefinicji.

Żyła złota

Ale wróćmy na chwilę na Ziemię. W zeszłym roku „*Running Up That Hill*” Kate Bush nieoczekiwanie stało się najpopularniejszą piosenką na planecie. To niezły kawałek i w jego triumfalnym pochodzie przez listy przebojów na całym świecie nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie fakt, że piosenka była sprzed 37 lat.

Ponowne odkrycie utworu to rezultat wykorzystania go w czwartym sezonie serialu „*Stranger Things*” – jednego z najbardziej prominentnych przedstawicieli współczesnego nurtu nostalgicznego *science fiction*. Rozgrywająca się w latach 80. produkcja naszpikowana jest odniesieniami do popkultury, mody i gier komputerowych z epoki.

Przypadek Kate Bush to dowód na kosmiczną moc, jaką ma dziś synchronizacja (ang. *sync*), czyli wykorzystanie istniejącego utworu muzycznego jako tła dźwiękowego akcji. Umieszczona w nowym kontekście piosenka z dnia na dzień może z otchłani zapomnienia powrócić na sam szczyt list przebojów zarabiając przy tym miliony dolarów. Eksperci z branży kreatywnej już nazywają to zjawisko (nieszczególnie kreatywnie) „efektem *Stranger Things*”. Ale nie chodzi tu bynajmniej o jeden serial. W ostatnich latach w rytm retrohitów ratują świat bohaterowie „*The Boys*” (mroczna produkcja Amazon Prime) czy „*Umbrella Academy*” (Netflix), a także... popularnej brytyjskiej reklamy Ikei pt. „Szczęście sprzyja oszczędnym”. W każdym przypadku muzyka jest przedstawiona na ekranie (w postaci walkmana czy noszonych na uszach słuchawek), postaci tańczą do niej i dyskutują o niej z pasją.

Nic dziwnego, że od kilku lat zyski z licencjonowania muzyki na potrzeby synchronizacji rosną błyskawicznie. W podsumowaniu roku 2022 Recording Indu-

stry Association of America wyceniła przychody z tego rodzaju transakcji na rynku amerykańskim na 328,5 mln dolarów, co oznacza niemal 25 proc. wzrostu w porównaniu z rokiem poprzednim.

Ale trylogia „Strażnicy Galaktyki” demoluje nawet taką konkurencję. Inni są w stanie wypromować pojedynczy utwór. Reżyser James Gunn i jego kosmiczna drużyna wynoszą na szczyty popularności całe playlisty. Premiera każdej kolejnej części kosmicznej sagi to dla rynku muzycznego prawdziwa bonanza. Jaki jest ich sekret?

Bez słów

Te nowe praktyki łączy coś ciekawego. Muzyka nie tylko towarzyszy bohaterom jako typowa ścieżka dźwiękowa. Jest także słyszalna dla nich samych. Zabraną z Ziemi walkman, a potem odtwórca MP3 są najważniejszymi atrybutami Petera Quilla, lidera Strażników Galaktyki. Miłością do muzyki z lat 70. kapitan szybko zaraża całą załogę. W jej rytm nie tylko bawią się i odpoczywają, ale przede wszystkim – ratują świat. Wciśnięcie „play” na walkmanie Quilla zwykle zwiastuje epicką sekwencję przelotu przez pole asteroid albo laserową nawałankę.

Używając starego słowa w nowym kontekście można powiedzieć, że muzyka synchronizuje bohaterów. Motywuje ich do działania i nadaje tempo ich wspólnej akcji. Piosenki stają się tym samym językiem porozumienia między postaciami. Łączą ich w całość większą niż suma części.

Muzyka jest tu nośnikiem relacji. Quill jest gotów ryzykować życie dla swojego walkmana nie dlatego, że tak ceni stary sprzęt grający. „Wspaniały mixtape vol. 1”, jak głosi napis na kasecie, którą w kółko odtwarza, to jedyna pamiątka po matce, którą stracił jako dziecko, tuż przed tym, jak porwano go z Ziemi. Pod koniec drugiej części walkman zostaje wprawdzie zniszczony, ale szybko zastępuje go odtwarzacz MP3 – przedśmiertny prezent od mentora bohatera. Oczywiście prawdziwym darem nie są same urządzenia, lecz zapisane na nich piosenki. Dzielić się muzyką, którą kochamy, ustanawiamy głęboką więź z drugim człowiekiem (lub szopem).

Siłą tego zjawiska udało się zmierzyć grupie badaczy z University of

Kadr z trzeciej części sagi „Strażnicy Galaktyki”, reż. James Gunn, 2023 r.

JESSICA MIGLIO / MATERIAŁY PRASOWE DISNEY+

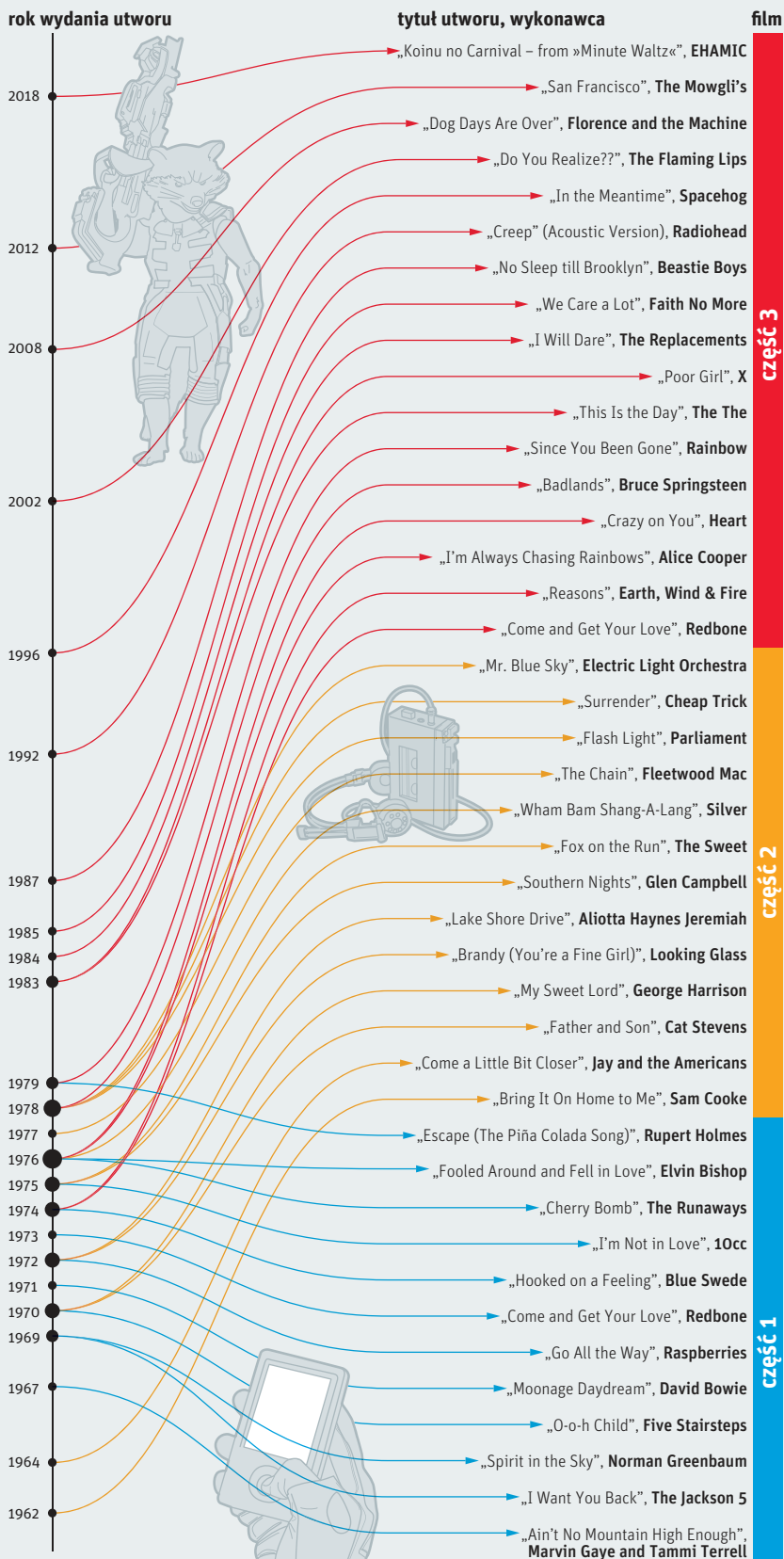
→ Westminster. Za przedmiot analizy obrali oni popularny brytyjski program radiowy „Desert Island Discs”. Zaproszeni goście opowiadali tam o piosenkach, które zabraliby ze sobą na bezludną wyspę. Naukowcy wzięli pod lupę nie tylko same playlisty, lecz także historie, które towarzyszyły muzyce. Okazało się, że powodem wyboru danego utworu znacznie częściej były związane z nim wspomnienia niż cechy samej piosenki. Goście programu (średnia wieku 61 lat) pytani o swoje ukochane przeboje opowiadali nie o gitarowych riffach i świetnych tekstach, ale o rodzicach, przyjaciółach, domu z dzieciństwa albo wspólnych wakacjach. Mówili o tym, jak pierwszy raz usłyszeli daną piosenkę i z kim dzielili to doświadczenie.

Nieważne, co masz na swojej ulubionej playlistcie. Ważne, z kim ją dzielisz. O tym właśnie są „Strażnicy Galaktyki”. Taka muzyczna synchronizacja oznacza przemianę z bandy egoistycznych indywidualistów w drużynę. Symbolizuje porozumienie, które nie potrzebuje słów.

Zjawisko to w trylogii o Strażnikach świetnie ilustrują dialogi z Grootem. Ten kosmita, przypominający chodzące drzewo, potrafi mówić tylko „Ja jestem Groot”. Powtarza te trzy słowa w każdej sytuacji, ale konsekwentnie rozwijany przez całą trylogię dowcip polega na tym, że pozostali członkowie załogi zachowują się, jakby Groot mówił normalnie. Odpowiadają na jego pytania, uspakajają go, gdy się niepokoi, a czasem karcą za nieprzyzwoity język („Skąd ty w ogóle znasz takie słowa?!”). W najnowszej odsłonie serii jedna z postaci podejrzewa, że to oszustwo („Wy go tak naprawdę nie rozumiecie, prawda?”). Nikt nie rozwiewa jej wątpliwości. Kiedy wiele przygód później ta sama bohaterka odruchowo odpowiada Grootowi, uświadamia sobie, że oto stała się częścią załogi, a łączące ich porozumienie sięga głębiej niż słowa.

Tym większe wrażenie na widzach zrobiła jedna z ostatnich scen filmu, gdy Groot nieoczekiwanie mówi: „Kocham was, drużyno!”. James Gunn potrafił wyreżyserować jak tak, że po chwili uświadamiamy sobie, że to nie kosmita nauczył się ludzkiego języka, lecz my, towarzysząc Strażnikom przez trzy kolejne filmy, także staliśmy się częścią załogi. Teraz i my rozumiemy Groota.

PIOSENKI, KTÓRE MOŻNA USŁYSZEĆ W KOLEJNYCH CZĘŚCIACH „STRAŻNIKÓW GALAKTYKI”





MATERIAŁY PRASOWE / DISNEY+

Szop Rocket, w oryginalnej wersji głosu użył Bradley Cooper.

Święto pokolenia

Fenomen wspólnej pamięci pokoleń zaobserwował już przed stuleciem francuski socjolog Maurice Halbwachs. W książce „Społeczne ramy pamięci” przekonywał on, że – wbrew temu, co może nam się wydawać – nie pamiętamy oddzielnie, lecz raczej jako członkowie wspólnot. Pewne wydarzenia, postaci, smaki czy właśnie utwory muzyczne mają siłę synchronizowania naszej wyobraźni i budowania zbiorowej tożsamości. Każde pokolenie ma swój czas formacyjny, który w pewnym momencie zamyka się i zastyga w nostalgiczny kanon.

Uczeni kontynuujący badania Halbwachsa zgodnie potwierdzają, że między 10. a 30. rokiem życia każdego i każdej z nas otwiera się magiczne okienko, kiedy to nasze gusta muzyczne kształtują się na całe życie. Znaczna większość piosenek, które potem uznajemy za „ważne” czy „ulubione”, poznaliśmy właśnie w tym okresie. Często są to radiowe, telewizyjne i imprezowe hity, które dzielimy z innymi ludźmi w podobnym wieku.

Kiedy badacze z University of Westminster porównali daty premier piosenek z wiekiem uczestników, okazało się oczywiście, że większość utworów pochodzi właśnie z tego magicznego okienka między 10. a 30. rokiem życia, które uczeni nazwali „autodefinicyjnym okresem pamięci autobiograficznej”. Przekładając to na język Ziemi: to czas, kiedy, jak sami uważamy, staliśmy się tym, kim jesteśmy.

Muzyka wyznacza pokolenia, a filmy takie jak „Strażnicy Galaktyki” materializują i stawiają nam przed oczyma (uszami) to wspólnotowe doświadcze-

nie. Co ciekawe, Halbwachs i jego mistrz, Émile Durkheim, właśnie w ten sposób definiują święto. To specjalny czas, w którym grupa społeczna uświadamia sobie to, co ją łączy, a co na co dzień zwykle pozostaje tak oczywiste, że aż niewidzialne.

Tyle że finał kosmicznej trylogii to święto specyficzne. Bo trzecia część „Strażników Galaktyki” jest muzycznie inna od poprzednich. Jak pokazuje infografika towarzysząca temu tekstowi, kanon muzyczny wcześniej dość ściśle zamknięty w latach 70. („magiczne okienko” samego Jamesa Gunna urodzonego w roku 1966!) ulega tu rozmyciu i przesunięciu ku teraźniejszości. Dlaczego? Być może dlatego, że oto właśnie na naszych oczach dla kolejnego pokolenia zamyka się magiczne okienko.

Urodzeni w latach 80. i 90. oglądając ten film mają szansę uświadomić sobie nie tylko własną pokoleniową tożsamość, lecz także fakt, że ich okienko autodefinicji właśnie się zatrząskuje. Z pokolenia otwartego, które wciąż jeszcze się określa i szuka własnej tożsamości, stajemy się oto pokoleniem zamkniętym, ukształtowanym. Nasze playlisty już nie zmieniają się za bardzo. Nasza kulturowa ojczyzna przenosi się w krainę nostalgii. W prawdziwej popkulturowej teraźniejszości będziemy już tylko gośćmi lub obcymi.

Smuga cienia

W ostatniej scenie filmu bohaterowie bawią się przy „Dog Days Are Over”, czyli piosence z grudnia 2008 r. Muzyki słuchało się wtedy z MP3, od premiery pierwszego iPhone’a minął dobrze ponad rok, a Barack Obama został wybrany

na prezydenta. Mieliliśmy już Facebooka, YouTube’a i zdawaliśmy sobie sprawę z nadciągającego kryzysu klimatycznego. To przecież było tak niedawno! A jednak utwór, wrzucony do szufladki oznaczonej nazwą dekady, stał się już częścią retroplaylisty. Dlatego właśnie ludzie płaczą dziś przy „Dog Days Are Over”, choć nie płakali przy niej wtedy.

Dzieje się coś ważnego, a dzięki muzycznej synchronizacji jesteśmy w tym razem. Uświadomienie sobie tej wspólnoty ma ogromną moc. Dlatego właśnie ostatnia scena „Strażników Galaktyki” u wielu przedstawicieli mojego pokolenia wywołuje dziwne słodko-gorzkie uczucie, którym dzielą się w niezliczonych recenzjach i komentarzach na portalach internetowych.

Jeszcze dekadę temu, gdy w kinach debiutowała pierwsza część cyklu „Strażników”, nie dało się zrobić retroplaylisty z muzyki millenialsów, bo nasza muzyka była muzyką teraźniejszości. Dziś znalazła się w nostalgicznym skarbcu popkultury obok zakurzonych hitów z lat 70. i 80. Już nie musimy pożyczać starych rzeczy od boomerów i pokolenia X, stroić się przed lustrem w pamięć z drugiej ręki. Dorobiliśmy się własnej przeszłości. Czai się w tle na naszych fotografiach, na dnie naszych szaf, na naszych playlistach.

Tym samym kolejne pokolenie, millenialsów, moje pokolenie, wkracza właśnie w popkulturową smugę cienia. Przenikliwie pisał o niej Stanisław Lem w opowiadaniu „Ananke”: „Między trzydziestką a czterdziestką, bliżej drugiej: smuga cienia – kiedy już przychodzi akceptować warunki niepodpisanego

→ kontraktu, narzuconego bez pytania, kiedy wiadomo, że to, co obowiązuje innych, odnosi się także do ciebie. (...) Smuga cienia to jeszcze nie memento mori, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma nietkniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadną zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja". U Lema, tak jak w „Strażnikach Galaktyki”, kosmiczny as staje się dla nas, zwyczajnych Ziemiaków, przewodnikiem na ścieżce ku rozpoznaniu uniwersalnej prawdy.

Psie dni już za nami. „*The dog days are over*”. Wiele wciąż przed nami, ale już nie wszystko. Świat może i należy do nas, ale przyszłość – już nie. Przyszłością są inni. Następne pokolenia, których magiczne okienko gustu wciąż pozostaje otwarte, lub nawet jeszcze się nie otworzyło.

Nasze właśnie się zamknęło. Doświadczenie formujące pokolenie zostało skonsolidowane. Nie jesteśmy już dłużej znakiem zapytania. Jak pisze Lem, „skończył się trening”. Możemy więcej niż kiedykolwiek, lecz jednocześnie więcej niż kiedykolwiek stało się dla nas niemożliwe. Bo już nie wszystkie drzwi są otwarte. Dla niektórych z nas marzenia się spełniły – zostaliśmy piłkarzami albo strażakami, prawnikami albo lekarzami. Inne marzenia na zawsze pozostaną tylko marzeniami. Już nigdy nie będą planami. Ci z nas, którzy wybrali drogę prawników, zamknęli sobie szansę, by zostać lekarzami, i odwrotnie. Nie jesteśmy już obietnicą wszystkiego. Jesteśmy tylko tym, czym jesteśmy.

Pora więc dołączyć do niemłodych. Z zazdrością patrzeć na ludzi, którzy nie nabawili się jeszcze własnej przeszłości. Czas opuścić królestwo tych, którzy wciąż kształtują swoją playlistę, i z workiem nagrań odpłynąć ku wyspom nostalgii, do krainy pokoleń, których wezwaniem i bojowym okrzykiem jest słowo „pamiętacie?”.

„*The dog days are over!*”. Kosmiczny szop odczynił swe czary. Z głośników płyną łagodne dźwięki ukulele. Ci, którzy zarzekali się, że nigdy nie będą tańczyli, mogą wreszcie zatańczyć, jakby nikt nie patrzył.

Bo nikt nie patrzy.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Anatomia wstydu

JOANNA OPAREK, POETKA:

Nie ma tematów tabu, a przełamanie wstydu jest początkiem prawdziwego pisania. Wcześniej zastanawiałam się, co będzie, jeżeli córka przeczyta moje książki. Ale ona doskonale zrozumiała, co robię i dlaczego.

URSZULA HONEK: Jakie były kobiety w Twoim domu?

JOANNA OPAREK: Same mocne i wspała. Babcia prowadziła dom, a właściwie nim zarządzała. Wyszła bardzo wcześnie za męża, miała tylko siedemnaście lat. To była silna osobowość: grała w karty, paliła papierosy, piła koniak. Urządzała przyjęcia dla rodziny, na których grano w brydża. Musiała jednak poradzić sobie z wielką traumą. W czasach stalinowskich została sama z trójką dzieci, bo jej mąż został skazany w fikcyjnym procesie. Dla władzy był kapitalistą, który próbował budować fabryki mebli w Gliwicach. O wojnie zaś babcia opowiadała w sposób fragmentaryczny, były to strzępy wspomnień, niewielkie obrazy. Szczególnie powracały dwa.

Opowiesz?

Żołnierze niemieccy weszli do ich domu i zobaczyli skrzypce. Zapytali, kto na nich gra. Należały do syna babci, ale on oczywiście się ukrył. Babcia wskazała wtedy na moją mamę, która była zbyt mała, żeby umieć grać na instrumencie. Niemcy uwierzyli, pogłaskali ją po głowie i wyszli. To jest dla mnie opowieść o odwadze i koniecznym kłamstwie, które ratuje życie. A może również o pewnym sprycie i umiejętności szybkiego reagowania, których wojna nauczyła ludzi. In-



nym razem babcię potrafił gestapowiec jadący na motorze, a ona zaczęła się wtedy modlić po niemiecku. Nie zastrzelił jej, tylko pomógł się podnieść.

W poemacie „Czerwie” piszesz o gwałcie na dziewięcioletniej dziewczynce. Kim była Julka?

Wymyśliłam jej imię, ale Julka była moją ciotką, siostrą ojca. W czasie wojny zgwałcił ją gestapowiec. Ona właściwie została dziewięcioletnią dziewczynką na całe życie. Zatrzy-



Joanna Oparek. Kraków, 18 sierpnia 2023 r.

mała się w rozwoju fizycznym i emocjonalnym. Była bardzo drobna, niska, szczupła, nosiła długi warkocz. Stała się starą dziewczynką. Przy czym, paradoksalnie, była najbardziej radosną osobą, jaką znałam. Cieszyła się naturą, każdym listkiem, ptakiem, przyjaźniła się ze swoją ukochaną krową. Cały czas układała mozaiki z suszonych kwiatów i liści, słuchała Radia Maryja i przepisywała wykłady z audycji. Przyjmowała świadków Jehowy, wdawała się z nimi w długie spory religijne. To był jej świat:

natura, Kościół, ta mała wieś, której granic bała się opuścić. Raz pozwoliła się wyciągnąć na wycieczkę, ale tylko dlatego, że chciała zobaczyć kościół w krakowskich Łagiewnikach. Była cudowną i baśniową istotą. Uderzał kontrast pomiędzy jej traumatycznymi doświadczeniami a tym, jaka była.

Kiedy poznałaś jej historię?

Bardzo późno. Myślę, że kilka lat przed napisaniem „Czerwi” [poemat został opublikowany w 2013 r. – UH]. Wcześniej

w domu nigdy o tym nie mówiono, ale ojciec pod koniec życia zaczął się bardziej otwierać. A może stracił mechanizm kontroli i pewne rzeczy po prostu wypływały? Zawsze opowiadał barwnie i był gawędziarzem, a jego historie wojenne były pełne humoru.

Co go tak śmieszyło?

Wspominał, że jako piętnastolatek kupił pumpy, białe rękawiczki, walizkę i poszedł na front, ale po drodze został zatrzymany przez wojsko i kazali mu szybko wracać do domu. Z czasem te historie stały się coraz bardziej ponure: opowiadał o robotach w Niemczech, o swojej siostrze, która broniąc się przed napaścią bauera (gospodarza) ugodziła go widłami i trafiła do Oświęcimia. Wśród tych opowieści nigdy jednak nie pojawiała się Julka. W mojej rodzinie ten temat był tabuizowany, choć przecież wojenne gwałty były powszechne. Każda rodzina miała swoje zgwałcone kobiety. Jednak o tym, co przydarzyło się Julce, nie mówiono, jakby wstydzono się bardziej; może dlatego, że była dzieckiem, może chciano to wymazać z pamięci? Historie kobiet tamtego pokolenia często opowiadają ich córki i wnuczki.

Byłaś blisko z ciotką?

Kilka lat przed jej śmiercią zbliżyliśmy się do siebie. Ojciec już nie mógł do niej jeździć, bo był schorowany, więc zaczęłam się nią opiekować. Rodzina mojego ojca była wielodzietna, pochodziła z małej wsi pod Krakowem. Niektóre z jego siostr wyjechały do miasta. Jedna, podobnie jak mój ojciec, została lekarzem. Ostatecznie złożyło się tak, że dwie niezamężne siostry pod koniec życia wróciły na wieś i mieszkały razem z Julką, ale potem została sama. Opowiadałam jej o świecie, bo bardzo była go ciekawa, chciała słuchać o wszystkich nowych zjawiskach.

Co o nim myślała?

Doświadczałam tego jej niesamowitego i zupełnie nienormalnego zachwyty, zwłaszcza światem natury. Słuchałam i zastanawiałam się, jaki jest rozmiar jej traumy i zaprzeczenia. W „Czerwiach” musiałam znaleźć przyległy do niej język: kościelny i ludyczny, musiał być to język religijnych pieśni. Ona nigdy nie dorosła do swojej opowieści, więc chciałam opowiedzieć za nią. Zależało mi, żeby

→ pokazać studium ofiary, która wybacza może nie tyle oprawcy, bo przestał dla niej istnieć, ale całemu światu.

Rzeczywiście sporo w Twoich książkach przemocy i relacji oprawca–ofiara. Szczególnie ostatnie „Małe powinności” drążą ten temat. Pojawia się Natascha Kampusch czy Elisabeth – córka Josefa Fritzla.

To są już ikoniczne postaci. Córka Fritzla była dwadzieścia cztery lata więziona w piwnicy. Jej matka była na górze w domu, kiedy ona rodziła Josefowi siedmioro dzieci. Sąsiedzi też byli obok. Inny przykład z „Małych powinności”: trzy amerykańskie uprowadzone dziewczyny wisiały skrupowane na hakach w jednorodzinnym domu, porywacz czasami wyprowadzał je na smyczy do ogrodu. Jego matka zajmowała się dzieckiem jednej z ofiar. To są najbardziej drastyczne przykłady, które stały się karmą dla mediów, popkultury i kultury wysokiej. Powstała niezliczona ilość piosenek o córce Fritzla, ten temat pojawia się w twórczości Elfriede Jelinek, w teatrze i filmach.

Ciebie jednak interesuje coś innego...

Tak, chodzi o powinność, jaką nakładają społeczeństwo i kultura na uwolnione kobiety. Gehenna nie kończy się wraz z wyzwoleniem. Ich historie cały czas są zawłaszczane i oceniane przez media, kulturę i społeczeństwo. Toczą się dyskusje, czy ofiara na wizji płacze/ nie płacze, cierpi/ nie cierpi, kłamie/mówi prawdę. A może jednak mogła uciec, tylko uzależniła się emocjonalnie od oprawcy? Natascha Kampusch wyznała przecież, że porywacz czasami opowiadał jej bajki, ale umyka fakt, że potem kopał w brzuch.

Skąd ta podejrzliwość?

W wyobrazeniach społecznych istnieje kalka idealnej ofiary: zapłakanej, z rozmazanym makijażem, obolałej wewnętrznie i widocznie cierpiącej. Ofiara nie przestaje być ofiarą, bo jednocześnie staje się podejrzaną. Nieustannie nosi w sobie małe powinności wobec świata i społeczeństwa.

A Kampusch?

Elisabeth Fritzl stara się o anonimowość, żyje w ukryciu, choć wciąż pojawiają się jej zdjęcia robione przez paparazzi. Natomiast Kampusch stała się po-

Chcemy ofiary zapłakanej, z rozmazanym makijażem,

obolałej i widocznie
cierpiącej. A co, jeśli mimo
wszystko jest silna? Jeśli nie
dała się do końca złamać?
Czemu przestajemy
jej wierzyć?

stacją literacką za życia. Ale czy wierzymy silnym kobietom, gdy wypowiadają się pewnym głosem? Czy ofiara ma prawo być silna? Czy ona w ogóle jest ofiarą, jeżeli nie została do końca złamana? Społeczeństwo zastanawia się, jak w ogóle miała siłę napisać scenariusz filmowy oparty na własnej historii i sprzedać go telewizji!

W wierszach często czerpiesz z języka przemocy, pornografii i seksu. Dlaczego?

O pewnych rzeczach trzeba mówić ostro i bezkompromisowo. Wychowałam się w domu mieszczańskim. Nie wiele mówiono o seksie i równie mało o literaturze. Chociaż mój ojciec może i zostałby poetą, ale w czasie wojny jego matka, ze strachu przed aresztowaniem, spaliła wszystkie jego wiersze i dramaty. Został lekarzem. Nigdy nie wrócił do pisania. Okazjonalnie pisał wiersze mamie na imieniny. Gdy byłam dzieckiem, bawił się ze mną w układanie rymów na czas. Mojej matce zaś w czasach stalinowskich powiedziano, że Polska Ludowa potrzebuje górników i hutników. Poszła na politechnikę i została inżynierem górnikiem.

No to wiadomo, kto rządził.

Miałam przywódczą matkę inżynierkę i rozpoetyzowanego, subtelnego ojca. Panował absolutny matriarchat. Jednocześnie były tematy tabu i silnie rozwinięte poczucie przyzwoitości. Na przykład o antykoncepcji mówiono: „najlepsza szklanka wody zamiast”. Matka potrafiła używać niezwykle dosadnego języka, lecz niekoniecznie w sprawach związanych z erotyką. Jej ostry język często był wymierzony w ludzi i relacje. Jest zresztą bohaterką mojej najnowszej sztuki

„Dobra rodzina”. Miała dar narracji i nie bała się formułować brutalnych ocen rzeczywistości. Może właśnie dała mi przeświadczenie, że taki język ma swoją moc?

Nie wstydiłaś się?

Wstyd w języku i poezji to dla mnie kluczowy temat. Pisanie stało się otwieraniem drzwi, a właściwie ich wyważaniem. Dopiero kiedy powiedziałam sobie, że nie wstydę się i nie boję niczego, zaczęłam być poetką. Moja pierwsza książka poetycka, „Po kostki w niebie” (2003), była jednak zachowawcza. Wybrałam wtedy język Nowej Fali, bo był bezpieczny; przybrałam stylistyczną maskę i napisałam dość elegancką książkę. Tam nie było nic obrazoburczego i wtedy jeszcze nikt nie nazywał mnie skandalistką. Do poezji wróciłam po dziewięciu latach, w międzyczasie pisałam też powieści i zaczęłam pisać dramaty. Powiedziałam sobie, że nie ma tematów tabu, a przełamanie wstydu jest początkiem prawdziwego pisania. Myślę, że w poezji szkoda czasu na maski. Szkoda zachodu na stylizację, która raczej ukrywa, niż odkrywa. Jestem typem autorki, która robi literaturę z cierpienia, wstydu i lęku.

Własnego?

Na spotkaniach autorskich w zawałowany sposób pytano mnie, czy byłam zamknięta w piwnicy albo doświadczyłam innych form przemocy. Pisarka lub pisarz nie muszą wszystkiego przeżyć, żeby o tym pisać. Częścią naszego życia są też cudze doświadczenia. Oczywiście trzeba w życiu pewnych rzeczy doświadczyć, żeby to rezonowało, ale to jest inna sprawa. Pewnie musiałam do tego dojrzeć. Wcześniej myślałam, że przecież mam męża, dziecko, rodzinę, i zastanawiałam się, co będzie, jeżeli córka przeczyta moje książki. Może rzeczywiście intuicyjnie zaczęłam do momentu, kiedy była już ukształtowaną osobą. Doskonale zrozumiała, co robię i dlaczego.

W wierszu „5. Ferma” (z tomu „Mocne skóry, białe płótna”) zapisujesz: „skromne kobiety przepraszają nawet za to, że umarły. O tym rozmawiasz z córką?

Moja relacja z córką jest absolutnie wyjątkowa. Opiera się na głębokich i szczerych rozmowach. Wiele razy przeprowadzałyśmy się, siedziałyśmy w kolejnych

kuchniach i prowadziłyśmy wiwisekcyjne i głębokie dialogi. One zbudowały naszą relację. Czasami moja córka przypomina mi nawet, że jestem jej matką, a nie przyjaciółką. Jednak w szczerości obie nie mamy hamulców. Może dlatego, w zaskakujący sposób udało mi się wyprzedzić zagrożenia, których mogła doświadczyć. W pewnym momencie nawet prosiła, żebym już nic nie mówiła, bo wszystko wie i teraz może iść z tym dalej, przekazywać koleżankom. To był dla mnie sukces, i to, kim się stała. Nina jest zaangażowaną feministką i obrończynią praw człowieka, jej praca zawodowa jest związana z tymi obszarami.

Doskonale wiedziała, że moje książki są o ekonomii zła i jego uwodzieleńskim sile. O tym jest przecież „Berlin Porn”, w którym pokazuję, jak działa przemysł pornograficzny i jakie krzywdy wyrządza kobietom – stają się tego przemysłu ofiarami. Nigdy nie oceniam czyichś wyborów: ofiarą może być prostytutka i porwana dziewczynka. Przemoc jest ta sama. Nie ma znaczenia, czy napaści dokonano na kobiecie pracującej na ulicy, czy licealistce w krótkiej spódnicy.

To też książka o mechanizmach manipulacji.

Także o nienasyceniu i głodzie miłości. Kobiety, które przez wiele lat doświadczały przemocy, często usprawiedliwiają agresora. Ofiary długo próbują same siebie przekonać, że wymierzona w nie agresja wynika na przykład ze złożonej osobowości partnera lub partnerki. No bo raz jest dobry, a raz zły, raz kocha, a za chwilę krzywdzi. W tej pętli ofiary tkwią przez wiele lat, nim zdecydują się uwolnić. Pojawiają się też pytania z tych najgorszych: dlaczego ktoś nie przyszedł wcześniej na policję albo zgłasza gwałt po dziesięciu latach? A może właśnie dlatego, że przez te dziesięć lat kobieta próbowała leczyć męża alkoholika i być dla niego wsparciem? Wierzyła w jego zapewnienia, że w końcu z tego wyjdzie.

Czuja się współwinne?

Bo tego nauczyła je kultura. Przez wieki wpajano nam, że wyzywające zachowanie jest zaproszeniem do przemocy. „Skromne kobiety nie są gwałcone”. „Gwałt jest karą”. Staram się pisać o tym wszystkim bez patosu. Często także z ironią, ale w duchu romantycz-



JACEK TARAN

JOANNA OPAREK

jest poetką, pisarką, dramatopisarką. Opublikowała tomy poetyckie: „Po kostki w niebie”, „Czerwie”, „Berlin Porn”, „Mocne skóry, białe płótna”. Jako dramatopisarka współpracowała z Narodowym Starym Teatrem i Teatrem Nowym w Krakowie oraz z Teatrem Miejskim w Gliwicach, gdzie wyreżyserowała swoją ostatnią sztukę „Całe życie” (2021). Za tom „Małe powinności” jest nominowana do tegorocznej Nagrody Literackiej Gdynia (laureatów poznamy 25 sierpnia).

nym. Kryje się za nią tęsknota za absolutem. Za dobrym światem. W „Małych powinnościach” pokazuję upiorną i makabryczną rewię. Chwilami, pisząc o manipulacji, staram się jednocześnie prowokacyjnie manipulować odbiorcą. Opisuję na przykład komplikacje podczas jednego ze śledztw, wachlarz wątpliwości. Na tę ostatnią książkę składają się także autentyczne wypowiedzi ofiar lub śledczych, to momentami rodzaj poetyckiego reportażu. Łapię czytelnika w sieć wątpliwości i wskazuję, jak łatwo skupić się na osądzaniu ofiary, a nie prześladowcy. Każde państwo ma swoje piwnice. Co kraj, to Fritzl.

W wierszu „Palma” matka mówi do córki: „Miałaś wszystko co miałaś i gdzie ty to dałaś / I gdzie są te kości gdzie są te pieniądze”. Trudno było sprostować oczekiwaniom?

W „Mocnych skórach, białych płótnach” postać matki jest silnie obecna, to są brutalne wiersze. Pisane były bowiem ze świadomością, że matka umiera – ona przez długi czas zapowiadała swoją śmierć. Matka była dla mnie twardym prokuratorem i sędzią, a jednocześnie najlepszym adwokatem. Oczywiście uważała, że jako jej córka mam być najlepsza i wszystko musi mi się udać. W dużym stopniu tak się stało, a jednocześnie niekoniecznie.

Na pewno nie zrealizowałam mieszczańskiego modelu dobrego życia. Nie wróciłam z Krakowa do Gliwic, nie zamieszkałam w wielkim domu, nie zostałam lekarką ani nie wyszłam za mąż za lekarza, czyli nie ułożyłam sobie życia tak jak ona. W tym sensie byłam rozczarowaniem. Mama oczywiście w jakiś sposób była ze mnie dumna, jednak wolałaby być dumna z innych rzeczy. Rozliczała mnie całe życie, a w ciągu ostatnich kilku lat również z wielu trudnych życiowych decyzji. I coraz bardziej mi jej brak. Słyszę ją cały czas.

Co mówi?

Podsumowuje mnie każdego dnia, a ja nadal próbuję jej udowodnić, że mój model życia nie jest taki zły, jak jej się wydaje. Ostatecznie jestem zadowolona z moich wyborów i drogi, którą podążam. Może nie jest najwygodniejsza, ale jest moja. Natomiast dobrze jest mieć w głowie ten oceniający głos i stojąc nad grobem matki słyszeć po raz kolejny: „Córko, córko, co z tym życiem robisz?”. Człowiek się zastanawia, czy rzeczywiście dobrze robi i czy może zrobić coś lepiej.

Mama powtarzała mi półzartem, że jestem na jej śmierć od lat przygotowana. Może rzeczywiście byłam? Niesamowicie ją irytowało, że w pewnym momencie wymagała opieki, bo zawsze była silna i bezkompromisowa; nie potrafiła żyć skazana na pomoc innych. Umarła szybko, bez długiej męki, jakby sama o tym zdecydowała. Po wszystkim powiedziałam jej: „Pięknie to, mamusi, załatwiłaś”. Z wielkim podziwem, że jej plan się powiódł – zarządzała sobą do końca.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

Pusta klatka

ANITA PIOTROWSKA

Popkultura uwielbia takie bohaterki – czy może być coś bardziej pociągającego niż wystawny kostium, szczypta seksu i umiarkowany feminizm w jednym? A w tle historia, plotka i legenda zmieszane w dość swobodnych proporcjach.

JEANNE DU BARRY, „DZIEWCZYNA ZNIKĄD”, która stała się królewską faworytą, doskonale uosabia buduarowe fantazje podszyte bardziej krytycznym przekazem. Była wszak stręconą przez przyszłego męża luksusową kurtyzaną, a zarazem kobietą próbującą używać swoich wdzięków i przekuwać wyznaczone jej role na własną korzyść. Prócz urody miała w sobie błyskotliwość, niespotykany tupet, pasję do lektur i jeszcze większą pasję życia, czym skradła serce Ludwika XV i zgorszyła niemal cały jego dwór.

Lubiła nosić rozpuszczone włosy, męskie ubrania i niekonwencjonalne pasiaste suknie. Otrzymałszy w prezencie czarnoskórego chłopczyka, nie uczyniła go niewolnikiem, lecz codziennym towarzyszem, nieomal własnym dzieckiem. W przeciwieństwie do mieszańców Wersalu potrafiła wyrażać uczucia i przywiązywać się, chroniła słabszych i pokazywała język silniejszym. Słowem, wyprzedzała swój czas. Nic więc dziwnego, że postać tak popularna w okresie klasycznym kina, grana przez Thedę Barę,

Polę Negri czy Martine Carol, ponownie wypłynęła właśnie teraz. Choć przecież polski nadtytuł, „Kochanica króla”, nie pozostawia wątpliwości, co w tej bohaterce nadal wydaje się twórcom najbardziej atrakcyjne.

Mówi się, że współscenarzystka i reżyserka strzeliła sobie w stopę obsadzając samą siebie w roli głównej. Pomijając drażliwą kwestię różnicy wieku (nie takie przekroczenia już widzieliśmy na ekranie), film momentami bardziej przypomina aktorski benefis w autentycznej scenografii wersalskich wnętrz i ogrodów anizeli biografię. Ale w tej decyzji obsadowej jest jakaś metoda.

Aktorka ma w sobie współczesny, zawiadacki wdzięk, który pozwalałby zobaczyć w Jeanne kogoś więcej niż rozdokazywanego „hajduczka”, łasą na klejnoty „sroczkę” albo po prostu wprowadzoną na salony „ulicznicę”. Również biografia i filmografia Maïwenn, mocno naznaczone przez znanego francuskiego reżysera, mogłyby wskazywać na śmielsze odczytanie historycznej postaci.

Tymczasem twórczyni, która w nader spektakularny sposób broni dziś Luca Bessona przed oskarżeniami o seksualne nadużycia, okazuje się równie spektakularna i równie zachowawcza w swojej wizji Jeanne du Barry. A uszminkowany Johnny Depp w roli Ludwika XV gra niejako siebie – zabalsamowanego żywcem gwiazdora i króla tabloidów, skompromi-

owanego przez łózkowe afery. I mogłaby z tego wyjść zabawna wielopoziomowa gra: z epoką, biografią, wizerunkiem, wymagałaby jednakże bardziej zdecydowanego liftingu dla romansu sprzed wieków.

Zamiast tego oglądamy eleganckie widowisko z elementami umoralniającej (raczej w dzisiejszym duchu) przypowieści. Schowany za kadrem i szeleszczący papierem narrator raz po raz ustępuje miejsca groteskowemu teatrykowi dworskiemu, w którym to zresztą kobiety, zapiekłe antagonistki Jeanne, wypadają najbardziej operetkowo. Konkurować mogą z nimi chyba tylko kościelni notable, nadający ton Wersalowi, choć unosi się już nad nim duch Wielkiej Rewolucji. Toteż na ironię zakrawa fakt, że pochodząca z ludu dziewczyna, nieślubne dziecko krawcowej, tak zaciekle walczyła o swoje miejsce na dworze i zarazem tak niepasująca do niego, wkrótce podzieli los swoich chlebobawców i prześladowców.

Problem z Maïwenn polega na tym, że podobnie jak jej bohaterka chciałaby być zbuntowana i jednocześnie pozostaje zakładniczką konwencji. Zrobiła film dziwnie staromodny, jakby Sofia Coppola nie nakręciła dużo wcześniej campowej „Marii Antoniny”, Yórgos Lánthimos tragicomicznej „Faworyty” czy Albert Serra „Śmierci Ludwika XIV”, kontemplującej trawione chorobą ciało króla. Nie mówiąc o wywrotowym „W gorsecie” Marie



“RADIO KRAKÓW Co śróde o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE GUTK FLM

KOCHANICA KRÓLA JEANNE DU BARRY

– reż. Maïwenn.
Prod. Francja 2023.
Dystryb. Gutek
Film. W kinach
od 25 sierpnia.

Maïwenn to francuska aktorka, która karierę w kinie zaczynała jako dziecko. Jej związek z Lukiem Bessonem, twórcą „Leona zawodowca”, i macierzyństwo w wieku 16 lat wywołały wiele kontrowersji. Od 2004 r. pisze scenariusze i kręci filmy. Za „Polisse” otrzymała Nagrodę Jury w Cannes. Ma też na koncie „Moją miłość” i „DNA”, gdzie nawiązuje do swych algierskich korzeni.

Kreutzer, choć ten akurat tytuł powstawał równolegle do filmu o du Barry.

W czasach #MeToo coraz chętniej sięga się po kostium „z epoki”, by z jednej strony rewidować przeszłość, z drugiej zaś powiedzieć coś istotnego o nas dzisiaj. Udało się to np. François Ozonowi w „Mojej zbrodni”, ciągle pokazywanej na dużych ekranach. Czyli w bulwarowej komedii osadzonej, dla odmiany, w Paryżu lat 30., gdzie satyra na ówczesne stosunki panujące w teatrze, kinie, mediach, sądownictwie i relacjach damsko-męskich poddaje wszystko brawurowej karnawalizacji.

Na takim tle „Jeanne du Barry” staje się przyjemną dla oka konfekcją historyczno-obyczajową. I nie chodzi o to, by przypadek królewskiej kurtyzany musiał od razu zamieniać się w polemiczny głos na temat miejsca kobiet w historii. Albo żeby wsadzać kij w mrowisko, jakim jest dyskusja wokół normalizacji pracy seksualnej – na ile w tym przypadku była to konieczność, na ile wybór. Adaptacje „Niebezpiecznych związków” czy seriale typu „The Crown” przekonują, że pod paradnym kostiumem, wyrafinowaną intrygą i odwiecznymi hierarchiami kryją się powszechnie odczuwane namietności czy słabości, które oglądamy z perwersyjną rozkoszą, zrównując bowiem mieszkańców Olimpu i zwykłych śmiertelników. Tutaj chodziło zapewne o wyjście poza zwykłą identyfikację – o indywidualną herstorię, którą trzeba było opowiedzieć na nowo. Ta obietnica, podobnie jak wiele innych w „Kochanicy”, okazała się przestrzelona.

W jednej ze scen filmu pojawia się metalowa krynolina, symbol zbytku i zarazem pozycji kobiet w XVIII wieku, przybierający wówczas najbardziej karykaturalne rozmiary. Wygląda niczym pusta klatka. Szkoda, że wypełniono ją głównie clikowymi emocjami czy krotochwilną krytyką dworskiego ceremoniału i hipokryzji. Ani też nie uwolniono z niej samej bohaterki.

Bo wierząc w szczerość jej finałowych łez, nie bardzo wiemy, czy Jeanne płacze bardziej za utraconą miłością, czy może za utraconą pozycją społeczną i pałacowym splendorem. Chwilę później gilotyna unieważni podobne dylematy, co nie zmienia faktu, że robiąc z madame du Barry wielką heroinę, ofiarę feudalizmu, patriarchy i przewrotnego losu, film serwuje nam tragiczność mocno upudrowaną. Nazbyt dekoracyjną i deklarowaną, a przez to mało wiarygodną. ©

Lektor: W drewnianej skrzyni



■ Sławomir Mrożek
ZAGADKI BYTU
Noir sur Blanc,
Kraków 2023, ss. 216.

MINĘŁA WŁAŚNIE DEKADA OD ŚMIERCI MROŻKA. JEGO sztuki w polskich teatrach pojawiają się nieczęsto. Nie ma porównania nie tylko z latami 60. zeszłego wieku, czasem triumfu „Tanga”, ale też z okresem, kiedy po przerwie wymuszonej przez cenzurę – była to, przypominać, kara za protest przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji – przyszedł sukces „Emigrantów”, a na przywiezionego z Łodzi do Krakowa „Vatzlava” w reżyserii Dejmka trudno było się wcisnąć. Axer, Jarocki, Wajda, Kutz – ktoś Mrożka nie reżyserował?

Jest też Mrożek-prozaik i Mrożek-rysownik, co w zgrabnym połączeniu przypomina ta jubileuszowa książeczka (kto ją ułożył? nie napisano). Mrożek-satyryk? Złe określenie, satyra chce świat naprawiać, a świat u Mrożka jest raczej nienaprawialny, jak u innego mistrza czarnej groteski – Jonathana Swifta. „Rzeško jest, jak Boga kocham!” – wyznanie z „Testamentu optymisty” nabiera znaczenia dopiero w połączeniu z następnymi zdaniami: „Jednego tylko nie bardzo mogę zrozumieć: dlaczego czterech mężczyzn niesie mnie w drewnianej skrzyni, na leżąco, z wiekiem przybitym silnie, na głucho...”. Wszyscy skończymy w trumnie albo urnie i mucha – tytułowa bohaterka najkrótszej z miniatur w tym zbiorze – która na chwilę odleciała zająć się martwym psem, w końcu się doczeka (choć z prochów nie będzie miała wielkiego pożytku).

Wątki wanitatywne nasiliły się w późnych tekstach Mrożka. Jak wspaniałe „Łóżko Nikorowicza” z „Uwag osobistych”, gdzie ujął w refleksyjną, pesymistyczną klamrę całą swoją biografie, sprowadzając ją do trzech wierszy encyklopedycznego hasła, nieodróżnialnego od hasła „Ignacy Nikorowicz”. A to właśnie ów zapomniany młodopolski pisarz, którego losem Mrożek nigdy się nie interesował, śmiercią swoją otworzył przyszłemu autorowi „Ucieczki na południe” drogę do sławnego krakowskiego Domu Literatów... Tyle że wątki te przewijały się u Mrożka zawsze. Cytowany wyżej „Testament” czy niezwykle „Upadek Orlego Gniazda”, który „Zagadki...” otwiera, pochodzą przecież z tomu „Deszcz” (1962).

„Rzeczywistość realistyczna”, „Ten, który spada” czy „W szufladzie” to w głębszym sensie medytacje o tajemnicy naszego istnienia i naszego porozumienia czy też nie-porozumienia z innymi. A więc Mrożek-mędrzec? Tak, mędrzec, który wie, jakie zadawać pytania. Choć nie zna na nie odpowiedzi. ©

OLGA

Drenda: To wszystko jest na niby



MIAŁAM SZCZĘŚCIE ZAHACZYĆ W TYM roku o Octopus, festiwal kina gatunkowego, który odbywał się w Gdańsku. Horror (który zajmuje w tej dziedzinie miejsce poczesne) nie jest chyba w Polsce gatunkiem szczególnie hołubionym i bardzo dobrze, że ktoś postanawia poświęcić mu odrobinę uwagi. To gatunek, który pozwala bać się w warunkach „laboratoryjnych”, bezpiecznych, a potem poczuć ulgę – jak to dobrze, że to wszystko jednak fikcja. Czasami wydaje mi się, że znaczenie takich symulacji nie jest wystarczająco doceniane. Niektórzy boją się (ha, *nomen omen*), że ktoś może nie odróżnić fikcji od rzeczywistości, albo że sztuczne zło dopompuje w kimś zło prawdziwe. Każdy miłośnik horroru, gier komputerowych i muzyki metalowej usłyszał zapewne takie oskarżenia na własne uszy co najmniej raz. Wydaje mi się, że tym, czego boją się zwolennicy takich sądów, jest raczej drugi człowiek (w którego zdolność zawieszenia niewiary brak im zaufania). Do tego sztafaż kina gatunkowego pomaga czasem tworzyć przypowieści o paskudztwach bulgoczących gdzieś w społeczeństwie – ale tak, by widz mógł zastanowić się sam, bez walenia po głowie pozbawioną wdzięku ciężką, misyjną socjologią.

Lubię oczywiście produkcje o upiorkach, potworach i duchach, ale rzadko się ich boję. Prawdziwie przerażający horror to ten, który potrafi pokazać na ekranie miazmaty naszego mózgu i psychiki, to, czego nie umiemy często opisać albo narysować, ale co w złą godzinę gniecie w klatkę

To już
jest koniec,
nie ma
już nic,
jesteśmy
wolni,
możemy iść.



OLGA DRENDA

piersiową, ściska od środka brzuch, nęka we śnie. W „Opętaniu” Andrzej Żuławski ubrał te śliskie, mdlące uczucia w postać głowonoga-nieludzkiego kochanka Isabelle Adjani. W „Nie oglądaj się teraz” Nicolasa Roega, filmie, który mój tato zapowiedział mi jako najstraszniejszy, jaki widział (i, kurczę, miał rację), rozpacz po stracie dziecka i świadomość, że nie można od niej uciec, prześladowuje Donalda Sutherlanda jako przerażająca postać w czerwieni. Teraz z zainteresowaniem obserwuję rozwój „horroru przeczucia”, odmiany, w której nie pokazuje się specjalnie wiele, raczej sugeruje lypiącą, amorficzną grozę.

W programie festiwalu Octopus pojawił się głośny „Skinnamarink”, trochę antyfilm oparty na zebranych w ankiecie koszarach sennych, nieskomplikowany, niskobudżetowy, lecz szalenie niepokojący. Źródłem grozy jest niewyraźność – niezidentyfikowane głosy, rozmyte twarze, złudzenia, znikające kształty, niepewność, czy możemy ufać własnym zmysłom. Doceniam takie kino, bo potrafi w bardziej znuansowany sposób pokazać to, co usiłuje zidentyfikować, zaklasyfikować, wyleczyć lub wyćwiczyć współczesny język poppsychoterapii, który podsuwa potrzebującym zdania ładne i okrągłe, lecz przez to wypreparowane z doświadczenia ludzkiego. Wolałabym pewnie nieraz opowiedzieć scenę, w której dziecko budzi się we własnym domu bez drzwi i okien, niż mówić poprawnie i neutralnie: „Teraz poczułam lęk”.

No dobrze, wychodzę z kina i wylogowuję się do życia, to znaczy do internetu. Tam również ludzie lubią wywoływać w sobie celowo strach, zapewne z tych samych powodów – dla przyjemności kontrolowanego bania się. Służą im do tego jednak nie opowieści o potworach, lecz wiadomości o tonie apokaliptycznym, o niechybnym upadku cywilizacji i rodzaju ludzkiego. Są to na ogół opowieści stare, lecz ubrane w nowe szaty. Wspaniale pisał o tym kiedyś Jerzy Jedlicki w książce „Świat zwyrodniały” – cywilizacyjne jeremiady to stały repertuar naszej kultury, osobliwie popularny również w czasach, gdy wedle różnych pomiarów nie dzieje się wcale tak źle. Podobno w przedwojennej Polsce obok Biblii najpoczytniejszą literaturą, szczególnie na wsiach, były tzw. Sybille, czyli wierszowane przepowiednie o końcu świata. Wielką popularnością cieszyło się także wznawiane często przez stulecia barokowe dzieło Klemensa Bolesławiusza, „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej”, w którym obfitujące w detale wizje piekielnych kar za rozmaite grzechy pobudzały wyobraźnię czytelników. W dawnych pamiętnikach chłopskich można trafić na wspomnienia skrytej lektury tych broszur nie dla dzieci, które jednakowoż w młodym czytelniku budziły apetyt na więcej przeżyć ekscytujących i strasznych.

Oczywiście bywa i tak, że ktoś w obiegu złowieszcze wizje i przepowiednie wierzy naprawdę. Ale może warto dawać ludziom kredyt zaufania, tak jak widzom horrorów i graczom – i zrozumieć, że może kimś kierować mikstura tyleż banalna, co dosyć ludzka: adrenalina, katharsis i świadomość, że to wszystko na niby.

PAWEŁ

Bravo:

Przedwyborcze ruchanki



JEDZENIE I WSZELKIE KUCHENNE OBYCZAJE grają w ciuciubabkę z regułami. Z jednej strony wiedza, jaką nabywamy przez tzw. akulturację o praktykach związanych z pożywieniem, służy przecież temu, by wszyscy w danym kręgu wykonywali je „jak należy”. I potem mamy awantury tożsamościowe godne sporów o wyższość Bożego Narodzenia nad Wielkanocą. Ale z drugiej strony żal ściska na widok kodyfikatorów marnujących czas na układanie wzorców „prawdziwości” potraw. Tu się nie da stworzyć jednej listy. O tym, co w danej kadencji okazuje się wersją większościową, decydują kapryśne żywioły. Dlaczego polską pizzą przez tak długi czas rządziła koalicja szynki, pomidora i ananasa?

Mam swoją teorię, ale nie chcę przed wami udawać mądrego. Im bardziej w tych sprawach ktoś się robi profesorski lub urzędowy, tym śmieszniej. Wybaczcie etymologiczne obscena, jakie za chwilę tu padną, ale chroni mnie majestat orla w koronie na urzędowych stronach Ministerstwa Rolnictwa. „Fjut kociewski jest produktem charakterystycznym dla regionu etnograficznego Kociewie. Jego nazwa pochodzi z gwary kociewskiej i nawiązuje do ciągnącej konsystencji. (...) Z racji tego, że kociewskie wsie i jej mieszkańcy byli biedni, do tego gospodynie były bardzo zaradne, gospodarne i wykorzystywały wszystkie produkty, jedna z nich, metodą prób i błędów, zaczęła gotować fjuta”. Jest to uboga odmiana znanej w różnych postaciach masy karmelowo-mlecznej (jej królową jest oczywiście krówka z Milanówka). Na Kociewiu podaje się go tradycyjnie z placuszkami drożdżowymi zwanymi „ruchanki”. Stop. Kto lubi sprośności pod etnograficznym płaszczkiem, niech dalej wędruje na własną rękę. My zaś zostaniemy na Kociewiu, na łakach wokół nieczynnego młyna we wsi Gruczno koło Świecia.

Jedzenie bowiem to także żywioł zdecentralizowany. Ileż to grupę ludzi ogarnia pasja zachowania czegoś z tradycji w taki sposób, by miało to szansę dalej pulsować, a nie tylko sterczeć w skansenie, dzieje się to zazwyczaj w miejscach odległych od stolic. Opowiadaliśmy tu sobie kiedyś o przedziwnej genezie ruchu *slow food*, jak to się wzięło od spotkań grup włoskich aktywistów – gros z nich to byli młodzi komuniści organizujący konkurs na najlepszy bufet na partyjnych festynach. Może umknęło wam jednak, że szczególnie węzeł tej historii zacisnął się w piemonckiej mieście



Bra, zacnej, ale dalibóg, położonej z dala od autostrad historii, biznesu i chwały.

Powstały wskutek tamtej synergii ruch dziś jest już okrzeplą (może wręcz skostniałą) instytucją z własnymi historiami, którzy próbują stworzyć *ex post* spójne wyjaśnienie, dlaczego wszystko zaczęło się akurat tam. Ja wolę wierzyć w radosny przypadek. Czy 18 lat temu najważniejsza, jak się potem okazało (mimo tylu festiwali w wielkich miastach), polska impreza slow-foodowa musiała wystartować akurat w Grucznie, gdzie lokalni aktywiści zaczęli organizować spotkania wpięrowo wokół miodu i nalewek? Zapewne nie. Ale kamienie świeżo wyłączzonego młyna wciąż emanowały pędem, więc po paru latach zrobiło się multitematycznie, choć konkurs nalewkowy dalej jest żelaznym punktem programu. Właściwie to tylko porządnej reprezentacji wina brakuje, ale to marudzenie, wiadomo że zawsze będzie mi za mało wina. A polskie winnice tak się w ciągu dekady rozwinęły – na jakość, nie tylko ilość – że zasługują na własne spotkania.

Zaraz zacznie się w nich zryw frenetycznej pracy, najpopularniejszy biały szczep solaris wcześniej dojrzewa. O tej pracy aż do połowy października chcę dziś myśleć i w niej uczestniczyć, idealnie na czas ciszy przedwyborczej, jaką sobie od momentu ogłoszenia list narzucam. Skoro już je sprawdziłem i wiem, na kogo zagłosuję, czegoż miałbym się ważnego dowiedzieć, co miałyby na moją decyzję wpłynąć z tej powodzi słów i procentów wykrzykiwanych nerwowo jak porządek koni na wyścigach? Fanatycy obu stron śmiałyby nazywać to „wojną”. Miejcie krztynę przyzwoitości, jeźdźcy metafor, i zostawcie to słowo naszym braciom, którzy bronią siebie (i nas) przed Moskwą. Tam się strzela i ginie, a nie tylko prztyka słowami w rozpuchnięte ego.

Jeśli nie macie w pobliżu winnicy, gdzie przyda się teraz każda para rąk, można się zająć w domu kiszeniem i przetworami. Szczęśliwy to traf, że kampania słoikowa pokrywa się z tą wyborczą. Zajęci robotą przetwarzamy, aż po wyborach zacznie się następny etap rozróby. ©P

*Nie są mi znane właściwe dla fjuta proporcje maślanek i cukru (bo to jedyne składniki oprócz cierpliwości). Kto nie ma kontaktów z kociewskimi kołami gospodyń wiejskich, niech spróbuje inną z rodziny „konfitur mlecznych”, latynoamerykańskie dulce de leche. Kluczowe jest dodanie sody, która chroni mleko przed zwarzeniem (co stanowi również problem, jak czytam w dokumentach, przy gotowaniu fjuta). Łączymy w garnku z grubym dnem **litr mleka z 300 g cukru**. Dodajemy **jedną trzecią łyżeczki sody** i rozciętą **laskę wanilii**. Zagotowujemy ostrożnie i dalej trzymamy na ogniu, mieszając drewnianą łyżką – najpierw co jakiś czas, pod koniec, kiedy zacznie ciemnieć i gęstnieć, nieustannie. Czyli po minimum dwóch godzinach. Ubierzcie się wygodnie i ustawcie na telefonie serię naszych podkastów!*

ZMYSŁY



BITWA O GUSTA

JAN MOREK / FORUM

Polskiego mieszkania z czasów PRL-u nie da się zredukować do wyobrażenia o ówczesnym „typowym wnętrzu”. Niektóre z mód epoki niedoboru i niedoróbek przetrwały do dziś.

BEATA CHOMĄTOWSKA

ZAGLĄDANIE PRZEZ OKNA I WYOBRAŻANIE SOBIE, JAK ŻYJĄ INNI, to powszechna w dzieciństwie rozrywka, po której zostaje niedosyt. Z pomocą przychodzą autorki uchylające drzwi domowych wnętrz, jak Małgorzata Czyńska w „Domu polskim”, a teraz Agata Szydłowska w książce „Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL-u”. Szydłowska pisze, że chciała pokazać możliwie pełny obraz polskiego domu w czasach niedoróbek i niedoborów. Bez popadania w skrajności – od uprzedzeń i drwin do bezkrytycznej nostalgii.

Opowieść rozmówców Czyńskiej była historią ku pokrzepieniu serc, dowodzącą, że dysponując odpowiednim kapitałem

kulturowym i wypływającym stąd smakiem, dało się mieszkać może i skromnie, ale przyjemnie. Szydłowska dopowiada: owszem, ale było to dane nielicznym, czyli inteligentom, pasowanym często we wspomnieniach na samotnych szermierzy dobrego gustu. „Futerał...” jest kompleksową historią z wyczuleniem na szczegól, uważną podróżą przez miejski, domowy krajobraz Polaków z tamtych czasów.

Choć ta podróż przypomina nieco jazdę maluchem znad Bałtyku w Tatry przed erą autostrad, gdyż chronologiczne ujęcie tematu sprawia wrażenie, że kręcimy się w kółko i buksujemy, raz po raz natrafiając na te same wątki. Tymczasem to tylko te same,

*Ciemna kuchnia w bloku na osiedlu Za Żelazną Bramą.
Warszawa, 1972 r.*

nierozwiązane problemy, odbijające się czkawką kolejnym pokoleniom. Łatwo o nich zapomnieć wśród dzisiejszych zachwyty nad jakością polskiego rzemiosła, gdy pamięć, zwłaszcza młodych osób, zapełniają – jak pisze autorka – „obrazy i opowieści kształtowane przez popkulturę, mity i politykę”. Książka Szydłowskiej, choć nie należy do popularnego ostatnio nurtu rewizjonistycznego w literaturze faktu, przy okazji się z tymi kliszami rozprawia.

Zrównane, przemieszane

Gdyby wybrać jeden sprzęt-symbol wnętrza aspiracji mieszkańców polskich miast tuż po II wojnie światowej, byłby to fortepian. Taszczony nawet do niewielkich pomieszczeń, by upodobnić je do poprzedniego świata. Uosobienie „przedwojenności”.

Ta kategoria pojawia się wówczas w specyficznym kontekście. Warunki, w jakich żyli przed wojną przedstawiciele niższych warstw, były koszmarnie, o czym przypominają raz po raz autorzy książek rozprawiających się z wyobrażeniem „Paryża Północy”, cytując ówczesne statystyki przeludnienia w robotniczych dzielnicach Warszawy. Nie lepiej przedstawiała się sytuacja na wsi – by się o tym przekonać, wystarczy lektura „Chłopek” Joanny Kuciel-Frydryszak. Mieszkańcy prowincji już wówczas ruszyli do miast za pracą – i przy okazji za własnym lokum. Bo masowe budownictwo, wbrew innej obiegowej opinii, nie wyrosło z technologii wielkiej płyty, lecz zrodziło się w połowie XIX w. wraz z koniecznością jak najszybszego dostarczenia jak największej liczby mieszkań masom przybywającym za pracą do miast epoki przemysłowej.

Wygląd domu polskiego był wówczas niejednorodny nie tylko wskutek różnic klasowych i stopnia zamożności, ale ze względów historycznych. W zaborze austriackim czy pruskim ceniono, jak mówi w rozmowie z Czyńską historyczka i krytyczka designu Beata Bochińska, inne wartości niż w rosyjskim, co przekładało się na dobór przedmiotów pod względem ich jakości i trwałości. Na wschodzie ważniejsza była użyteczność, mobilność, przyjazność rzeczy codziennego użytku. Popularność kilimów, wieszanych na ścianach w mieszkaniach na Podlasiu czy wschodnich rubieżach II RP, wynikała nie tylko z potrzeby ocieplenia wnętrz, ale nomadycznych przyzwyczajeń, podczas gdy w zachodniej części kraju, gdzie wiedziono życie bardziej osiadłe, tkaniny dekoracyjne cieszyły się mniejszym wzięciem. Rok 1945 stanowi tutaj cezurę: zanim za gładziszaltowanie mieszkań wzięła się polityka do spółki z architekturą, dokonała tego wojna – zniszczenia, szaber i migracje. Wszystko się przemieszało: pańskie z chłopskim, polskie z prusko-niemieckim, nowoczesne z mieszczańskim.

Pojawia się kategoria „przedwojenności” jako synonimu bezpieczeństwa, przynależności, tradycji, w powszechnym wyobrażeniu uosabianej przez typowe zamożne mieszkanie w oszczędzonym przez wojnę Krakowie, którego centralnym punktem był salon o ciemnych ścianach, pełen tkanin, foteli i kanap, szydełkowych obrusów i podkładek, mebli à la Ludwik XVI pokrytych pluszem i obrazów na ścianach (portrety przodków, ewentualnie Piłsudskiego), a na honorowym miejscu właśnie rzeczony fortepian lub pianino, przedmiot tęsknot warszawiaków, którzy stracili większość dobytku.

Inaczej rzecz miała się na Ziemiach Odzyskanych, gdzie „przedwojennosc” w niemieckim wykonaniu budziła w polskich lokatorach ambiwalencję, podobnie zresztą jak każdy metr kwadratowy lokum odziedziczonego po poprzednikach, obciążonego obawą, że mogą kiedyś wrócić. Doceniano jakość wyrobów, ale odrzucała ich obcość. Bez żalu skazywano je więc na zużycie, zastępując stopniowo byle jakimi wytworami socjalistycznej produkcji.

Apoteoza rodzimości

W latach 50., czasach rozkwitu między oficjalną linią ideologiczną a pragmatycznymi potrzebami, w polskim wnętrzarstwie pojawia się kolejna kategoria: „rodzimość”. Ma być odtrutką na mieszczańskie ciągoty, odpowiadającą jednocześnie na potrzeby mało zamożnego odbiorcy, dostosowaną do parametrów powojennych wnętrz. Uosabia je powołany wówczas Instytut Wzornictwa Przemysłowego, kierowany przez Wandę Telakowską, który rozpoczyna współpracę polskich artystów z przemysłem. Paradoksalnie to idee jeszcze sprzed 1939 r.: demokratyczność designu, czytelny w formie i dostępny, wytwarzany przez krajowych rzemieślników, czerpiących z tradycji danego rejonu. Toruje sobie drogę do polskich domów powoli, bo początkowo zarówno meble, jak i dodatki są drogie i produkowane w krótkich seriach, a zatem trudno dostępne.

Drugi paradoks: odwilż, wiązana z unowocześnieniem stylu wyposażenia wnętrz i powrotem do modernistycznych rozwiązań, przynosi rehabilitację domu jako przestrzeni prywatnej. Nacechowanej emocjonalnie, służącej do spędzania wolnego czasu – którą Walter Benjamin określił krytycznie jako „futurał dla człowieka prywatnego”, mieszczański przeżytek wyścielany kotarami i pluszem. Zachodnie klasy średnie dzielą wnętrza na strefy przeznaczone do życia rodzinnego, towarzyskiego i samotnego wypoczynku. W polskich mieszkaniach jest o to trudniej, czego najlepszym dowodem wszechobecna wielofunkcyjność pokoju dziecięcego, w którym spano, odpoczywano, pracowano. Podobnie z intymnością dorosłych. „Klasyczna sypialnia z łóżkiem małżeńskim ustawionym pośrodku, szafkami nocnymi, czasami toaletką, stanowiła rzadkość – pisze Szydłowska. – W M z wielkiej płyty nie miała szans się zmieścić”. Przedmioty uosabiające dziś nurt nostalgiczny w myśleniu o PRL-owskich wnętrzach, które widać w mieszkaniu Bazylego z „Niewinnych czarodziejów” Andrzeja Wajdy, pojawiają się na odwilżowej fali głównie w domach inteligentnych. Pomalowana na biało klinka mieści fotel w formie muszli na cienkich, metalowych nogach, proste biurko z drewna (surowiec łatwo dostępny także dla ubogich), radio, niską nowoczesną półkę z książkami i śmiałowską figurkę. Do tego tapczan, kwiaty w skromnym wazonie, zasłony i poduszka w geometryczne wzory, „jazzowy” plakat, w myśl ówczesnego założenia, że lepszy plakat czy reprodukcja niż tak rozpowszechnione oleodruki, budzące odragę edukatorów stawiających sobie za cel poprawę gustu mas.

Nowoczesność kontra mieszczańskość

Dla kontrastu typowe ówczesne mieszkanie lokatorów o wiejskim rodowodzie to nie „pikasy”, jak prześmiewczo określano nowoczesne wyroby przemysłu wnętrza, lecz meble na wysoki połysk i kryształowe patery z cukierkami, ustawione na serwetkach z białego kordonku. Kryształ to kolejny po →

→ fortepianie emblemat polskich domostw, idealnie nadający się na prezent i handel (pamiętacie inżyniera Karwowskiego wiozącego owo cacko do Budapesztu?), bardziej szanowany niż projektowane wówczas w kraju cuda ze szkła prasowanego autorstwa małżeństwa Drostów. Na tapczanie wśród poduszek usadzona wystrojona lalka, której dzieciom nie wolno dotykać. Zresztą „unieruchomienie” pozyskanych z trudem zdobyczy – eksponowanie kompozycji kryształów lub nieużywanych zestawów z porcelany w szafkach za szkłem, dywany zabezpieczone folią – to miejski ekwiwalent „białej izby”.

A we wnętrzu robotniczym? Oba łączy stół, ustawiony pośrodku niewielkiego pomieszczenia, gdzie utrudnia poruszanie się, ale to nieistotne, bo miejsce, jakie zajmuje, też wiąże się z prestiżem. Jest odwołaniem do układu sprzętów w komnatach możnowładców. We wnętrzu robotniczym stół przykryty jest nie ceratą, jak na wsi, lecz serwetą, pośrodku której stoi wazonik ze świeżym lub sztucznym kwiatkiem. W oknach firanki, pod oknem kwietnik. Na ścianach i sprzętach roi się od ozdób: makatek, obrazów, głównie oleodruków, dewocjonaliów, figurek baletnic, bibelotów, wyszywanek, doniczek. Choć na zdjęciu zrobionym w mieszkaniu inteligenta w jednym z białostockich bloków widać zarówno biblioteczkę we wnęcie, kilim, metalowy świecznik, jak i okrągły stół przykryty szydełkową serwetą i niewielkie tremo – emblematy mieszczańskiego saloniku. Jak widać, deklaracja sfer wyższych, wymuszona wojną i nowym ustrojem, nie wyniosła do lamusa jej rekwizytów: gobelinów, fortepianów, kryształów. Już sarkający na ozdóbki socrealizm zderzył się z powojenną potrzebą poczucia bezpieczeństwa, stałości, osadzenia – „będziemy znowu mieszkać w swoim domu” Staffa.

Mieszczańska z ducha przytulność, która dla obywateli o rozmaitym rodowodzie pełni funkcję ochronną przed tym, co za progiem, staje się jednym z wyznaczników polskiego wnętrza rosnącej wówczas PRL-owskiej klasy średniej, a także przedmiotem ataków – zarówno ze strony systemu, jak i reprezentantów środowisk artystycznych, krzewicieli dobrego gustu. Nieliczni, jak Maria Chomentowska i Zdzisław Wróblewski, mitygują, że ludzie mają różne potrzeby, lubią naśladować innych, poza tym to naturalne, że każdy Polak chce, by mieszkanie było wizytówką jego rosnącego statusu.

Klasom ludowym, krytykowanym za „niewłaściwe” aspiracje estetyczne, zaleca się nowoczesność uosabianą przez cepeliowskie wyroby, czyli ludowość w odświeżeniu dopasowanej do wyobrażeń o potrzebach nowego mieszczaucha. Brzmi to, jakby awans społeczny niósł zgubne skutki. Mieszkaniec wsi ma pozostać chłopem, robotnik zaś – robotnikiem, inaczej narazi się na śmieszność, kopiując styl klas wyższych. Oczywiście im większy nacisk, tym silniejszy opór – ot, prawa fizyki. Jeszcze w latach 70. i 80. XX wieku „złe”, drobnomieszczańskie wzory trzymają się – jak przypomina Szydłowska – mocno, tylko zmieniają szaty: buduar i kredensy z nadstawką przestają się we wszechobecne meblościanki, wersalki i reprodukcje dzieci Wyspiańskiego. A dom pozostaje futerałem chroniącym przed niepewnością i kryzysami. Tak za późnego Gierka, jak w stanie wojennym.

Mieszczańska
z ducha przytulność, która
**pełniła funkcję ochronną
przed tym, co za progiem,**
to jeden z wyznaczników
polskiego wnętrza.

Na wierzchu i w ukryciu

„Blok mogły być idealne, ale ludzie nie byli – pisałam w 2018 r. w „Betonii”, książce poświęconej historii bloków i osiedli blokowych. – Zaburzyli symetrię doniczkami, praniem suszącym się na balkonach, śmieciami w podwórkach. W Halle-Neustadt, Krakowie, Warszawie, Berlinie, Londynie, pod Sztokholmem i Paryżem – wszędzie tak samo. Przynieśli ze sobą kolory i hałas, wypełnili ściany

zapachami, rzeczami, bałaganem. Wszystko popsuli”.

Mieszkanie to nie tylko sprzęty służące odpoczynkowi, przebywaniu z rodziną i przyjmowaniu gości – również brudne ubrania i garnki, utensylia niezbędne do sprzątania czy zapasy żywności. Gdzieś je trzeba było pomieścić. W Halle-Neustadt, Berlinie, Londynie, pod Sztokholmem i Paryżem było o to łatwiej. W Warszawie, Krakowie czy Lublinie, gdzie przydzielone człowiekowi „minimum egzystencji” do dziś zaskakuje cudzoziemców skromnością – niekoniecznie (stały punkt programu podczas oprowadzania obcokrajowców po warszawskim Muranowie Południowym zawiera pytanie zdezorientowanych gości, czy metraż „mieszkania kawalerskiego” to aby na pewno „thirteen”, nie „thirty”). Zarówno w latach 40., jak i 60., kiedy ciasnota uderza z nową siłą, wymuszając na projektantach rozwiązania w postaci „półkotapczanów”.

Szydłowska nie zapomina o wstydlivych częściach domowego korpusu, jak łazienka, kuchnia, schowki na jedzenie i rzeczy czy pralnia, traktując je na równi z reprezentacyjną resztą, bo przecież są dla funkcjonowania domu niezbędne. Tymczasem właśnie ich – niemal przez cały PRL – brakowało. Świadectwem tamtych czasów są zatem takie wykwyty projektanckiej inwencji jak choćby „półwann” – bardzo krótkie, ale głębokie, w których nie można było rozprostować nóg podczas kąpieli, lecz siedziało się z kolanami pod brodą, jak w beczce. Popularnym zaś rozwiązaniem w starym budownictwie, gdzie funkcje poszczególnych części mieszkania określał na nowo kwaterunek i nie dla wszystkich lokatorów starczało łazienki, było aranżowanie umywalni na własny użytek, oddzielonej parawanem od reszty pomieszczenia, niczym na pensjach. Można było wykończyć też bardziej oryginalne rady, jak ta, której udzielała w piśmie „Moda i Życie” pani Donata Majewska z Pabianic: „Proponuję umieścić wannę w kuchni, w miejscu przeznaczonym na stół kuchenny. Nad ustawioną wanną umieszczamy stół zbudowany na wzór klapy. Po skończonej kąpieli stół opuszczamy, zasłaniając boki firanczką z barwnego kretonu”. Łazienki, o ile je posiadano, z konieczności okazywały się więc wielofunkcyjne, służąc też za schowki na przybory do sprzątania oraz spiżarnie, skoro lokowane przez pomysłowych budowlanców w nasłonecznionych ścianach szafki podokienne, poprzedniczki lodówek, nie spełniały zadania, a w piwnicach też było zbyt ciepło.

Szczególny kontrast stanowiły, jak zauważa autorka „Futerału”, zewnętrzne atrybuty socrealistycznych „pałaców dla ludu” – bogate zdobienia, portyki, łuki triumfalne – oraz ich wnętrza, gdzie na pierwsze miejsce wysuwała się proza życia. Brak balkonów, zastąpionych ze względów estetycznych oknami balkonowymi z barierką, uniemożliwiający trzepanie ścierek, wietrzenie okryć czy suszenie prania. Prace te wykonywano w domo-

*I Międzynarodowe
Triennale Mebla
w Poznaniu.
Targi Poznańskie,
grudzień 1980 r.*



ZBIGNIEW STASZYSZYN / PAP

wym zaciszu, bo umieszczone w przyziemi pralnie wymagały od lokatorów kursowania między piętrami i klatkami schodowymi. Mieszkanki nie chciały z nich korzystać także z innych powodów, jak skrupowanie zniszczoną, cerowaną po wielokroć bielizną. Wspólnotowe pomieszczenia na wzór sowieckich „komunałek”, forsowane zwłaszcza w latach 50., nie zdały egzaminu, pokazując, jak mocno polskie społeczeństwo przywiązane jest do przekonania o kuchni jako sferze domowej (i domenie przede wszystkim kobiecej, a więc i argument o „zniesieniu kuchennego niewolnictwa” trafiał w próżnię). Na przekór stalinizmowi, forsującemu przymusowe uspołecznienie nawet na takim poziomie, unikano zarówno prania, jak i gotowania z innymi, wygospodarowując sobie własną, choćby prowizoryczną przestrzeń. To zarazem odpowiedź na pytanie, dlaczego do lat 70. XX wieku nawet w domach jednorodzinnych nie otwierano kuchni na resztę wnętrza. Do tej części domowego terytorium w większości mieszkań dopuszczano tylko członków rodziny. Były więc wciąż uosobieniem XIX-wiecznego ideału, kokonem chroniącym mieszkańców przed nowoczesnym światem.

Okno na świat

Historyk sztuki Piotr Korduba, cytowany przez Szydłowską, opisuje willowe mieszkania zamożnej poznańskiej – niepochoďzącej „z awansu” – inteligencji schyłku PRL-u: adwokatów, lekarzy, naukowców. Typową cechą jest posiadanie w latach 80. dwóch kuchni – jednej otwartej na pokój, drugiej roboczej, ulokowanej w przyziemiu lub na wysokim parterze. Bar lub akwarium służące jako łącznik między pomieszczeniami, wielki stół jako centrum życia rodzinnego i towarzyskiego. Pomieszczenia były niskie – to skutek obchodzenia przepisów zezwalających tylko na budowanie domów dwupiętrowych. Oznaki statusu i nowoczesnego stylu życia w postaci saun albo sal barowych mieściły się w piwnicach. Z kolei u partyjnych elit królował styl „na bogato”.

A w blokowych mieszkaniach z tamtego okresu, coraz bardziej monotonna, gorzej wykonanych i szarych? Barw dodaje im Azja, której pochod przez M-3 i M-4 zapoczątkowała hipisowska kontrkultura i działalność Towarzystwa Przyjaźni

Polsko-Indyjskiej. Najsilniej reprezentowana w Trójmieście, którego mieszkańcy mieli jako pierwsi dostęp do egzotycznych elementów wyposażenia przywożonych z zamorskich rejsów, nie tylko z Indii, lecz innych azjatyckich krajów – dywanów, trzcinowych rolet i mebli, papierowych abażurów na wzór japoński i materaców „yogi”, czyli mat do siedzenia lub leżenia.

Nowoczesność, promowana w mediach przez cały PRL, odnosi z pewnością sukces na jednym odcinku – kuchennym. Wiszące szafki, jednolity blat roboczy, funkcjonalność i prostota to z kolei zwycięstwo modernizmu. Inteligent późnego PRL-u za wyróżniki dobrego gustu uważa ponadto obecność rustykalnych dekoracji w rodzaju warkoczy czosnku, suszonych róz i papryczek, kolekcji garnków i kubków jednolitej barwy, zwykle granatowej lub czerwonej, okiennych zasłonek w biało-czerwonej lub granatowej kratkę i licznych półeczek z przyprawami. Popularne meble kuchenne z jasnego drewna to zapowiedź triumfalnego pochodu Ikea przez nasze domy. W centrum kuchnio-pokoju-jadalni króluje nadal stół, do odpoczynku służy coś z zestawu Kontiki – fotel, kanapa, może pufa.

To wszystko niewiele ma wspólnego z typowym wyobrażeniem „wnętrza z PRL-u”, choć takie wciąż u jego schyłku istnieją, gdyż wobec ciągłych braków w zaopatrzeniu wyróżnikiem polskich mieszkań pozostaje przypadkowość i przemierzanie. A jednocześnie stanowi zaczątek mód, które rozwijały się już po upadku ustroju i transformacji.

Niektóre w zmodyfikowanej formie przetrwały do dziś, nawet w jednorodzinnych domach na przedmieściach czy nowych blokach, dla niepoznaki szumnie nazywanych apartamentowcami. Tylko w sferze najbardziej wstydlwej nie zmieniło się nic – ponad 12 proc. polskich mieszkań nadal nie ma osobnej łazienki.

© BEATA CHOMĄTOWSKA



Agata Szydłowska

FUTERAŁ. O URZĄDZANIU MIESZKAŃ W PRL-U

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

STANISŁAW

Mancewicz:

O niedosycie



PRAWICA MA SIĘ DZIŚ ŚWIETNIE. MA WODZA, ma każdą władzę nad każdym, ma armię, policję tajne, jawne i dwupłciowe, ma prawo skrojone pod swoją moralność, gust i potrzeby, ma oczywiście mnóstwo naszych pieniędzy, które wydaje na nie nasze przyjemności, ma też wszelakie redakcje, młodych i starych celebrytów, ma swoją, przez siebie skonstruowaną religię, kulturę, ma swoje poematy, piosenki i modlitwy, ma oczywiście swoje pomniki, i ma też pomniki, które były kiedyś nasze, ale już nie są.

Gdyśmy się teraz przyglądnęli owej liście posiadania, poczuliśmy niedosyt. Więc, to jasne, musimy wymieniać dalej. Oczywiście moglibyśmy to robić godzinami. Stworzyć listę, która zajęłaby wszystkie strony naszego poczytnego pisma. Wiemy też, choćbyśmy zjedli tysiąc kotletów i wymienili cokolwiek, i tak usłyszymy zarzut, że nie odkryliśmy Ameryki. Niestety, mimo to nie możemy się powstrzymać, musimy wymieniać.

Czujemy się z tym, jakbyśmy byli, dajmy na to, na egzaminie z – powiedzmy – ichtiologii. – Panie Mancewicz – powiada życzliwy egzaminator – mamy trochę czasu, proszę wymienić nazwy wszystkich ryb żyjących na planecie Ziemia. I oto nasze niesłychane możliwości umysłowe pozwalają to zrobić bez trudu, tzn. wymienić *a vista* wszystkie trzydzieści dwa tysiące gatunków ryb. Wypowiedź oczywiście byłaby i kulturalna, i znakomicie usystematyzowana. Nie byłoby to chaotyczne i amatorskie dukanie, w rodzaju: „...okoń, płotka, szczupiec...”. Nie. Nazwy podalibyśmy zgodnie z aparatem i ustalonym porządkiem, na początek poszłaby zatem lista ryb kostnoszkieletowych, potem chrzęstnoszkieletowych, wreszcie – to oczywiście – śluzice i minogi. Na koniec zaś, nieproszeni, wymienilibyśmy wszystkie wymarłe taksony, a za wszystko to dostalibyśmy czwórkę z plusem. Na zachętę, ale i jako hamulec, jak to

na polskim uniwersytecie, idzie bowiem o to, by nam sodówka nie strzeliła do głowy.

Gdyśmy już tu sobie nieco pofantazjowali i pożartowali dla rozluźnienia przepony, wypada wrócić do naszej prawicy i jej majątku. Prawica ma – popatrzmy – historię. I to nie tylko Polski, co wiemy, ba! jesteśmy w każdej chwili gotowi, nawet za darmo, historię tę na nowo pisać, uzupełniać i – za przeproszeniem – ubogacać, bowiem w tej kwestii nikt nie ma już żadnych hamulców. Oczywiście prawica ma swoją historię świata, też tę dawną. Ma historię w ogóle. Od – dajmy na to – prekambriu, by nie rzec archaiku, co łatwo sobie sprawdzić, wskazując do wartkich strumieni prawicowych forów internetowych. Oto nie ma tam sporów o pochodzenie człowieka, który jest ogólnie rzecz biorąc stosunkowo nowym wynalazkiem prawicy, omówionym do cna. Znajdujemy tam oceny i opisy ciekawsze, stworzeń biologicznie mniej złożonych niż poseł Kowalski z Opola. Chodzi nam tu o istoty z fizjologią opartą na spokojnym filtrowaniu wody, ze skromną, ale własną perystaltyką. Tak. Paleologia i geologia – dla przykładu – też mają swą prawicową odmianę. Świat bakterii czy wirusów albo – weźmy – genów, słowem: elementów przyrody podejrzanych, czyli niewidocznych gołym okiem, to osobna płaszczyzna dla nowych koncepcji i nowych nauk o przyrodzie. Z tą nowością przesadziliśmy, gdyśmy sobie przypomnieli i Trofima Łysenkę, i Olgę Lepieszynską – gigantów intelektu z bratniego ZSRR. To pionierzy prawicowej myśli biologicznej, warto o tym pamiętać. Po ulicach chodzą dziś rzesze ludzi, którzy daliby się w obronie tych teorii pokroić na plasterki, i którzy chętnie pokroiliby na plasterki tych wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają. To oczywiste.

No więc prawica – to bardzo ważne – ma oddanych wielbicieli. Świadomych swego uwielbienia, ale też – co ważniejsze: wielbicieli wielbiących bez świadomości. Ma oczywiście zdefiniowanych wrogów i ułożony język do ich najwulgarniejszego napadania. Ma wszystko, co jest potrzebne do szczęścia, a w zasadzie do pełni szczęścia. W zasadzie, bo prawica też czegoś jednak nie ma. Jej, przez nią samą zdefiniowani, wrogowie jej nie lubią i, o zgrozo, nie szanują. Często się z niej – z prawicy – otwarcie śmieją i się jej nic a nic nie boją. Jest to dla każdego prawicowca poniżające, to policzek i powód do irytacji, do gniewu, do odczuwania piekającej krzywdy i okropnego niedosytu. Jest to gorzko niesprawiedliwe, mroczne, odpychające, niepolskie i elitarnie świństwo. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Dziękujemy, że czytasz „Tygodnik Powszechny”

Chcemy odważnie prowadzić Cię przez świat, zachęcając do patrzenia na zmieniającą się dynamicznie rzeczywistość z różnych perspektyw. Niektóre treści wymagają natychmiastowej publikacji, dlatego z myślą o Twoim komforcie zmieniliśmy wygląd serwisu

TygodnikPowszechny.pl

Kupując roczną prenumeratę wydania papierowego

za ekstra **49,99 zł** otrzymasz:

- dostęp online do aktualnych i archiwalnych numerów obejmujących ostatnie 20 lat publikacji Twojego ulubionego pisma: sprawdź, o czym pisali na naszych łamach Stanisław Lem, Ewa Szumańska, Czesław Miłosz, Olga Tokarczuk, Andrzej Stasiuk, Dorota Masłowska i inni.
- dostęp do autorskiego serwisu Wojciecha Jagielskiego: trzymaj rękę na pulsie bieżącej polityki międzynarodowej i nie przegap niczego, co dzieje się w najdalszych zakątkach świata i ma wpływ na Twoją rzeczywistość.
- dostęp do autorskiego serwisu Anity Piotrowskiej z poleceniami najlepszych filmów na VoD w każdy weekend. Koniec z wielogodzinnym przeglądaniem
- serwisów streamingowych, oglądaj dobre kino i oszczędzaj swój czas.
- dostęp do serwisów specjalnych, które przygotowali dla Ciebie nasi redaktorzy: zdrowie, edukacja, książki, klimat i wiele innych. Poszerzaj wiedzę i zgłębiaj interesujące Cię tematy.
- dostęp do wszystkich odcinków naszego podcastu: bez reklam. Dołącz do 80 tys. naszych słuchaczy.
- dostęp do bieżących komentarzy swoich ulubionych dziennikarzy i dziennikarek. Czytaj obiektywne, rzetelne teksty i rośnij z nami.



**Wybierz „Tygodnik”
papierowy+cyfrowy na
TygodnikPowszechny.pl/sklep**

prenumerata roczna na „Tygodnik” papierowy: 550,00 zł

prenumerata roczna na „Tygodnik” papierowy + cyfrowy: 599,99 zł

160.

ROČZNICA
POWSTANIA
STYCZNIOWEGO

1863-1864

Najdłuższe polskie powstanie

powstanie1863-64.plDofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa NarodowegoMinisterstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego